





# JASEŁKA.

WYCIĄG

## Z PAMIĘTNIKÓW KTOSIA

SPISANI PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Tom II.

---

KIJÓW.

Nakładem LEONA IDZIKOWSKIEGO Księgarza.

1862.

JASENKA

WYDANIE

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 19 (31) Lipca 1861 r.

Starszy Cenzor,

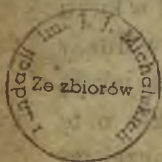
ANTONI FUNKENSTEIN.

Tom II

KILÓW

W Drukarni Gazety Polskiej.

1675



INSTYTUT  
 BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-789 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

**W** tym wieku chorującym na mierność i strzegącym się oryginalności jak grzechu, gdy skutkiem sarkazmów i wychowania zacierającego w człowieku, coby się przezeń z właściwej mu natury objawić mogło; wszyscyśmy jednakowi licem, strojem, życiem, wadami, a nikt sobą być nie ma odwagi: wszelka oryginalność uderza silnie i zwraca oczy. Znudzeni jednostajnością tego co nas otacza, szukamy jej i pragniemy w drugich, choć nie mamy w sobie.

Otto Marzycki, któregośmy już w mieszkaniu starego milczka Żółtowskiego widzieli, był jednym z tych ludzi oryginalnych, i choć o ubogim a mało znaczącym niktby nie mówił, i niktby nań nie zważał inaczej: może aż nadto zwracano nań oczy z powodu, że się trochę wyróżniał od pospolitego tłumu.

Otto był takim, jakim się odmalował w kilku słowach: dziwakiem wedle świata, ale w duszy prostym człowiekiem idącym za prawdą jak ją czuł i widział. Nie starał się on wcale o tę oryginalność, był sobą tylko, ale inaczej od drugih pojmował życie.

Za młodu odumarła go matka, jedynakiem pozostał u ojca, który go bardzo kochał. Więc choć to był szlachcic niezamożny na kilkuna-stu chatach z małym kapitalikiem żyjący, ale gospodarz doskonały, oszczędny i zapaśny, potrafił dać synowi wychowanie jak tylko mógł najstaranniejsze. Traf chciał że i Otto był bardzo pojętny i ludzie go uczyli dobrej woli, tak, że młody chłopak wykwił prześlicznie, wielkie ojcu robiąc nadzieje. Jedno tylko było nieszczęście, że skłonność miał do poezyi, do sztuki, a nie stateczniejszego, jak ojciec mawiał, przedsiębrać nie chciał. Uczył się dobrze, ale nauki do życia zastosowywać nie myślał.

— Czémże ty będziesz? — pytał go nieraz staruszek — bo ty możesz być czém zechcesz.

— A to Bóg wie — odpowiadał zawsze Otto — chciałbym spokojnie żyć na wsi w małym dworku, pod zielonemi drzew gałęzmi, z tobą ojciec, ze wspomnieniami matki, z muzyką.

— To dobrze; ależ potrzeba coś robić, pracować.

Na to Otto odpowiadał ruszając ramionami:

— Ale cóż ja potrafię? do niczego tak wielkiej nie mam ochoty.

— Bóg da, że to z czasem przyjdzie — mówił pocieszając się ojciec. — Człowiek tak zawsze, błądzi, szuka, aż trafi na coś do czego jest stworzony.

I urywali rozmowę, a Otto grał na skrzypcach do dnia białego, lub porwawszy książkę zaczytywał się do drugiego wieczora, nie mogąc jej porzucić.

Nie był to jednak miękki sobie artysta, coby chorował na wyobraźnię, śnił i czekał aż go marzenia przyjdą opleść same białemi rękami. Pracował nad sobą i nad ulubioną swą muzyką. Niepokój duszy u niego popychał do zastanowienia i zajęcia, a zastanowienie krążyło

w sferze idei niedostępnych zwykle jego wiekowi; pracą najulubieńszą było myślenie i sztuka, bez zastosowania do życia. Otto jednak powoli wyrobił sobie teorią do swojego postępowania i upodobań stosowną. Zdało mu się, że człowiekowi bardzo mało wystarczyć może, byle duszną potrzebę zaspokoił. Sprzeczhali się o to zawsze z ojcem, który majątek uważał po staremu za wielką dźwignię do szczęścia, Otto za wielką do niego przeszkodę.

— Na co mi wiele — mówił mu — kątek cichy, spokój święty, trochę melodyi prostej, dużo snów o drugim świecie, ot i życie. Życie nasze trwa tak krótko, że pracować na to wiek, aby się potem cieszyć godzinę, że się coś ma — nie warto.

— Ale kiedy to daje niezależność? — powiedział ojciec.

— Jak komu: ja zawsze będę niezależnym — mówił Otto — bo na małym poprzestane, bo o tych co więcej mają nie dbam, bo o suknią nie stoję, bo mi tytuł niepotrzebny, bo przekonany jestem, że tylko przesady czynią nas zależnemi.



— Ale świata nie przemienisz.

— Więc siebie zrobię takim, jakim świat mieć bym chciał.

Ojciec nadto kochał syna, żeby go miał zmuszać do czegokolwiek bądź, szło więc dalej po dawnemu; Otto śnił, czytał, muzykował i śmiało w życie spoglądał, ojciec się trochę niepokojąc czekał.

Skończywszy szkoły świetnie, bo mu nauka szła łatwo, pojechał do uniwersytetu, wziął stopień, powrócił do domu z doskonałemi skrzypcami Guarnarego i siadł przy ojcu z książkami i nutami.

Stary ojciec za niego i za siebie gospodarzył, ale przekonawszy się o nieprzepartej naturze syna, nie chciał go nawracać i namawiać dłużej: pozostawił jakim był, myśląc przynajmniej, że się stanie wielkim i głośnym artystą, jednym z tych wirtuozów, co jeżdżą zbierając smyczkiem grosze i wianki po drodze. I w tem się stary omylił, bo Otto brzydził się sztuką jak kuglarstwo jakieś pokazywaną za pieniądze, koncertami, występami, a gdy najbardziej był natchniony, zamykał się sam, uciekał, aby go

nic nie odrywało od jego myśli i uczucia. Mawiał zawsze, że artysta co gra dla popisu, nigdy w pełni idei dźwiękiem wydać nie może, bo słuchacze na których się ogląda, których się lęka, kradną mu ciepło z piersi, odejmują z rąk siłę.

Ilekcję go proszono o muzykę, odmawiał.

— Tylko szejne katarynkę nakręcić można, kiedy się zechce i postawiwszy grać kazać; artysta czeka aż nań z nieba powieje natchnienie. Ale o danej godzinie kazać mu grać, być natchnionym, zachwycającym, jest to świętokradztwo, żeń szydzić lub zmuszać go do kłamstwa.

Brzydził się Otto wszelkimi popisami, ale miał swoje dziwactwa. Czasem, wśród nabożeństwa w kościółku, odpychał organistę i siadał grać, gwałtowną czując tego potrzebę, i grał naówczas cudownie; niekiedy mimo przytomnych ludzi obojętnych i nie znawców, chwycił swe skrzypce, zapominając o tych co go słuchali, jakby ich na świecie nie było: śpiewał co mu w duszy grało.

Takim był ów dziwak Otto, który, wyznajmy to ze smutkiem, wcale nie wyrobił się na wirtuoza; myśli w nim kipiały, wrzały, wylewały się z niego, ale ich z tą artystyczną doskonałością formy, którą posiadają zimniejsi grajkowie, nie mógł wypowiedzieć, chyba gdy był natchniony. Bóg odmówił mu tego daru wyrzeczenia pięknie i silnie zawsze i wszystkiego, który często spływa na tych, co nie mając co powiedzieć, ślicznie prawią drobnostki. Grał szorstko, gwałtownie, jakby walczył z narzędziem, które duszy jego pragnieniom odpowiedzieć nie mogło; często łamał smyczek lub od fortepianu odpychając go wstawał.

Naówczas oczy napełniały mu się łzami, siadał z założonemi rękami, milczący jak człowiek, którego gniecie w piersi zawarte słowo, niemogące się usta wypowiedzieć.

Ojciec był z wielkiem dla niego uwielbieniem; choć prosty człowiek, całą jednak wyższość syna rozumiał, przeczuwał, i bolał ciężkie dłoń przewidując życie.

Tak się staruszek pochylił, zawiądnął, i choć się trzymał uparcie swoich zajęć, bo czuł się potrzebnym Ottonowi, sił mu na końcu nie stało.

Ale gdy przyszło umierać, spokojniejszy jakoś zamknął powieki, bo przysposobił na miejsce swoje zastępcę, co gospodarstwo i kuchnię życia miał dźwignąć za jego syna.

Uznawszy Ottona zbyt wielkim, by się mógł zajmować drobnostkami powszedniemi, stary marzył tylko o tem w ostatnich latach, by miał się kim zastąpić przy synu. Była to jego myśl ciągła, nieodstępna, jego nieustanne zaprzętnienie; nie mówił nic, ale krzątał się bardzo. Wybierał ludzi, uczył ich, układał, mylił się i zawodził, aż w końcu trafił na jednego, którego mu się udało tak wyrobić, jak sobie życzył.

Był to daleki jego krewny, człek lat średnich, który całe życie na cudzém pracował a nic zrobić się nie mógł, gdyż do zbytku poczciwy, a nie bardzo przebiegły, zawsze padał ofiarą mniej skrupulatnych a chytrzejszych od siebie.

Tego człowieka, nie wielkich talentów, ale dobrego serca, stary Marzycki postanowił przerobić zupełnie, wdrożyć w tryb zajęć swoich, aby go po sobie zostawić zastępcą. Była to natura miękka, bierna, powolna, a serce złote.

Pan Zacharyasz niepozorny, mały, suchy, chudzieńki, niewielkiego o sobie mniemania, nic dla siebie też nie wymagający, byleby mu modlić się nie przeszkadzano pocichu, bo po całych dniach szeptał chodząc z nieodstępłą koronką i książeczką; dał się staremu Marzyckiemu urobić jak tamten chciał.

Marzycki prowadził go wszędzie za sobą jak cień po gospodarstwie, na wszystko zostawiał przepisy, na wszelki możliwy przypadek radę, wszystkie mu swe przelał teorye, doświadczenie całe, i zrobił z niego odbicie siebie samego. Zacharyaszek pozbył się własnych myśli, tak mu stary nieużyteczność ich dowieść potrafił, a razem nabił mu głowę wielkiem posłannictwem, jakie spełnia.

— Widzisz kochany braciszku — mówił doń — Ottonek to marzyciel i człek z innego świata, chlebaby kawałka nie miał, gdyby się sam rządził; jemu potrzeba takiego, coby jak ja pocichu dlań pracował i gotowe mu podawał. To twoja rzecz być musi, ja ci wszystko zostawię, tylko mnie słuchaj.

I Zacharyasz jak posłuszna papuga wyuczył się co ojciec przykazał, a tak dobrze i wiernie spełniał przepisy, że już za życia, pod koniec puściwszy go na próbę stary Marzycki, mógł się przekonać z pociechą, że go nie zawiedzie zastępca. Gospodarstwo, interesa, kłopoty przejął pan Zacharyasz, którego w domu nie widać było nigdzie, ale który wszystkiem władał pocichu.

Przy wielkiej pracowitości był to człek znowu tak bezinteresowny, tak małych potrzeb dla siebie, że nic prawie nie kosztował. Nie brał pensyi, nie zbierał sobie nic, wszystko nazywał swoim; ale gdy mu przyszło guziki u starej kapoty odnowić, szedł po dwa złote do Marzyckiego, i tłumaczył się z tego wydatku jak z największej rozpusty. Przejęty tём, że wszystko potrzeba było dla Ottonka poświęcić, obojętny na wygodę dla siebie, na przyszłość swoją, prosty ten człowiek był wcielonem poświęceniem. W dodatku nie tylko nie przeceniał swój ofiary, ale miał się za szczęśliwego, że znalazł kąć i opiekę, i czuł się jeszcze obowiązany <http://rcin.org.pl>

Pan Zacharyasz mały i skulony, z głową trochę przekrzywioną na karku, przesuwiał się jak cień ukradkiem po domu i gospodarstwie, nie mówił prawie lub mówił tylko pocichu, chodził na palcach i ukrywał z sobą. Otto kochał go jak brata, on jak dziecię własne Ottona, ale się spotykali rzadko, a spotkawszy tak daleko od siebie znajdowali pojęciami i myślami, że nigdy pogadać nawet dłużej nie mogli. Żyli wcale w różnych od siebie sferach.

Takiego zastępcę długą lat pracą przysposobiwszy na swe miejsce stary, zasnął spokojny, zostawując Ottona na jego opiece. Mogiła tego poczciwego ojca niedaleko Robowa, wioseczki Marzyckich, usypana na cmentarzu, była jedném z miejsc, w których Otto najchętniej długie godziny przepędzał. Chadzał tam codzień prawie, siadywał przy niej, i jakby jeszcze z ojcem duszą rozmawiał, powracał uspokojony i weselszy. Po śmierci tego przyjaciela, Otto długo cierpiał bardzo, dom mu opustoszał, wszystko poszło nie w smak, nudził się, tęsknił, płakał. A że za życia ojca jeszcze bywał często w sąsiedniej wiosce u Ma-

łowickich, którzy z Marzyckimi żyli w przyjaznych stosunkach, tam i później chronił się i przesiadywał, gdy mu w domu było ciasno i duszno.

Małowiccy mieli część w blizkiej osadzie znacznieszą od Robowa, dobrze zagospodarowaną, a byli to ludzie wedle serca Ottona. Sam stary, szlachcic prosty, wiejskiem wykarmiony powietrzem, poczciwy, otwarty, serdeczny, jeszcze pamięcią i obyczajem dawniejszych sięgał czasów. Wesoły, pracowity hreczkosiej, stworzony na żołnierza choć nim nie był, Małowicki ujmował każdego sercem, które biło tak, że chyba ślepy go nie widział, chyba kamienny nie uczył. Wąsaty, barczysty, typem był tych naszych dawnych gospodarzy, którzy nie w świecie nie widzą nad stan swój, nad życie swoje.

Miasta niecierpiał, mieszczanami się brzydził, a gdy mu przyszło wyjechać na czas do miasteczka, uciekał z niego pierwszej wolnej godziny, jako od powietrza. Wesoł był z natury i lubił śmiać się, smutek przepędzał jednym, tem naszym:



— Jakoś to będzie.

Była to w nim nie zdająca sobie sprawy z siebie wiara w Opatrzność niezwalczona. Małowicki ożenił się był z miłości z ubogą pannienką, która przez lat kilka była nauczycielką przy dzieciach w sąsiedztwie, sierotą, ale bardzo starannie wychowaną, i jak wszystkie sieroty trochę wyegzaltowaną.

Małżeństwo to było idealne, pełne przywiązania ku sobie, kochające się jak para gołębi, śmieszne trochę dla świata, ale dla siebie dziwnie do szczęścia dobrane. Ludzie już nie zbyt młodzi, przeżyli lat dwadzieścia bez chmurki, bez ostygnięcia, a wyprobowana ich miłość zdawała się wzmacniać jeszcze i rosnąć.

Mieli tylko córkę i syna.

Natałka dziecię ich ukochane, śliczne było jak aniołek, a wyuczone czułości, wykołysane w tém gniazdku, gdzie nigdy sporu nie słyszało i nic nie widziało prócz pieszczot i uśmiechów, wyrosło na ptaszynę serdeczną.

Atmosfera w której oddycha człowiek, niestety, mimo sił jego wewnętrznych, niezmiernie wielki wpływ nań wywiera. Są takie ro-

baczki, co żyjąc liśćmi zielonemi stają się zielone, rosnąc na różowych kwiatach, czerwonego nabierają koloru: trochę to tak i z ludźmi, mimo ich samoistności. Potrzeba wiedzieć o wpływie który nas może zepsuć i przekształcić, aby mu się oprzeć; trzeba by on był całkiem przeciwny naturze naszej, aby opór wyrodził: inaczej powoli mu się ulega.

Przy kochających się rodzicach, Natałka z taką czułością w sercu, gotową świat cały pokochać, wyrosła, że spojrzawszy tylko na nią, człek stawał się lepszym i wierzył we wszystko dobre.

Piękna jak aniołek, z blond włosami, z oczyma niebieskimi, z rumianą twarzą, nie była ona dziewczką rozdziwaczoną chorobliwą czułością, ale wesołą istotą, która tylko dobre widzi, dobre czuje i w dobre wierzy, a goryczy i zawodów nie kosztowała. Wesele uśmiechało się z jej oczów, promieniało na jej czole. Jeżeli czasem od świata walki i nędzy echo dalekie obijało się o jej uszy, trzeba ją było widzieć zdumioną, niedowierzającą, niemogącą pojąć, co ten akord dysharmonijny oznaczał.

Wychowanie Natalki było staranne, a umysłowi jej dodawać się zdawało to wewnętrzne usposobienie sił nowych. Czyściej dalej, lepiej widziała od drugich, szczególnie dobre strony, jasne życia oblicza. Dziecię pieszczone, w ciuchym kątku zamknięte, miało pojęcie o świecie tylko z tego zielonego listka, którym się karmiło.

Już dorastającą Natalkę poznał Otto Marzycki, a dwie te dusze krewne odrazu poczuły się dla siebie stworzone. Rzadko, może raz w lat seciny trafi się na świecie podobna miłość jak ich dwojga, czysta, dziecinna, rozmarzona, poetyczna, a nie płaczliwa i łzawa, ale anielsko-wesoła. Temu świętemu uczuciu nic nie stało na przeszkodzie: poznali się, pokochali serdecznie, a rodzice patrzali na nich z tą pociechą serdeczną, z jaką się pogląda na piękny szczęścia obrazek.

Wioska Robów od Małowickich tak była blizką, że Otto i Natalka codzien się niemal widywali. Na tę miłość dwojga kochanków i z niebios anioły mogły się patrzeć nie rumieniąc, tak była czysta i święta. Otto napawał

ją muzyką, ona go wesolą poezją młodych uśmiechów i słówek skrzydlatych. Namietność ich nie rozdrażniona niczém, nie rozgwałtowniona, płynęła spokojnie bez burzy i porywów, jak pieśń uroczysta; a kiedy się z sobą spotkali, kiedy podali sobie ręce, kiedy jej lekki rumieniec, jego łzawe oko świadczyły, że tęsknili za sobą: wnet uspokojeni po chwili, znowu żeglowali po czystém zwierciadle, którego wody zawsze jasny błękit pokrywał.

Ich miłość zdawała się im spełnieniem odwiecznego wyroku.

Był to widok cudowny — wesela, szczęścia niezamąconego niczém, przyszłości jasnej i pogodnej. Otto ani się spieszył przeciwko nowemu życiu, ani chciał ją wyrwać z téj dziewiczej swobody, w której jak ptaszek ulatywała. Nie było mowy o jutrze, nie było jutra.

Rodzice Natalii zostawili im zupełną swobodę, pewni charakteru Ottona, powierzali mu ją jak bratu; niewinne dziecię nie kryło się wcale z przywiązaniem: dni bez chmur otaczały ich ciszą uroczystą.

Ale świat nie ma długich dni wesela; w naturze i życiu człowieka, wszystko przerywa burza, kończy noc ciemna. W chwili kiedy już Otto marzył o swym domku z Natalią, co go sama powoli urządziła, kiedy drożynę między Robowem a Jeziorką wysadzali różami, aby nią chodzić do rodziców; gdy się cieszyli tém pewnem szczęściem, jakby ono tylko przedłużeniem tego co mieli być musiało, oboje czyści, oboje spokojni i pewni, że żadna siła bicia ich serc wstrzymać nie może: Natalia zachorowała. Niespodzianie z téj pełnej zdrowia twarzy znikł rumieniec, kaszel odezwał się w piersi, i nierychło dopatrzono się niebezpieczeństwa, gdy już wstało widmem groźnem, gdy przeciw niemu nie było ratunku. Śliczne dziecię dostało suchot, ale nie cierpiało wiele, nie poczuło się chorém: marząc o zdrowiu i szczęściu, zagasło tak powoli jak lampka wieczorna. Nie śmiano jój truć tych chwil ostatnich, ukrywając chorobę śmiertelną. Do ostatka uśmiechały się jój twarze rodziców i twarz Ottona, który czuł, że życie jego z ostatnim tchem jój pójść powinno.

biedny

Ale gdy białe ciało aniolka złożono wśród kwiatów na ostatniej pościółce, gdy Otto przy niem uklęknął, zapragnąwszy z nią umrzeć: Bóg skazał go na życie. W niemój i milczącej rozpaczy wyglądał śmierci i doprosić się jej nie mógł.

Uczucia w tej piersi marmurowej były potężne, ale życie silniejsze od nich jeszcze; chłoneły je jak morze zalewa skały, nie mogąc roztopić w sobie. Ani skargi, ani jęku nie wydał Otto po śmierci tej, która dlań zamknęła życie; najstraszniejszą w nim była ta niemota boleści, to oko bez łzy, ten stan napozór nieczułego kamienia, który jednak ożywiała jakaś wola i rezygnacya potężna. On sam zajmował się pogrzebem, on sam grób jej budował, mogiłę sypał, kwiatami ją obsadzał, i jak wprzód grób ojca, tak potem jej i ojca mogiła stała się dlań celem codziennych wycieczek. Z rozpaczy milczącej a zamkniętej w sobie, która się nigdy nie skarżyła przed obcymi i kryć dumnie zdawała z sobą, czas powoli zrobił poważną boleść człowieka, który nie narzeka, bo wie, że toby nie pomogło, ani porządku świata nie

2

zmieniło. Otto pozostał wierny temu uczuciu, które ze stanu gwałtownego przeszło i skrytalizowało się na wieki. Wspomnienie dlań pozostało tak żywem, jakby wczoraj dopiero zebrał je z błoni życia; owszem, wyobrażnia jak obrazek święty stroiła je i upiękniała, z wizerunków przeszłości czyniąc ideały coraz promienistsze i piękniejsze. Wszystko ziemskie z nich opadło, jaśniały żywymi barwami ideałów i poezyi.

Z tym bólem w sercu, z czcią mogił kochanych, Otto pozostał do siwych włosów. Zabiegła mu drogę niejedna twarz uśmiechnięta, nie jedno oczko łzawe, wabiąc weselem i smutkiem; nie jedno serce poczciwe zabiło dlań więcej niż litością: ale Otto był wierny żałobie swój i miłości. Któraż zresztą kobieta mogła stanąć w sercu jego obok tej istoty anielskiej, powietrznej, smętnej, jaką pamiętał witającą go uśmiechem przy skonaniu, w trumience ze złożonymi rękami modlącą się za niego po śmierci....

Muzyka, która była jego namiętnością i wołaniem dawniej, stała się teraz pocieszycielką

i tłumaczem nieokreślonych żalów, wspomnień, nadziei. Natura jej czyni ją właśnie najlepszą powiernicą boleści.

Otto znajdował, że żadne słowo, żaden język nie mógł tak wypowiedzieć uczucia jak dźwięk, który w nieokreślonym swym wyrazie jest hieroglifem dla jednych, dla drugich całe życie w drgnieniu i jęku spowiada.

Otto cały się oddał muzyce.

Pan Zacharyasz chodził, krzątał się, gospodarzył, utrzymywał porządek, myślał o chlebie powszednim; Marzycki nic się w to nie wdając, żył jak był już przywykł w rozmarzeniu i dźwiękach: samotna codzienność przechadzka do grobu ojca i Natalki, u których często godzinami modlił się i dumał, czasem odwiedziny starego przyjaciela Żółtowskiego, którego kochał za poświęcenie, prostotę serca i milczenie nawet; reszta dnia w domu przy fortepianie i skrzypcach.

Dom Ottona, stare dworzysko pod słomą, z wysokim dachem, pochylone, w cienisty sad zasunięte, miało fizyognomią owych szlacheckich dawnych, które codzienność dziś ustępują



miejsca wykwintnym a kruchym lepiankom. Dziad jeszcze pobudował je, dzisiejszy dziedzic jak mógł życie swe starał się w niem pomieścić. W jednym pokoiku od ogrodu, do którego mało kto był przypuszczany, mieszkał otoczony pamiątkami Otto. Obawiał się on śmieszności, i krył się ze skarbami, które składały listki zeschłe, wstążki zbladłe, kartki pożółkłe. Były to dzieje lat młodości, którą przedłużał, starając się jej być wiernym. Tam wisiał portret ojca, matki i Natałki w białej sukience, z pączkiem białego jaśminu w ręku. Ostatni brzydko dosyć malowany przez naiwnego nieuka, miał przecie ten cudem pochwycony wyraz anielski dziewczęcej twarzy, którego często uczeńsze dzieła nie mają. Pod nim stały dwie daty: pierwszego poznania dziewczęcia i jej śmierci.

Reszta domu składała się z pokojów, które w ciągu roku zajmowali nieustannie goście ubodzy, artyści różni, a wielka sala jadalna służyła do muzyki. Fortepian, nuty, mały organek, skrzypce, wiolonczele, różne narzędzia muzyczne w nieładzie rozrzucone; cały ten pokój zajmowały.

Tu niemal cały dzień schodził Ottonowi i jego towarzyszom, a Robów nigdy nie był pusty.

Zawsze jakaś biada, talent, młodość marząca, garnęły się pod skrzydła ubogiego człowieka, który ostatni grosz dzielił z biedniejszym, a nadewszystko umiał wlać siłę, nadzieję i zdrową zasilić radą.

Szumne owe błyskotliwe talenta, którym dobrze na świecie, bo się z sobą popisywać umieją i do popisu tylko są stworzone, nigdy prawie nie garnęły się pod strzechę Ottona, bo Otto jak kochał muzykę, tak znowu wirtuozów pełnych samolubstwa i zepsutych oklaskami niecierpiał.

Zbolałe dusze i nieuznane talenta mieniały się tu ciągle: nieraz przychodził człowiek odarty, bojaźliwy, po naukę, którą cierpliwie dawał mu przytulając litościwie Otto. Muzykalne zresztą kształcenie było jednym z mniejszych darów jego; więcej daleko znaczyło nasienie pocziwe, które rzucał pełną dłonią w dusze młodych ludzi, cześć sztuki, którą ich umiał natchnąć, jej powołania i godności, za-

miłowanie ubóstwa, które podnosił do wyzyn męczeństwa.

Sam czysty i prawy, gdy tylko postrzegł i poczuł w zbliżającym się do siebie skrzywione pojęcia, a co gorzej serce już zepsute, żądę i pragnienie chluby, oklasków, zazdrość zjadliwą; cofał dłoń swą i zimno zegnał przybysza. W tej atmosferze zdrowej, istoty tylko zdrowe mieszkać i żyć mogły; inni wytrzymać nie umieli: zarażony musiał się wyleczyć lub uciekać.

Dom jego był zawsze pełen, nigdy mu gości nie brakło: bo jest wielu co cierpią i łakną prawdy. Otto mało pytał o przeszłość i przyszłość, nie narzucał się z radą; czuł, że ona wytrysnąć była powinna nie z ust chłodnych, ale z gorącego serca, z przykładu, z życia.

W chwili właśnie gdyśmy go spotkali u Żółtowskiego, Marzycki nie był sam jeden. W Robowie było aż trzech biedaków, którzy chlebem jego razowym tuczyli swą młodość i krzepili wesele. Życie tam było niezmiernie proste, nie wytworniejsze w święto jak w dni powszednie; obyczaj prawie ubogi, tak jak bywało za

ojca: ale choć chleb był czarny i krupnik prosty na stole, najświeższe utwory geniuszu, najdroższe płody wielkich mistrzów, w zbyt-  
kownej liczbie się tu rozlegały. Kosztem zbyt-  
ku ciała, kupowano konieczny dla duszy zbytek.

Na dni kilkanaście przed odwiedzinami hrabiego Hermana w Zarubińcach, do jednego już tylko pozostałego od lat trzech towarzysza Ottona, który się stał prawie domowym, przy-  
byli dwaj jeszcze.

Dawniejszy ów wychowaniec Ottona był niejaki Martynko, syn ekonoma, którego gospodarz sam wykształcił i miał zeń nadzieję znakomitego zrobić muzyka. Biedne chłopczysko ledwie było szkoły nie źle skończyło, gdy go muzyka pochwyliła; a że rodzice ubodzy, tej passyi przewyciężyć nie mogli i kształcić go nie mieli za co, oddali Ottonowi, który wychowanie jego muzykalne począł od *a, b, c*, a teraz kończył je rozwijając duszę, która przez palce już wprawne, grać miała.

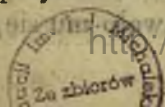
Otto mawiał zawsze:

— Co mi z tego, że kto gra pięknie? cóż on zagrać potrafi, jeśli w nim samym gra namię-

tność, gra dziwactwo, a żadna myśl wielka i święta nie mieszka? Co mi z artysty, który kalligrafuje pięknie a trzech wierszy nie wymyśli? Wielki artysta musi to posiać w swęj duszy, co ma w niej później grać dźwiękiem. Książka ten nim wykwitnie, powinien rosnać i zielenić się wprzód.

Martynko nadał mu się dobrze do takiego wychowania: był to chłopak cichy, skromny, pobożny, bojaźliwy, chorowity, ale w duszy czysty i z organizacją artysty: nie tego co ma wiecznie grać, czego nie rozumie, ale takiego co czuje więcej niż przez całe życie wygrać potrafi. Otto wpłynął nań potężnie i zrobił z niego fenomenalnego muzyka co do wprawy i umiejętności, jak on sam nie lubiącego się popisywać i profanować swęj sztuki lada przed kim, grającego sobie i Bogu. Olbrzymie też na nim pokładał nadzieje.

Od niejakiego czasu dziwnym składem rzeczy, sam Martynko tylko gościł w Robowie, gdy jednego wieczora, wózek z blizkiego miasteczka przywiózł naraz dwóch młodych chłopaków.



Jeden z nich był, co zresztą łącznie na pierwszy rzut oka poznać było można, wirtuoz z rodzaju długowłosych, których trocha łatwości i talentu, a wczesne w czternastym lub piętnastym roku oklaski, psują i usposabiają na kuglarzy. Max Fermer, już od lat kilku dawał koncerty po większych i mniejszych miastach, już zbierał wieńce wawrzynów, już pełen miał pugilares gazeciarskich pochwał, a album pełne wierszy i sonetów parafialnych, zaczynających się od:

Mistrzu, któryś....

a kończących

niezrównany, boski!

W tem wszystkiem wiele było o kraju, narodzie, o sztuce i geniuszu... ale sensu mało.

Max Fermer grał na wiolonczeli, grał fantastycznie, żywo, z nadrobionem uczuciem; ale taki był z niego muzyk jak bywają poeci, co sześć wierszy gotowi zawsze zrodzić przy kieliszku. Muzyki nie uczył się, nie umiał wcale: grał po większej części swoje własne kompozycje dość niezdarne i nie bardzo logiczne, ale bardzo efektowe, i zdawało mu się, że jeśli

nie przeszedł Servais'go i Romberga, to dlatego tylko, że się jeszcze na nim niepoznano.

A że był ładnym chłopcem i pierwsze swe popisy prowincjonalne odbywał w tych szczęśliwych miejscowościach, które łakome były na wirtuozów, zasłyszawszy coś o Lisztowskich entuzyazmach i spazmach jakie się z nich rodziły, chciały dać dowód, że i one spazmy i wieńce sypać potrafią — odrazu okrzyczany został genialnym. Dla tego rodzaju znawców dość, żeby nie było sensu, a będzie geniusz.

Jak grał to grał Max, ale śmiało umiał wy-  
nijść, skłonić się, świat traktował z góry, z tą pewnością siebie, która zawsze zwycięża; miał czarne oczy tryumfujące i zrazu mu się po małych miasteczkach szczególnie, niesłychanie wiodło. Był już pewniusięki, że z tryumfu w tryumf pójdzie *ad sidera!*

Pojechał więc dalej i ogłosił koncert, ale wpadł w atmosferę oziębioną przez skrzypków, wiolonczelistów i dwunastu cudownych pianistów, którzy wszelki zapal i dwuzłotówki wyczerpali; grał więc przed prawie pustemi ławkami, i odtąd po kilkakrotnych próbach

zawsze nieszczęśliwych, z pustą kieszenią i zakrwawioném sercem wyrzekłszy na świat anathema, jak zapoznany geniusz oddał się narzekaniu na głupotę kraju, brak cywilizacyi, uczucia, na barbarzyństwo i t. d. Wybierał się nawet za granicę, gdyż tam dopiero miał być ocenionym, ale fundusze nie dozwoliły mu jeszcze do skutku przyprowadzić tego zamiaru. Rola jego terazniejsza dość smutna, miała dla z boku patrzących wiele komiczności; słysząc go wżgardliwie plującego na wszystko i pokręcającego wąsik do góry, niepodobna się było utrzymać od śmiechu, zwłaszcza kto wiedział, że kilka pustych koncertów spowodowały tę mizantropią tak gwałtowną.

Jak ludzi i świat, tak arcydzieła i mistrzów, Max lekce sobie ważył, należąc (choć sam o tém nie wiedział) do muzyków przyszłości, radykalistów, którzy nie spojrzawszy nawet w to, co po za nimi zostało, śmiało jak plewę, całe skarby dawne odrzucają.

Ostatkiem goniąc, Fermer znajdował się właśnie w miasteczku sąsiedniém, gdy w cukierni, w której go garstka pseudo-miłośników muzyki



otaczała, spotkał się z drugim takim oryginalnym jak sam, ale daleko szlachetniejszym i szczerzym.

Był to młodzieniec pięknej twarzy, wysokiego wzrostu, blondyn, którego twarz jaśniała jakąś dumą i nieukróconą swobodą; ubrany w kożuszek prosty, opalony: zdziczały, ale śmiały jak dziki człowiek.

Poznali się z nim przy szklance ponczu i razem sobie poczeli na świat, którego ledwie koniec nosa widzieli, narzekać, przeklinać go i wyśmiewać.

Nastąpiła serdeczna przyjaźń, wyznania, ułamkowe biografie bohaterów, i liga potężna, wiekuista. Młody ów lew nazywał się Janko Zbój i powiadał, że był szlachcicem z Podola, ubogim sierotą, który w świat się puścił szukać czego nie zgubił, bo mu tam w domu było nie dobrze.

Janko Zbój osobliwsze wykładał teorye, które wszakże Maxowi przypadły do smaku swą oryginalnością. Utrzymywał on, że cywilizacya psuła ludzi, że stan napół dziki był najszczęśliwszym, bo dawał hart duszy; śmiał się

z salonów i ich obyczajów i dodawał, że choć go los i urodzenie do nich przeznaczyło, dobrowolnie się wyrzekł. W Janku znać było chłopca nie zepsutego jeszcze, ale dziwnie rozbujanego, niecierpliwego na wszelkie powagi i przymus moralny, potrzebującego się wyszumieć pianą młodości gorącej, niepohamowanej. Na pięknej jego twarzy, której rysy uwagę każdego zwracały, płonęła jakby wzgarda przeciwko bezsilnym rozpieszczencom co go otaczali; hardy, mocen sobą, zdawał się wyzywać do boju choćby całe zastępy.

Nie było w nim wykształcenia wielkiego, ale jakby resztki starannego wychowania, które umysł zbuntowany po swojemu użył, rozniósł i rozrzucił. Poezyą młodości i siły złościły się jego usta, oko płonęło.

Obok Maxa, który miał się za żywego Apollona belwederskiego, z powodu że dwie guwernantki rozkochał i od jednej wdowy dostał pierścionek na pamiątkę, Janko Zbój wyglądał jak Herkules, ale Herkules młody jeszcze z całym życia zasobem wziętym z kolebki, w której dusił węże.

Zasiadłszy nad ponczem, całą noc gwarzyli młodzi. Janko szydził, Max mu potakiwał i rzucał na kraj przekleństwa; podpiwszy trochę, poprzyjaźnili się serdecznie, a gdy się jeszcze okazało, że Janko był trochę fortepianistą, ułożyli naprędce projekt jechania razem. Zbój był gotowym akompaniatorem dla Maxa, który go wspaniałomyślnie do trzeciej części z koncertów przypuścił. Janko warował sobie tylko, żeby mu fraka pożyczal do sali, bo tego nie miał i jako piętnem niewoli się nim brzydził.

Ogłosił tedy zaraz koncert wielki, który dał im czystego dochodu złotych czterdzieści. Drugi nieco liczniejszy, gdyż Janko tłukł fortepian bez litości, a Max piłował wiolonczelę aż się skry sypały, zrobił sto kilkadziesiąt. Ktoś rzucił bukiet Maxowi, ale było silne podejrzenie, że on go sobie sam kupił i tę owacyą niezręcznie spreparował. Żyli z tych dwóchset złotych w miasteczku dwa tygodnie, zapraszani do wielu domów, ugaszczani, noszeni na rękach, ale się im w końcu sprzykrzyło, gdy Max postrzegł, że się w nim nikt nie ko-

cha, a Jankowi kładzenie fraka było nieznośnym.

Zasłyszawszy o Ottonie, i najawszy ostatkiem grosza furmankę, przyjechali wreszcie do Robowa.

Max pewien był, że tu przynajmniej przyjęty zostanie z zapalem i uznał słusznym przybrać minę zrażonego geniuszu, który lada chwilę może świat pozbawić swych promieni; z goryczą i szyderstwem przedstawił się Ottonowi, na którym tyle tylko widomego zrobił wrażenia, że ramionami ruszył. Janko przyjechał w kożuszku, i w nim pozostał, grając rolę podrzędną.

Zbój choć grał na fortepianie, nie miał żadnej do artyzmu i muzyki pretensyi; ucho miał dobre, ręce twarde, wprawy mało: znać było, że się bardzo zaniedbał, i choć miał talent, nie przypuszczał go w sobie, śmiejąc się sam z tych co na koncertach brali go za coś.

W tym względzie był on przeciwnym Maxowi biegunem, który o sobie żywił pojęcie potężne. Zadziwił się nieco Fermer, że go zaraz nie proszono grać, a jeszcze bardziej, gdy

potém gra jego żadnego nie wzbudziła entuzjazmu. Otto wysłuchał go z jakąś poważnie litościwą fizyognomią i usiadł wzdychając; Martynko spuścił głowę i zarumienił się, nie śmiejąc w oczy spojrzeć wirtuozowi, który sam uczuł się jakoś śmiesznym i mocno go to zabolalo.

Grał bowiem dla otrzymania odrazu stanowczego zwycięstwa, swą wielką fantazyą pod tytułem: *Niebo i Piekło*, w której nagromadził mnóstwo figlów i efektów, ale sensu w niej nie było ani za grosz, a logiki za szeląg. Była to łatanina przypomnianych tematów, waryacje bez związku z sobą, sztuczki i foremki różnego kalibru.

Max uważał to za arcydzieło, chociaż i dziełem nawet nazwać się nie mogło. Otto nieprzywykły do takiej kociiej muzyki, pisaniej bez znajomości sztuki i natchnienia, milczał.

Wreszcie spytany przez autora, rzekł otwarcie:

— Nie zrozumiałem.

— W istocie — odparł Max — nie jest to łatwe do zrozumienia, jest to pierwszy zarys olbrzymiej epopei muzycznej.

Martynko, który znał się z wielkim stylem i prostotą Haydnowskiego Stworzenia Świata i Siedmiu słów boleści, uciekł do drugiego pokoju, obawiając się parsknąć.

Max mimo dość zimne przyjęcie pozostał w Robowie, bo nie miał co nadal począć z sobą. Jankowi tu dobrze było, choć w wielu rzeczach nie zgadzali się z Ottonem, bo Zbój był apostołem dzikości i swobody nieukróconej, a Otto nadto znał świat, by się mógł podobnemi teoryjami zabawiać; coś było w tém rozbujalém dziecku sympatycznego, w jego sile miłego i dobrego, szlachetnego w instynktach. Zresztą, jako muzyk śmiał się sam z siebie i głośno mówił, że nic nie umiał i tém sobie ujął Ottona.

— Co ty chcesz z sobą robić? — spytał go w kilka dni potem Otto.

— Ja? — odparł Janko — albo ja wiem?

— Przecież musisz jeść, trzeba coś robić.

— A no, to będę konie pasał — rzekł Janko — jeśli nic innego nie potrafię; jeszcze to może jedno z najlepszych... powietrze, słońce, lasy, i w kożuszkach chodzić można a nikomu się

nie kłaniać, i dosiadłszy żrebca wyhulać się na nim do z mordowania...

— Cóżes ty dotąd robił?

Twarz Janka się zachmurzyła.

— A cóż? sierota, wałęsałem się po świecie; trochę mnie z początku uczyli, trochę się na gwałt poduczył, potem nie stało opiekunów, poszedłem w świat, ot tak sobie bez grosza, tom różnie zarabiał: koniem najeżdżał, myślistwo u hrabiego utrzymywałem, to się tam coś zapracowało. Potem zjadło się co się miało, wałęsałem się, a teraz pójdę gdzie służyć, byle z bydłem a nie z ludźmi mieć do czynienia i być swobodnym. Z hrabią rozstaliśmy się, bo myślał, że płacąc wolno mu było mówić do mnie niegrzecznie i grubijańsko: odpłaciłem mu tą samą monetą i kwita. Co dalej będzie, nie wiem. Może wiecie gdzie jakie stado i miejsce koniuszego?

— Nie wiem — rzekł Otto — ale cię na to szkoda.

— A mnie samemu nie. Cóż to złego? byle był chleb, a niewoli nie było, bo tej nie

wytrzymam. Zresztą wy ludzie frakowi tego nie zrozumiecie.

— Ja to dobrze rozumiem.

— Jam dusza stepowa — dodał Janko — mnie milsza kozacza swoboda nad wszystko.

Oba tedy ci przybyłce jak raz usadowili się w Robowie, ani myśleli ztąd ruszyć. Najgłówniejszą tego przyczyną było, że jak Max wielki, tak Janko, nie mieli o czem wyjechać, wyczerpawszy ostatnie zapasy. Ale Janko pierwszy się śmiał z tego, a wielki geniusz, Fermer starał się to smutne położenie różnemi pokrywać kłamstwami. Obojętność towarzysza wprowadziła go wreszcie na tor udawania pogardy dla grosza i *podłego kruszcu*; ale to mu jakoś nie szło.

Martynko patrzył na to nowe zjawisko wielkimi oczyma człowieka, który nigdy nic podobnego nie widział i nie marzył. Gruntowną mając naukę, pracowity i skromny jak Otto mistrz jego, biedny chłopiec nie pojmował, aby taka zarozumiałość legnąć się mogła wśród takiego nieuctwa, i żeby oboje razem szli w świat tak śmiało, głosząc o sobie dziwy.



Janko przynajmniej nie nie umiejąc sam z siebie żartował, muzykę swoją lekceważył choć istotną do niej miał zdatność, śmiał się z téj roli wirtuoza, którą mu narzucono; gdy Max nawet sam na sam z nim nie wychodził z poszanowania dla swojego geniuszu i kome-dyi, w którą się już tak wdroył, że ją musiał grać całe życie.

Obaj ci ludzie z różnych powodów zajęli gospodarza, który od pierwszego wieczora poznał ich charaktery i mógł wróżyć o przyszłości.

Żał mu było tego Maxa z takim szaloném zuchwalstwem idącego w świat bez nauki, a może bez talentu i ochoty nawet do tego, co czynił; żał więcéj jeszcze Janka, który poznany bliżéj, na poczciwe, popsute tylko i rozpuszczone chłopię wyglądał. Ostatni prostotą swą i szczerością wziął go za serce. Sam on zwał się duszą stepową i dziwne miał jakieś wstręty do życia cywilizowanego, a popęd do samopaśnego choćby nędzą okupionego żywota. O przyszłość dbał jak najmnieéj, nie obchodziła go ona wcale, dobijać się niczego nie myślał; w końcu jego wszystkich marzeń była nieo-

graniczona jakaś swoboda Araba, który ugania się po pustyni sam jeden, ale jak ptak wolny. Choć mało znał innego życia warunków, takie ono w nim budziło wstręty, że wolałby być przywdziać nędzę i łańchmany, niż frak z pełnemi kieszeniami złota. Z tego punktu zapatrywał się on na świat, szydząc z niego niekiedy niesłusznie, czasem bardzo trafnie.

Nigdy może mniej sobie charakterami pokrewne dusze, jak Maxa i Zbója, nie połączyły się z sobą: Max był cały kuglarzem, Janko nie umiał kłamać i brzydził się wszelkim fałszem. Tylko mizantropią jego wygodnie było na chwilę przywdziać Maxowi, póki był goły i pamiętał ostatnie chybione koncerty, i w tym punkcie stykali się z sobą, że oba na świat dziwne prawił dziwy.

Max przy wielkiej śmiałości miał zdolności mało, Janko przy nieuctwie łatwe objęcie, umysł bystry, rozum zdrowy i chęć nawet do pracy, byleby ta nie była ujętą w formy konieczne, w godziny naznaczone, w niewolnicze kłamry.

Nieproszeni ci goście siedzieli spokojnie w Robowie. Pierwszego zaraz wieczora dawszy miarę tego co umiał Max, widząc jak małe na słuchaczach uczynił wrażenie, pokrył w sobie to co uczuł, a że w istocie muzyki nie lubił bardzo, już później popisywać się nie chciał, odzywając się nawet z groźbą, że świat pozbawi wielkiego artysty i pójdzie inną drogą, kiedy tu uznania nie znalazł.

Najdziwniejszém było, że Janko, który sąd miał dosyć zdrowy, nie umiał się wcale poznać na towarzyszu: brał go za geniusz i dał sobie wmówić wszystko co Max chciał.

Wieczorem, gdy po długiej gawędzie szli drugiego dnia na spoczynek, Max któremu szło o to, by zbadać czy nie stracił uroku w oczach towarzysza, ziewnął ogromnie i odezwał się rzucając na łóżko:

— Co ty mówisz o tym domu?

— A cóż, to serdeczny jakiś człowiek Marzycki, i lubi muzykę.

— Tak! zimny, pedant! Zdaje genialnych pomysłów nigdy potrafi, nie ma ognia święte

jak słuchali gdy im grał! Zrobiło to wrażenie, nie można powiedzieć, ale jakby pierwszy raz coś podobnego o jego uszy się obilo, stał osłupiały—zimny! To jeden z tych ludzi — ja się znam — którzy wszystko mierzą łokciem starych prawideł: dusza jego nigdy nie podniesie się ku ideałowi, ku tym strefom, w których mieszkają wybrani. Proszę cię, przysuń mi tytuń!

— A życie jakie tu prowadzą — dodał Max — chleb czarny, jaka strawa! wino kwaśne! lura! dom i meble co to za graty! Człowiek jednak ma być nie ubogi! Ja tu długo nie myślę gościć — rzekł kończąc — mam jeden projekt tylko: potrzeba mi, żeby ten człowiek swoim wpływem koncert nam na wsi urządził, zbierze się coś grosza i w świat! Jabym się tu na śmierć zanudził: to gorzej klasztoru!

Janko westchnął.

— Nie ze wszystkiem — rzekł — godzę się na to, bo mnie tu dobrze, a Otto jakoś mi bliżej do serca.

— Me, poziome istoty! — mruczał za-

Max — jabym tu zastygł, ja tu

wiolonczeli w rękę nie wezmę; dla kogo grać?  
dla kogo?

— No! dla siebie! — odparł Janko.

— Dusza moja gra nieustanną pieśnią — dodał Fermer niedbale — nie potrzebuję na to wiolonczeli: jestem sam muzyką aż do szpiku kości!

W kilka dni potem lepiej się jeszcze okazało nieuctwo genialnego artysty. Otto, który nad wszystkie muzyki prznosił zbiorową, urządził trio Mendelsohna, sadzając Martynka do fortepianu.

Max, który nie grywał tylko swoje fantazye, barkarolle, kaprysy i t. p. rzeczy, z razu zaciął się na tę propozycyą; nie miał ochoty, bolała go głowa: potem poczuł, że mu nie wypadało przyznać się tak niejako do nieudolności, powiedział że rzecz zna i grać może.

— Tylko żem tego bardzo dawno nie grał — dodał — bom przywykł własne tylko myśli oddawać; chcę pozostać oryginalnym: ale spróbujemy.

Janko był kontent, pewien, że się tu dopiero wyższość przyjaciela okaże. Rozłożono nuty,

poczęto, ale w dziesięć taktów Max się zaraz zgubił; powtórzono, nie szło; sprobowano czego innego, okazało się, że źle czytał, że nie mógł się utrzymać w takcie, że — ostatecznie — nic nie umiał. Przeszli do rzeczy łatwiejszych, ale i tamte się nie powiodły. Janko był zdumiony, że geniusz tak sobie nie mógł dać rady; Max wszakże udawał, że wcale fantazyi nie stracił.

— Taka muzyka — rzekł — to niewola; umysł wyższy nie może się nagiąć do niej: on potrzebuje jak ptak szeroko rozwinąć skrzydła, lecieć gdzie go oczy poniosą. To dobre dla zimnych ludzi, którzy są zawsze panami siebie.

To rzekłszy odrzucił nuty wzgardliwie i począł jakąś swoją kompozycją, której nie wiadomo, nielogiczność czy dziwactwo bardziej podziwiać było potrzeba. Martynko musiał znów uciekać do przedpokoju aby się w głos nie rozśmiać.

W istocie nietylko muzyka, ale muzyk wyglądał pociesznie z włosom zarzuconym na tył, z zawiniętymi rękawami, z miną niby natchnio-

ną, której nadawał wyraz dziko namiętny, lub tęsknie rozmarzony.

Otto z założonemi na piersi rękami smutnie patrzył nań z wyrazem politowania. Max chciał koniecznie rozbudzić w nim entuzjazm, ale słowa z niego dobyć nie mógł, ani najmniejszej oznaki współczucia.

Nareszcie gdy z podziwem Janka długo się ucierał z wiononczelą, chcąc za poprzednie fiasko zapłacić, i Ottona poruszyć nie mógł; odrzucił instrument i padł w postaci bohatera po bitwie, na kanapę, rozkazując Jankowi przynieść sobie szklanę wody.

Otto widocznie pomieszany, milczał. Max poczuł wreszcie, że tu komedia żadna nie pójdzie, ale nie wychodząc ze swęj roli, napił się wody, odrzucił włosy i ze spuszczoną głową, jakby pod brzemieniem myśli i uczuć, wyszedł do ogrodu, mówiąc pocichu:

— By duszę nastroić do natury śpiewu!

— A co? jak gra?—zawołał Janek gdy tamten wyszedł—jak on gra?

Otto i Martynko spojrzeli sobie w oczy: blade chłopak nie mógł już dłużej wytrzymać, bo

miał tę wadę że był śmieszek, i nagle parsknął. Potém zaszedł się okrutnie, uciekł do kąta i rękami się zasłoniwszy, począł na dobre śmiać się do rozpuku.

— Co mu się stało? — zapytał Zbój.

— A cóż, to efekt spazmatyczny: gra twojego Maxa.

— Martynko nie jest w stanie zrozumieć go chyba — odparł rumieniąc się Janko — to geniusz!

Otto zbliżył się doń i położył mu rękę na ramieniu.

— Kochany Janku — rzekł — reguła ogólna, że geniusze najłatwiej się pojąć dają: geniusz dlatego nim jest, że to co ty masz w duszy, dobywa ci z niej i uwidamia lepiej niżbyś ty potrafił; geniusz nie jest dziwactwem, jest wielkością prostoty pełną. Max wcale nie gra, rzępoli, nic nie umie, mógłby mieć talent, ale go zabił zarozumiałością. Szkoda go! ucząc się, mógłby dojść do czegoś.

— Na co geniuszowi nauka? —

— Wszystkim ona potrzebna — odparł Otto — nikt nie zdobywa umiejętności bez potu



i trudu, wszędzie inicjowanym być potrzeba, jak do starych Eleuzyńskich tajemnic. Muzyka jest sztuką i umiejętnością razem: kto w niej na sztukmistrzowie samém poprzestał, do niczego nie dojdzie.

— No! to ja tam tego nie rozumiem! — zawołał Janko — ale gorąco gra, szalenie, to mi po duszy chodzi!

— Wierzę, boś głodny wrażeń i pożywasz ładajaką nawet strawę z chciwością wygłodniałego człowieka — rzekł uśmiechając się gospodarz. — Maxa to jednak daleko nie zaprowadzi, bo to nie jest muzyka, tylko granie, a i granie jeszcze nie najlepszego gatunku...

Jankowi przeszło wprawdzie przez myśl, że zazdrość przemówić mogła przez gospodarza, ale nie skory do posądzeń o złe, odepchnął ją ze wstrętem. Gdy potem jego znowu do gry zachęcać poczęto i z pomocą jego skromności niektóre części przeszły dosyć dobrze, a Janko parę pięknych rzeczy sumiennie i z uczuciem odegranych wysłuchał, znajdując niezmierną między nimi a grą Maxa różnicę; wątpliwość wkradła się do jego duszy, czy istotnie Fermer

był tak wielkim i genialnym człowiekiem, jak mu się z początku wydawał.

Muzyka ta nowa głębsze, potężniejsze na nim robiła wrażenie; zdawało mu się, że jaśniej w niej myśl czytał, i zamiast burzy i rozdrażnienia, spokój zostawiała w jego duszy.

Zawahał się i zachwiał.

Max wieczorem nieomieszkał mu znowu szepnąć:

— Pedanci tacy: nie warto grać dla nich... Ta głupia ich muzyka klassyczna, pęta i więzi, to lichoty! to rokoko! Mógłbym być grać gdybym chciał, bo to tam nie trudnego niema dla mnie, ale umyślniem porzucił, bo mi się dusza burzyła w tych więzach... To dla mnie fraszki! Ale suche, ale nudne! wióry! nic więcej.

Janko milczał.

— Otto bardzo dobry człowiek — dodał Max ręką przyczesując bujne włosy — ale jest w nim trochę zazdrości. Gry takięj jak moja nigdy w życiu nie słyszał, czuje jęj wyższość, a uznać jęj nie chce, bo wie, że nigdy ani on sam, ani jego wychowanek Martynek, ślepa kura, do tego nie dojdą.

— At! głupstwo!—dodał Max patetycznie—  
mnie tylko potrzeba się dobyć z tego kąta  
obrzydliwego na większy świat, w jaśniejsze  
strefy: tam dopiero ludzie wyższych usposo-  
bień i ukształcenia, mogą się poznać na mnie.—  
W świat! w szeroki świat! — rzekł bijąc się  
w piersi — czuję w sobie siłę do poborykania  
się z nim, i zwyciężę.

Do Paryża mi tylko, a raz stąpiwszy nogą  
na ten bruk, nie potrzebuję nikogo. Ale jak  
zład się wydobyć?

W tém był sęk. Max nienawidząc, musiał  
ciągle marzyć o podłym kruszcu, który go miał  
wyzwolić, ale projekta jego koncertowe były  
tak niepraktyczne, że myśleć nawet o urzeczy-  
wistnieniu ich nie było podobna.

Otto, jak wszystkim w swoim domu, zоста-  
wił mu zupełną swobodę. Życie szło u niego  
zawsze jednym trybem, Max z niem pogodzić  
się nie mógł; muzyka cudza nudziła go, własna  
o tyle tylko zajmowała, o ile wywoływała  
oklaski. Spędzał dnie z cygarem w ustach na  
kanapie leżąc podparty na rękę, w marzeniach  
o Paryżu: wiolonczeli nie tknął nawet. Janko,

który coraz więcej przywiązywał się do gospodarza i jego muzyki, nie opuszczał na chwilę salki w której grywano; sam ile mógł należał do tego, i w skutek tej zmiany smaku, stracił znacznie łaskę u Maxa, który się z niego zaczął prześmiewać.

Mówiliśmy już, że Robów od Zarubiniec przedzielała przestrzeń bardzo niewielka. Otto chodził często do Żółtowskiego, którego lubił poczciwość i prostotę. Raz w tej przechadzce, Max gawędząc przeprowadzał go z Jankiem; mieli powrócić z pół drogi, ale się tak zagadali, że doszli prawie do furtki ogrodowej.

Gmach pałacowy, wspaniałe mury pańskiej rezydencji, które Janka odstręczały i straszyły, Maxa pociągnęły ku sobie magnetyczną siłą. Czuł on, że jego talent pasożytnej natury musiał gdzieś przylgnąć do pańskich podwojów i do pańskiego przyrosnąć żywota, aby przy nich żyć darmo, płacąc małpią monetą, jak mówią Francuzi.

Spojrząwszy na mury zarubienieckie, Max westchnął pożądliwie, myśląc jakby się to tam dostać. Muzyka dlań nie była nigdy celem:

była środkiem, uprawiać jęj w cichościby nie potrafił, bo w duszy była mu obojętną, ale ją uważał za dobre narzędzie łatwego postawienia się w świecie na przyzwoitej stopie i zarabiania pieniędzy w sposób, że zdawał się biorąc je, robić łaskę tym co dawali, spełniającym tylko względem sztuki święty obowiązek, płacącym dań należną talentowi.

W chwili, gdy mieli się rozejść u furty ogrodowej, wracająca z przechadzki hrabina i Lola, nadeszły właśnie. Znały one trochę Ottona, ale uderzyły te panie twarze towarzyszków, które musiały ciekawość obudzić i zrobić wrażenie. Max był ubrany po artystowsku, jaszkrawo i krzycząco; Janko bardzo prosto. Obie twarze były piękne i znaczące, osobliwie ostatniego, pełna wyrazu męskiej energii i siły. Lola zarumieniła się cała, z ciekawością dziecięcą wpatrując się w tę grupę mężczyzn, wśród której postawą i charakterem poważnym odznaczał się Otto Marzycki.

Janko nie spojrzawszy nawet na przybyłe panie, postrzegłszy tylko suknie ich jedwabne, natychmiast pierzchnął w bok, gdyż nienawiść

jego ku wszystkiemu cywilizowanemu dochodziła do tego stopnia, że i kobiet salonowych, jak je zwał, znieść nie mógł. Max przeciwnie nastrzępił się cały, nabrał miny, uśmiechu, i choć nigdy nie przestawał grać komedyi, jeszcze zamasyściej w tój chwili począł udawać Liszt'a, aby oczy niewiast zwrócić na siebie.

Był już pewny, że dystyngowaną swą postawą, niebieską chustką i fularem, pierścionkami, któremi okryte miał palce, ściągnie na siebie dam oczy i z niemi wejdzie w pałacowe przybytki, gdy hrabina z Lolą znikły szybko, wchodząc w głąb' ogrodu.

Otto, który spostrzegł wrażenie jakie to spotkanie zrobiło na Maxie, uśmiechnął się i wskazując mu ścieżkę do Robowa, sam zabierał się iść do Żółtowskiego, ale Max go wstrzymał.

— Na miłość Boga! co to są za panie?

— Hrabina i jej córka.

— Co za dystynkcyja! jaka piękność! I pan mieszkając pod bokiem nie starasz się ich poznać!

— Ja je znam, ale w pańskich domach nie bywam.

— Jestem pewny — dodał Max poprawując włosy — żeśmy na nich niejaki uczynili wrażenie. Uważaliście rumieniec dziewicy? Tu w tej pustyni spotkać podobne nam istoty, nie może przejść niepostrzeżenie; spytają przecie o nas, spodziewam się, że w takim przypadku nie zapomnisz nas, to jest mnie polecić. Chętnie, bardzo chętnie zrobiłbym znajomość.

— Na Boga! co ten człowiek plecie! — przerwał Janek — nie rekomendujcież tylko mnie: ja za nic iść tam nie chcę i nie pójdę!

— No, to mniejsza, ale gdyby zyczyły sobie mnie słyszeć...

Otto ruszył ramionami.

— Spodziewam się — rzekł Max żywo, — że mi do tego drogi nie zagrodzisz; jestem pewny, że na tych czystych duszach niewieścich zrobiłbym wrażenie.

— No! no! chodźmyno, chodźmy — przerwał niecierpliwiając się Janko, który tak obawiał się, aby go nie pochwycono do pałacu, jak tamten zaproszenia pragnął.

Odeszli wreszcie.

Od téj chwili choć z obawą, aby Otto nie śmiał się z niego, ukrywając myśl swoją, Max powziął zamiar dostania się koniecznie do pałacu. Zrażało go nieco to, co słyszał o hrabi, ale gotów był na trochę upokorzenia nawet, byle do tego upragnionego pałacowego świata dostać się. Nie mówiąc nic Jankowi ani gospodarzowi, pod pozorem rozmyślań i tęsknoty poetycznej, wysuwał się ukradkiem na ścieżynkę do Zarubiniec wiodącą i szukał zręczności nowego spotkania z paniami.

Los usłużył mu nadspodziewanie. Hrabina z córką codziennie chodziła właśnie w tę stronę, bo droga wysadzana lipami między Zarubińcami a Robowem, które dawniej stanowiły jeden majątek, była bardzo miłą przechadzką. Doszedłszy téj tajemnicy, Max w kilka dni potem czatował już na panie.

Wiekuiasty komedyant, wprzód dobrze sobie ułożył, jak się ma przed temi paniami pokazać; wiedział że na kobietach, istotach czułych i wrażliwych, nie robi większego wrażenia nad smutek i rozpacz: choć więc smutkiem się



brzydził i na własny użytek wcale go nie miał, przybrał jako strój pokąźny, na to oczekiwane spotkanie. Zdało mu się, że i książka, zwłaszcza francuzka, trzymana w ręku lub rzucona niedbale na ziemię, jeśliby się wypadło, wcale nie byłaby od rzeczy.

Strój jak najwykwintniejszy, ale z pewnym zaniedbaniem ułożony, włosy nieco rozwiane, brew namarszczona, postawa teatralna, dawno w umyśle jego przygotowane były. Chciał koniecznie silne uczynić wrażenie. Z góry nawet ułożył sobie słowa jakie miał wyrzec, obraz życia swojego, który mógł przedstawić w danych okolicznościach: zagadkowy, tajemniczy, straszliwy — czarną przeszłością.

Stare to sztuki, ale niestety, ludzie jak ryby zawsze na jednego robaczka i wędkę złapać się dają.

O przyzwoitej do przechadzki godzinie, Max wymknąwszy się z Robowa, wcześniej w lipowej alei przygotował się do spotkania z hrabiną. Z głową w dół spuszczoną, z oczyma wlepionymi w ziemię, z książką ściśniętą w dłoni, jakby namiętą rozpaczą skurczoną, szedł świata niewidząc niby, przeciw siebie.

Hrabina była zamysłona istotnie czy zamordowana może, tak, że tego nie postrzegła; Lola chmurkę jakąś gonila po niebie i nie widziała co się działo na ziemi: Max doskonale obrał sobie aby prawie wpaść na nie, i trochę przestraszyć, krzyknąć, zacząć przeproszać i w ten sposób zawiązać rozmowę.

Stało się słowo w słowo jak sobie obmyślił, ale hrabina o parę kroków postrzegła Maxa i nagle usunęła się z córką na bok, a artysta pogrążony w zadumie w chwili gdy miał się z niemi spotkać, zmuszony logicznie rolę swą grać do końca, minął je z oczyma wlepionemi w padoł płaczu.

Jednak jakby od przechodzących niewiast powiało nań przecuciem, nagle podniósł głowę brzemieną myślami tęsknemi, ocucił się i westchnął silnie, a ujrawszy panie (choć od kwadransa wprzód je widział) wydał lekki okrzyk zdziwienia: tak stało w programie.

Tu nastąpił ukłon czystej grzeczności należnej niewiastom; hrabina oddawszy go usiłowała ominąć natręta, ale wielki artysta stanął jakby osłupiały; przyłożył dramatycznie rękę

do czoła i uśmiechając się, począł przeproszać sam niewiedząc za co — że śmiał, że mógł...

Nie było w tém sensu, ale hrabina dobra kobieta nie przypuszczająca nigdy udawania i komedy, wzięła jego grzeczności, smutek, nieprzyzwoitość za dobrą monetę. Młodzian chmurny wzbudził w niej litość, przeczuwała w nim nieszczęśliwą, od losu prześladowaną istotę.

Gdy więc Max kołując zręcznie, począł przeproszać niewiedzieć za co, hrabina nie pozbyła go się milczeniem, ale miłosiernie pozwoliła mu zawiązać rozmowę.

— Gdybym był wiedział, że pani hrabinie przerwę jej, zapewne ulubioną, przechadzkę — dodał zaraz — nie ośmieliłbym się nigdy udać w tę stronę; lecz — dodał spiesząc zaraz popisać się z tém co wedle jego mniemania najskuteczniej ująć mogło, — lecz duszom zranionym jak moja, ludziom od losu prześladowanym, samotność jest potrzebą, natura jedyną pociechą.

Hrabina i Lola spojrzały nań ciekawie.

— To jabym go winna przeprosić — odpowiedziała Marya — żem mu tak drogą przerwała samotność; dla mnie ona nie jest tak konieczną.

— A! pani, my wydziedziczeni — chwytając rozmowę co żywiej dodał Max — my nieszczęśliwe dzieci, sieroty losu, mamyż prawo do jakiej litości? My nie mamy do niczego prawa — nawet do powietrza którym oddychamy.

Uśmiechnął się szydersko, boleśnie, a uśmiechu tego znał dobrze wagę, bo go wprzód w zwierciadle próbował ku temu celowi, i zamilkł idąc jakby mimowolnie z hrabiną.

— Pan nie jesteś z tych stron? — spytała dobra kobieta zmuszona coś powiedzieć.

— Ja, nie; jestem tu zabłąkanym wędrowcem, w gościnie u mojego przyjaciela: chciałem wśród tej ciszy wiejskiej odpocząć po gwarze wielkiego świata, po zimnych tłumy oklaskach, po wszystkiem co istnienie artysty czyni męczarnią.

— Pan jesteś artystą?

— Muzykiem? — podchwyciła Lola, która bardzo muzykę lubiła.

— Tak jest pani, szczycę się tём nazwaniem, które jest zarazem ciężarem i chlubą.

Chwila milczenia, Max poprawił włosy i wydał westchnienie, które mu się zdawało na dobre, bo miało świadczyć o ciężkiem brzemieniu jakie dźwigał na duszy. W jego przekonaniu oznaczało ono jak wielkim ciężarem jest geniusz, a chciał wydać się geniuszem. Hrabina w prostocie ducha nie była wcale od tego, by go za geniusz poczytać, bo takim właśnie z książek sobie wyobrażała wielkiego artystę.

Niestety! książki bredzą, geniusz inaczej wygląda! Jest prosty, chmurny, jest silen i wybucha nie dlatego, by uczynił wrażenie; ale mimowoli gdy dotkną to co dlań święte, gdy drgnie w nim struna serdeczna, tai się on z wielkością swoją, wstydzi tego co ma najdroższe, lubi samotność, ale o niej nie rozprawa, a gdy płacze, lży swe kryje. Geniusz jest prawdą: nigdy rachubą i komedią.

Max był tylko fałszywą monetą artysty i genialnego człowieka, ale często połysk ją czyni od najprawdziwszej piękniejszą na oko: i tu się może tak zdało na chwilę.

Max potrafił zająć hrabinę, nie szczędził też ku temu środków; w miarę jak robił wrażenie i domyślał się, że je czynił, bił w to co je wywołało, usiłując powiększyć. Lola ciekawie, z zajęciem dziecinném, ale z obawą i bez sympatyi spoglądała na niego, czego równie dostrzegł artysta. Przez matkę więc starał się utorować drogę do córki, ku której głównie zwracały się jego marzenia. Wiadomo oddawna, że wszyscy wielcy artyści tego rodzaju śnią zawsze o ożenieniach z hrabiankami, a że nią się najczęściej z lada kuglarką, co ich zręcznie uprowadzić umie, lub z pierwszą lepszą wypłowiałą pięknoscią.

Max bardzo bacznie i ostrożnie kierował ku córce rozmowę i oczy, pierwsze miejsce dając wszakże samej hrabinie.

Marya była do zbytku dobrą, prostą i wierzącą kobietą, miała znajomość świata i serce poczciwe czyniły ją niepodejrzliwą: powiedzmy raczej nieostrożną w najwyższym stopniu.

Lolę instynkt jakiś odpychał od czarnowłosego awanturnika, wstydziła się zań chwilami, czuła, że ktoby tyle cierpiał, nie mówiłby tak

o sobie i swoich boleściach deklamatorsko i bezwstydnie. Prawdziwe cierpienie jest wstydlive.

Całym staraniem Maxa było tak zręcznie zająć sobą, poprowadzić rozmowę, aby mieć powód wkręcenia się do pałacu; nie wiedział jak hrabia był trudnym w tym względzie, ani że żona nie ośmieliłaby się nigdy sama bez wiedzy jego kogokolwiek zaprosić.

W rozmowie mówiąc o sobie, rzucił myśl jakby był szczęśliwy dać się słyszeć hrabinie, jak miłoby mu było przed osobą tak wysoce ukształconą, wylać swe myśli muzykalne, które tak mała liczba wybranych pojąć i ocenić jest zdolną. Hrabina jednak uporeczywie milczała, i gdy przybyli do furtki ogrodowej, choć to była godzina herbaty, pożegnała go grzecznie, dając mu do zrozumienia, że się tu rozstać musieli.

Z razu Max był gniewny i wściekły, bo wyszafował cały swój arsenał napróżno i nic, jak się zdawało, nie zrobił; ale spojrzawszy na odchodzące niewiasty powiedział sobie, że się to na tém nie skończy, i wracając do Robowa

osnuł sobie w ciągu drogi opis tego spotkania w taki sposób, by się niem mógł przechwalać przed Ottonem i Jankiem. Choć nie rad w duszy przybrał umyślnie największy entuzjazm dla hrabiniej, humor człowieka uszczęśliwionego. Lola niecierpliwiła go swoim chłodem, bo mu żadnego nie okazała współczucia, ale i to wypadło całkiem wystawić inaczej.

Zastał wszystkich w ganku, Janek im coś rozповідаł o życiu w Ukrainie i stepach.

— E! bo to nie ma życia jak tam—mówił— jak zajrzysz świat stoi otworem, inne powietrze, inaczej buja oko, pierś swobodniej oddycha, a lud tak prosty i szczery, tak po staremu braterski. Kiedy wróg to na zabój, i dłoni ci nie poda; kiedy druh to w ogień i wodę—a tu!

— Wstydźże się panie Janku—odparł Otto— a tuż u nas inaczej? albo my ci to kłamiem?

— A najprzód zwiesz mnie panem Janem, a jam wcale nie pan: Janko Zbój, sierota, dziecię mogił i stepu, proste chłopię: na wyraz pan, ciarki chodzą po mnie.

— A to po bratersku?—spytał Otto.



— Mylisz się, ja się nie wzdrygam na panów, ale się boję być panem.

Na te słowa nadszedł właśnie Max zadumany i padł na ławę milcząc.

Po twarzy jego tak ułożonej, aby malowała wielkie doznane wrażenie, poznać było łatwo, że dlatego tylko milczał, iż chciał aby go na opowiadanie wyciągano, które ogromne uczynić powinno było wrażenie.

W takich razach Max instynktowo naśladował ruch zwykły wielkich ludzi obciążonych brzemieniem myśli: tarł czoło, zarzucał włosy, i lwią grzywę żelaznemi targał rękami. — Ale Otto nie pytał, Martynko nie śmiał, i Janko dopiero po chwili go zagadnął.

— No! cóż ci to Max?

— Nic mi, nie... Każ mi dać wody, proszę... Zawsze mnie wielkie doznane wrażenie o taki stan przyprawia.

— No? czyś psa wściekłego spotkał? — zapytał Otto.

— Może bydło wracające z pola? — zagadnął Janko.

— Proszę was... dajcież mi pokój!

To „dajcie mi pokój” wyzywało pytania, budziło ciekawość:

— Doprawdy? cóż ci to jest? czy sekret?

Max chwilę pomilczał, potem westchnął głęboko, i jakby przymuszony dodał:

— Nie — rzekł w pół do siebie — alem miał spotkanie, które głębokie piętno zostawiło w mojej duszy.

— Tu? w lipowej ulicy? spotkanie? — podchwycił Janko.

— Tu! — rzekł Otto ruszając ramionami — no, to chyba z hrabiną!

— Rzeczywiście spotkałem hrabinę — odparł Max poważnie — miałem szczęście zbliżyć się do niej, poznać ją lepiej. Dusze wyższe łatwo się porozumiewają. Co za rozum! ile uczucia! Co to za anioł ta jej córka! co za dystynkeya!

— JAKTO? tyś gadał z niemi — zawołał Janko zdziwiony.

— Ty wiesz — rzekł poważnie Max — że natarczywy nie jestem i nie bardzo lubię nowe znajomości: unikam ich nawet. Spotkawszy je chciałem minąć, ale mnie same zatrzymały.

Pomimo że to kąć głuchy, podobno imię moje nie było im obce, uważam to z hrabiniej, która bardzo uprzejmie starała się mnie zbliżyć ku sobie. Zapraszano mnie nawet do pałacu, ale odmówiłem.

— Hrabina zaprosiła cię do pałacu! — przerwał Otto uśmiechając się — ona!

— Cóż dziwnego! nie zapominaj, że jestem artystą.

— Ona! co bez męża nie śmie do nikogo przemówić w salonie.

— Powiadam ci, że mnie usilnie zapraszano, gadaliśmy z godzinę, rzuciłem niektóre myśli mogące zrobić wrażenie. Lola, śliczna Lola była zajęta bardzo; lubi znać muzykę: matka mogła to uczynić dla córki.

Otto zamilkł widząc jawnie, że to było wierutne kłamstwo, Janko poczciwy za dobrą wzięwszy monetę, zadziwił się mocno.

— To jeszcze szczęście jakieś że zaproszenia odmówiłeś, choć samą znajomością jużes na siebie włożył nadaremne pęta.

Max ruszył ramionami.

— Odmówiłem dziś — rzekł — byłem nieu-  
sposobiony, ale kiedyś może tam pojedę! zo-  
baczę! — dodał udając obojętnego. Przyznam  
się, że chcę ochłonąć po wrażeniu jakie na  
mnie zrobił ten anioł, śliczna Lola. Przecz-  
wam miłość! boję się jej! zarody rozpaczy  
i śmierci w niej leżą.

Cała ta scena była tak niezręcznie ułożona,  
że nawet poczciwy Janko poczuł jakieś niedo-  
wiarstwo raz pierwszy i zimno spojrział na to-  
warzysza, na którego Otto patrzył z coraz  
większém politowaniem.

Stworzony na komedyanta jakim na świecie  
najlepiej, bo choć ich z razu wygwizdzą, w koń-  
cu coraz wprawniejszą grą, oklasków się do-  
robią; Max w samych swych początkowych  
niepowodzeniach miał pobudki do dalszego  
kształcenia się. Z każdej omyłki własnej ko-  
rzystał, brał miarę z wrażenia jakie wywierał,  
by nie stać się nadto przesadnym. Gdy na  
twarzy Ottona postrzegł chłód i niewiarę, zro-  
zumiał zaraz, że miarę przebrać musiał i upar-  
cie zamilkł.

Janko patrzył nań zdumiony ruszając ramionami.

Odchodząc Max szepnął mu na ucho:

— Wyucz mi się dobrze akompaniamentu, bo z pewnością zagramy koncert w Zarubińcach.

Ufał w to jak najmocniej Max i postanowił dojść do tego drogą, którą sobie najprzód wyznaczył, choć później kierunek jej zmienić musiał.

Mówił sobie, że postara się raz drugi spotkać z hrabiną, że wciśnie się do pałacu, że odmaluje się tam jako potomek wielkiej rodziny upadłej, prześladowany od losu, że tym sposobem obudzi w niej litość, i skłoni do zajęcia się wielkim koncertem, na który do Zarubiniec całe sąsiedztwo sprosićby było można.

Janko wprowadzie, gdy mu to dał do zrozumienia, najmocniej zaprotestował przeciw wdzianiu fraka i wejściu do pałacu; stanowczo powiedział, że tam grać nie chce i nie będzie, ale Max tylko na to głową pokiwał.

Projekta te nie zupełnie się wszakże powiodły; hrabina już więcej w lipową aleję na

przechadzkę umyślnie chodzić nie chciała, przez litość aby biednemu samotnikowi tak potrzebnej nie przerywać ciszy. Maxowi gościć za nią gdzieindziej nie wypadało, rzeczy więc zostały w niepokojącym *statu quo*.

Max coraz głębiej się zamyślał, trzeba było szukać innych sposobów; zaczął dowiadywać się o hrabi i postanowił wprost nań uderzyć.

Było to trudne, ale odwaga mury łamie; nie spowiadał się nikomu z niedorzecznego projektu: Janko nawet nie wiedział o niczem.

Zakochać się w hrabiance i być od niej szalenie ukochanym, mało się już Max spodziewał: potrzebował gwałtowniej daleko napełnić worek pusty, by się wyrwać z tej okolicy i dostać w ten świat, który się jego wyobraźni jak port wybawienia malował. Tam go czekały wawrzyny, oklaski — i potoki złota.

Nie brakło mu przebiegłości, gdy chciał czego dokazać i dał jej dowód najlepszy, dostając się do pałacu sposobem przez siebie wynalezionym, gdy stracił nadzieję spotkania hrabiny i użycia jej do tego.

Wspomnieliśmy już o Malczaku, owym wszechmocnym pomocniku hrabiego, który pochlebiając słabości jego, niezmierną nad nim pozyskał władzę. Ta istota niepozorna, z krzywą gębą, brudno ubrana, mało widoczna, straszną jednak potęgą była w Zarubińcach; obawiali się jej Żółtowski, hrabina, nie mówię już o sługach. Malczak umiał co chciał powoli wmówić hrabiemu; a był, jak wszyscy trochę od natury pokrzywdzeni na ciełe, na umyśle wyposażeni lepiej, złośliwy, zazdrosny, kwaśny. Pewien, że hrabia obejść się bez niego nie potrafi, korzystał ze swojego położenia w sposób bardzo zręczny, i póty nudził, klócił się, milczał, chorował, gdy chciał czego dopiąć, póki hrabia mu nie uległ i nie zezwolił na to czego żądał.

Spojrząwszy na tę lichą figurkę, gdy przypadkiem przechodziła mimo pałacu, boso, w pantoflach, w watowanym zimą i latem kaftaniku, w okularach mosiężnych, skuloną, krzywą, brudną: uwierzyć było ciężko jaką rolę odegrywała na tym dworze, w którym jej widać nawet nie było. Hrabia tak wierzył

w geniusz Malczaka jak w swój własny, używał go nietylko do inwencji mechanicznych, ale we wszystkich radził się sprawach.

Stary filut znał swą siłę i śmiało ję nadużywał, byłby nawet mógł się stać bardzo szkodliwym, gdyby niejedna słabostka. Skąpy był i chciwy, tak, że go zawsze kupić było można, i kupowali go też wszyscy począwszy od sług do pani, kto czém mógł. Hrabina dawała mu prezenciki, boby inaczéj ciągle na przekór jej męża nastrojał; Żółtowski przymilał się jak umiał, by, jak powiadał, gębę mu zatkać; słudzy, małeńkie robili przysłużki: Malczak mrużąc wszystko przyjmował.

Do Malczaka nic właściwie nie należało, ale i nic się nie działo bez niego; wiedział o wszystkim, donosił wszystko, a że był zły i zgryźliwy, cieszyło go gdy mógł ukąsić.

Pracując razem z hrabią, miał ciągle zręczność podsuwać mu plotki jakie chciał, cedzić je potrosze i przyprawiać stosownie, aby zrobiły pożądane wrażenie. To umiał lepiej od słusarki. Jeżeli się co odrazu nie wzięło, za drugim lub trzecim razem wmówił pewnie co chciał.



Potęga Malczaka rosła z dniem każdym, grosz musiał także gromadzić się w kieszeni, ale tego znać nie było, bo stary pozostał sobie brudny, odarty, w pantoflach i watówce zatłuszczonej, nie zmieniając obyczaju.

Wiedziano, że hrabiego oszukiwał bezwstydnie, że go kradł na tych machinach i przyrządach, które razem robili, że wyłudzał u niego pieniądze, ale to się odbywało cicho, tonęło jak w morzu. Malczak starym zwyczajem musiał grosz uzbierany zakopywać gdzieś w garnuszku, udawał ubogiego, a gdy mu nowiej odzieży było potrzeba, szedł o nią prosić hrabiego, jakby jej nie miał nawet sprawić za co.

Jak tam Max potrafił dowiedzieć się o stanowisku zajmowaném przez Malczaka, jak do niego trafić umiał, nie wiemy; to pewna, że dostał się do izdebki wszechmogącego ślusarza, że z nim gadał z godzinę, i że tegoż dnia Malczak zaczął hrabiemu rozpowiadać jakieś dziwy i historye o podupadłym hrabi, który został basetlistą, i był bardzo w przykrém położeniu, nie mając prawie butów.

Hrabia miał wiele uczucia kastowego i krew szanował bardzo; począł więc opowiadania Malczaka słuchać z uwagą wielką.

— Jakto? cóż to jest? kto taki?

— A, to historia osobliwsza— rzekł Maciejek — mnie to opowiadali pod wielkim sekretem. Słyszę jakiś hrabiowski syn, tylko że odmienił nazwisko; nauczył się tego grać na basetli, i ot jak dorabia się biedaczysko chleba. A słyszę gra tak, że aż strach, ale biedny, bo to tém się trudno czego dorobić.

— Gdzież on jest? a to ciekawa rzecz? — spytał hrabia wierząc, że taki człowiek wielkiego rodu jeśli się wziął do basetli, musiał naturalnie grać ogromnie.

— W Robowie, słyszę, u Marzyckiego na łaskawym chlebie; nie śmie się pokazywać, człowieczyna biedny i skromny i boi się żeby go nie poznali.

— Jak się zowie?

— Nie wiadomo, bo przemienił nazwisko.

— Pewno wziął matczyne?

— A pewnie matczyne.... Ot pan — dodał po chwili Malczak — mógłby jemu dopomódz łatwo.

— Ja? ja? a to jak?

— A coby to panu szkodziło, gdyby pan pozwolił tu jemu zagrać u siebie, z sąsiedztwa zjechałoby się może posłuchać za biletami, a biedaczysko cośby zarobił, i panby pańskie dziecko podźwignął.

Hrabia odwrócił się ku niemu mocno pomyślnie tém zdziwiony.

— Jednak to osobliwsza rzecz ten Malczak!—zawołał—kiedy ja o nim mówię, że to geniusz, nikt mi wierzyć nie chce... No, zkądże tobie myśl taka? powiedz — dodał — zkąd się u ciebie biorą te inwencye, osobliwszy człowiecze?

Malczak przywykły do tych admiracyj, spuścił głowę i śmiał się krzywiąc gębę i zmruczając oko nad warsztatem, bo łatwowierność hrabiego nawet jego śmieszyła.

— A coby to panu szkodziło tak zrobić?—zapytał Malczak.

— Pewnie że nic, ale ja go nie znam, sam mu się pierwszy napraszać nie będę, on nie będzie śmiał znowu.

— E! to i poznać się łatwo, aby pan chciał tylko! Gdyby kiedy pan wyszedł drogą ku Robowu, lipami, mógłby się z nim spotkać, bo on tam często się przechadza... Panby go zagadnął, a już reszta toby się sama zrobiła.

Hrabia, jak ludzie przywykli pieścić się myślą swoją, wciąż tylko powtarzał:

— To człowiek genialny we wszystkim ten mój Malczak! co za pomysły! jaka głowa! nawet w tych rzeczach!

I począwszy rozważać następstwa tego co mu Malczak proponował, skłonny będąc do zapatrywania się na całą tę sprawę z jak najlepszej strony, znalazł wszystko możliwem, a z wielu względów płodnym w najlepsze skutki.

Życie hrabiego z powodu zaprzątnięcia tem dziwactwem, które on szumnie nazywał swoim posłannictwem, upływało bardzo samotnie. Zarubińce mało sprowadzały gości, nie miały stosunków ze światem; czuł hrabia, że to osamotnienie ze wszech względów było dlań ciężkie, ale nadto miał dumy, aby się szlachcie kłaniać, szukać jej nie miał czasu, panowie zaś

pierzchali od niego, przekonawszy się z jednej strony o śmiesznościach i dziwactwie, z drugiej o złym stanie interesów jego. Nie żyło się więc z nikim, a że hrabia miał w sobie pychę arystokratyczną i państwo potrzebujące dworu i oczów, bolał na to osamotnienie.

Zręczność właśnie zdarzała się wyniść z niego świetnie, pociągnąć ludzi, okazać się mecenasem sztuki, obrońcą uciśnionego od losu człowieka.

Jednym z powodów tego zatęsknienia za światem było i to, że Lola dorastała prawie bez towarzystwa, a hrabia troszczył się już o jej przyszłe losy.

Należało prędzej później dom otworzyć, nie można było lepiej jak w ten sposób, koncertem i balem.

Pałac mógł wygodnie pomieścić całe sąsiedztwo, o przyjęcie nie było się co troszczyć. Hrabia kazał zaraz przywołać do siebie Żółtowskiego, który i nie lubiony i w przykrych z hrabią stosunkach zostając, każdego takiego powołania obawiał się, bo nigdy jeszcze z pa-

nem rozmówić się nie mógł. Oba sobie kłamać musieli.

Coraz rzadziej wzywany rządzca, zdziwił się i poczuł, że musi być potrzeba pieniędzy, bo tylko w takich razach udawano się do niego: westchnął, podumał, w głowę się poskrobał i poszedł wolnym krokiem.

Doświadczywszy już, że Żółtowski wcale się nie zna na mechanice i wymalazków jego cenić nie umie, hrabia nie przyjmował go nigdy w laboratorium, co było osobliwą łaski oznaką, ale zawsze w swoim pokoju. I na ten raz przeszedł do sypialnego, gdy mu dano znać, że nań rządzca czeka.

Staruszek stał milczący niedaleko drzwi.

— A! otóż dobrze — rzekł wchodząc poważnie hrabia — chciałem się widzieć z wacpanem... tylko, że zawsze wątpię czy się z sobą potrafimy porozumieć.

Żółtowski drżał, by od niego nie zażądano pieniędzy, ukłonił się milczący, i czekał. Z hrabią mniej jeszcze mówił niż z innemi, tak się lękał związać i wygadać.

— Jest tam — rzekł hrabia — w Robowie jakiś nowy muzykus.

Stary spodziewający się zaczęcia z cale innéj beczki, stanął osłupiały.

— Muzyk? tam zawsze — rzekł — jest muzyk i muzyka.

— Ale wpan nie wiesz, ma to być człowiek pełen talentu; mówią, nieszczęśliwy, z wielkiej familii... ukrywający się młodzieniec.

Żółtowski ruszył ramionami.

— Wpan nigdy nie wiesz tego co mi potrzeba: to jest, słyszę, człowiek bardzo godzien współczucia.

— A może być! — rzekł Żółtowski wzdychając.

— Chciałbym go poznać. Wpan jesteś dobrze z Ottonem Marzyckim, rozpytaj się tam o niego. Słyszałem, że tai swoje imię prawdziwe a wielkiej jest familii; rodziny arystokratyczne mają wszystkie względem siebie obowiązki: należałoby mu dopomódz. Wiem, że prostego daru nie przyjmie, dusza musi być harda, jak być powinien ten, co się urodził

w dobrym domu; moglibyśmy mu rękę podać w sposób przyzwoity, delikatny.

Żółtowski patrzył i słuchał zdziwiony.

— Już ja o tém pomyślę — dodał hrabia — tylko mi się wpan postaraj zaprosić go do siebie, lub coś podobnego, abym ja go tam u ciebie zastał: rozumiesz.

Słowa nie mówiąc stary się zakręcił, pokłonił i wyszedł powoli, niespełna rozumiejąc o co chodziło.

Malczak słuchał pode drzwiami, a gdy hrabia wracał do laboratorium, pospieszył żywo za warsztat, aby się nie domyślił tej ciekawości, i począł prędko a zapalczywie piłować.

Skutkiem tego wszystkiego było, że w kilka dni potém Żółtowski zaprosił gości z Robowa do siebie, naturalnie wszystkich, ale Janko Zbój został w domu i Otto tylko z Maxem przyjeźli wezwanie.

Max wedle swego zwyczaju ubrał się jak najświetniej, pozawieszał dewizki, powkładał pierścionki, zrobił co mógł, by się wydać wspaniale, a włos zlany wonnościami rozpuścił na barki w Lisztowskim nieładzie.



Zbój żadnymi argumentami pociągnąć się nie dał.

— A ja tam po co? — spytał ruszając ramionami — stary Żółtowski nie gada, wolę pójść w pole lub posiedzieć sobie u fortepianu, albo z Martynkiem pogawędzić. Mnie te wasze dwory, wieczory i przyjęcia nie pachną wcale.

Max, który już przewidywał na czem się to skończy i plan miał dobrze osnuty, a do niego koniecznie potrzebował Janka, uśmiechnął się w przekonaniu, że gdy będzie potrzeba, pociągnie choćby do pałacu. Nie nalegał już teraz więcej. Poszli więc z Ottonem do domku ogrodowego, gdzie wkrótce po ich przybyciu zjawił się hrabia; przywitał się z sąsiadem Ottonem grzecznie, lecz dosyć chłodno, a całą swą uwagę zwrócił na Maxa.

Fermer dosyć źle grał rolę swoją tajemniczego człowieka, nie miał wcale miny pańskiej, raczej kuglarską; ale gdy się co chce widzieć w kim, widzi się łatwo. Hrabia niewiele znał ludzi, wziął więc za dobrą monetę napuszonego wiolonczelistę, włosy jego, śmiałość i całą komedią.

Po chwili nieznaczącej rozmowy, hrabia Rajmund przeciwko wszelkiemu prawdopodobieństwu, nie mogąc samego Maxa zaprosić, obu z Ottonem zabrał z sobą do pałacu. Marzycki nie pojmował co mu się stało, podobne szczęście już go od lat kilku nie spotkało; poszedł jednak z obojętnością, która towarzyszyła mu wszędzie: Max tryumfował! Wstępując na próg domu czuł, że już doszedł czego chciał, że reszta zależeć miała od jego zręczności i umiejętnego prowadzenia sprawy.

Zaledwie kilka słów mieliśmy czas powiedzieć o Janku, do którego powrócić musimy, aby z nim poznać się bliżej.

Ci co z nim teraz żyli, niewiele wiedzieli o jego przeszłości, bo nierad o niej wspominał; ale pomimo tajemnicy jaką ją okrywał, charakter jego otwarty, twarz jasna i poczciwa tak mu serca jednały, że nikt nie przypuszczał aby co ciemnego w tej duszy młodej mieszkać mogło.

Otto szczególnie sympatycznie się czuł ku niemu pociągniętym tą młodością bujną, tą miłością swobody i niezależności, szczerotą i prostotą, które znamionują poczciwość. Gdy mu tych dwóch wędrowników tak niespodzianie przyplęnęło do Robowa, dusza jego poznała zaraz w jednym pospolitego ale zręcznego człowieka, w drugim istotę, która pragnęła dobra, przeczuwała lepsze życie, i instynktem szlachetnym szła ku jaśniejszym strefom. Na pospolitych ludziach Max robił większe wrażenie, bo był nie złym aktorem; Janko dla głębiej patrzącego oka przedstawiał ciekawe studium nieuderzające z razu, ale codzien nowemi pociągające zasoby. Szczególniej ta obojętność na przyszłość, to zamilowanie niezależności, oswojenie się i ukochanie ubóstwa, uśmiech na wszystko co mogło go spotkać, cieszyły Ottona, który w nich widział znamiona prawdziwie pięknej duszy i charakteru. Sama ta łatwowierność i ślepotą z jaką przywiązał się do Maxa, wierząc pięknym jego słowom i zapałowi odegrywanemu, w oczach Marzyckiego były zasługą, bo tak się nie daje wziąć

na lep pospolitszy, ale ostrożny i przewidujący człowieczek. Wiara i ufność są cechą ludzi, którzy na nie zasługują sami.

Skromność, lekceważenie siebie dodawały w oczach Marzyckiego wartości młodemu człowiekowi widocznie zaniedbanemu, w którym czuć było wychowanie przerwane, niedopełnione, ale zarazem zarody najpiękniejsze i popędy, które skierować tylko potrzeba było poczciwie, by na dobrą powiodły go drogę.

Ze wszech miar nie rad był Otto, widząc że tak młoda, nie zepsuta istota wpadła w ręce Maxa, który całego świata dla siebie tylko używał, i posługiwał się każdym nie troszcząc się wcale, choćby go miał zgubić. Wiedział, że dla takich jak Max ludzi nie ma nic świętego: ani młodość, ani ufność, ani ofiara chętna; że pnąc się wywracają i gubią z krwią zimną, co im zawadzać lub dopomódz może. Pragnął więc bardzo rozerwać ten węzeł, który chwilowo połączył dwie istoty na to tylko, by jedna padła drugiej ofiarą. W obejściu zresztą przyjaciół widocznem już było, że Max uważał Janka niemal za sługę, rzucał nim jak piłką,

a za oczy wyśmiewał się i szydził z jego prostoty.

Tamtemu niewiele było potrzeba: trochę tylko swobody, którą uważając za pierwszy życia warunek, chętnie z dobrej woli potem poświęcał; jakiego takiego kawałka chleba, czasem przyjaznego słowa, i trochę muzyki którą coraz bardziej lubił, i trochę samotności, a nadewszystko tej pewności, że nic go nie spęta, nie nie zmusi kłamać twarzą i mową, lub czynić czegoby serce i wola nie dyktowały. Z temi niebezpiecznemi usposobieniami łatwo przewidzieć było można, jaki los czekał Janka: musiał on ze swą wiarą w ludzi i miłością swobody nędzę znosić, a kochając prawdę, cierpieć.

Jak się w pałacu odbyło przyjęcie, krótko tylko powiemy: hrabina i Lola niezmiernie zostały zdziwione, gdy przy herbacie niespodzianie zastały już zaproszonych Ottona i Maxa. Kto i jak mógł ich ściągnąć do dworu, gdzie nikt nie bywał prawie, pojąć im było trudno; trudniej zrozumieć fantazyą hrabiego, przyjmującego ludzi bez imienia i znaczenia.

sąsiada dotąd obojętnego, i wędrownego nieznanego muzyka.

Hrabina choć litowała się nad Maxem, wcale nie uczuła ku niemu sympatyi, za pierwszem widzeniem się na przechadzce; ale śmiałością swoją narzucił jęj się, zdumiał, zmusił do zajęcia: a teraz gdy ujrzała, że i mąż jęj podległ jakimś czarom, nie mogła już sobie wytłumaczyć inaczej tego wszystkiego, jak istotną wartością człowieka, na której poznać się nie umiała.

Zresztą wszystko to pozostało dla nięj tajemnicą.

Max dla kogo innego, przywyklejszego do lepszego towarzystwa, byłby się zaraz zdradził swem kuglarstwem i fanfaronadą; ale hrabia odwykły od ludzi, brał wszystko za dobre, stracił miarę porównania, wydawało mu się to śmiałością człowieka, który się czuje powołanym do czegoś wyższego. Otto był milczący i przygnębiony.

— A! mówił w duszy, wszędzie i zawsze komedia: zuchwalstwo, obłuda wyżej idą niż skromność i prostota.

*Mundus vult decipi ergo... decipiatur:* hrabia sam uprzedził żądanie Maxa, zaproponował koncert u siebie, ofiarując się gorąco nim zając. Żona nigdy go oddawna, obcą mechaniczną rzeczą, tak namiętnie zajętego nie widziała: dla niej coraz się stawał mniej wytłumaczonym.

— Chyba Malczaka przekupił!! — mówiła w duchu uśmiechając się z tej dzikiej myśli.

Nie przypuszczała, by tak bliską była odgadnienia... Otto nie wiele więcej rozumiał.

Hrabia półsłówkami, ostrożnie kilka razy Maxa o jego rodzinę zaczepił, ale ostrożny muzyk zbył go pełnem tajemnic milczeniem, lub odpowiedział w taki sposób, ażeby nie zbicię posługujących mu domysłów. Wywijał się zręcznie westchnieniami, dwuznacznikami i dał do zrozumienia, że musi zamknąć w sobie pełną tajemnic przeszłość.

Przy pierwszej zaraz bytności w pałacu, wszystko się ukartowało; hrabia sam nastawał usuwając przeszkody: Max odszedł upojony i szczęśliwy.

Jedno mu tylko nie dogadzało to, że widocznie, w miarę jak hrabia mocniej się nim

zajmował, hrabina stygła i oddalała się ostrożnie, wcale nie myśląc odpowiedzieć mu tém wejrzeniem, westchnieniem i uczuciem, którego się po czułym jej sercu spodziewał. Zdało mu się, podbiwszy tyle służebnych dziewczeczek po hotelach małych miasteczek, że wzrok jego miał siłę niezwalczoną, a grzywa potęgę Samsonowską.

Lola także instynktem młodości poczuwszy fałsz, oddaliła się od niego.

Gdy po długiej dość konferencji wyszli z pałacu wieczorem, a hrabia uściśnił nawet rękę Maxa przy pożegnaniu, zwycięzca tak podrósł nagle i wyolbrzymiał, że Ottonowi który mu pieszo do Robowa towarzyszył, śmiać się z niego chciało: noc szczęściem pokryła szyderski wyraz jego twarzy. W istocie Max szalał, gadał bez związku i do samego ganku w Robowie ust nie zamknął. A że już mniej stał o dach u Ottona, czując opiekę hrabiego, począł nawet z właściwą tego rodzaju ludziom zmiennością, traktować Marzyckiego prawie protekcyjonalnie. Nie mógł mu w duszy darować jego wyższości, którą czuł sam, i choć jej



zaprzeczał słowy, w sumieniu jednak musiał ją przyznawać.

Otto milczał. Rys ten ostatni, nagła zmiana tonu, wyraziściej mu jeszcze malowały charakter człowieka.

— Przyznasz pan—mówił prędko Max—że talent ma coś w sobie, co go objawia nawet oczom nie usposobionym do widzenia; ma gwiazdę co go wiecie. Sam pan uważaj, znasz hrabiego, mówiliśmy nieraz o nim, a jednak! Cóż pan powiesz na to niespodziane znalezienie się?

— Ja, nic a nic — odparł Otto ruszając ramionami.

— No, ale przecie, jak pan to wytłumaczysz?

— Nie będę tłumaczył.

— Ja wykladam to przeznaczeniem! wierzę w losy, jestem fatalistą! — wołał w zapale Max — czuję, że mi się tu gotuje coś stanowczego w mojem życiu... zobaczysz pan! Ten koncert będzie stanowił epokę w niem! Co mi pan życzysz grać?

I przeskakując myślą do czego innego, dodał:

— Nieprawdażże, choć to na wsi, krawat muszę włożyć biały; frak można ciemno-zielony, włosy zleję *huile antique*: kamizelka jest wielką kwestyą.

— Największą to, co będziesz grał, mój kochany— odparł Otto ruszając ramionami z niecierpliwością— na kamizelkę twoją nikt, ręczę, patrzeć nie będzie.

Max zżymnął się.

— A! co do grania— rzekł— wszystko jedno co im się zagra. Ci ludzie na niczem się nie poznają; byle śmiało, porywisto, od ucha, byle przesadnie a wycieniować do mdłości: oni będą klaskali!

— Ale na Boga!— przerwał Otto— czyż to powołanie artysty grać byle co dlatego, że słuchacze się nie poznają i nie rozróżnią dobrego od złego! Karmić ich fałszem dlatego, że o prawdzie nie wiedzą! Wszakci zadaniem artysty jest kształcić, podnosić, uczyć, rozrzuwniać; wszak grasz nie tyle dla nich co dla sztuki i dla siebie? Wreszcie mylisz się bardzo sądząc, że się nie poznają na tém co piękne; maluczkich, mądrych piękności nie rozumieją

chyba inicyowani, ale wielkie a proste pojmą wszyscy, jeśli nie głową, to sercem.

— A co mi tam—zawołał pseudo-artysta— pojmą nie pojmą! Tu chodzi tylko o oklaski, a oklaski, dowiedziona rzecz, zyskuje się tylko przesadą, sztuczkami więcej niż sztuką, figlami, chustką, miną i fryzurą równie jak smyczkiem.

Otto się zmarszczył na tę teorię.

— To już i nie muzyka i nie sztuka—rzekł poważnie—to kuglarstwo i sztuka produkowania się, poprostu umiejętnego sprzedawania siebie, w co ja się nie wdaję: graj sobie i rób jak chcesz...

— O! ja ich poprowadzę jak zechcę!—roześmiał się Max uniesiony—zagram im na jednej strunie, albo tylną stroną smyczka, i będą uszczęśliwieni.

— Daj mi pokój! — ofuknął Otto groźnie. Wchodzili właśnie do domu u którego ganku oczekiwali ich Martynko i Janek, a Max usłyszawszy zdala głos Zbója, zawołał:

— Dobry wieczór!

— Witajcież nam goście! — rzekł spiesząc naprzeciw nich Janko — cóżeścieo tak długo Żółtowskiego męczyli? czy on was?

— Bawiliśmy, ale z przeproszeniem nie tam gdzie sądzisz...

— No! a gdzież?

— W pałacu.

— W pałacu? — podchwycił Janek niespokojny — u hrabiego?

— Byliśmy tam na herbacie! — rzekł lekko przechwalając się Fermer.

— Jakto? i mój ojciec? — podchwycił Martynko, który tak Ottona nazywał.

— A no, ja — odparł Otto — widać winienem to szczęśliwym wpływom pana Maxa.

— Nie dość na tém — przerwał Max — dajemy koncert w pałacu w Zarubińcach.

Janek stanął wryty, przeczuwając co to mogło pociągnąć za sobą dla niego.

— Słyszysz, Janku! koncert w pałacu! — dodał Fermer...

— Tak, słyszę — rzekł zimno Zbój — słyszę i cieszę się; dla ciebie doskonała rzecz, szukasz gwałtem kłopotu, upokorzenia i służebnictwa.

Będziesz im grał, ukłonią ci się, wyśmieją, potem stracisz coś czasu i coś grosza, zjesz trochę wstydu—i pójdiesz odprawiony z kwitkiem.

— Takiego panofoba jak ten, jeszcze nie widział!—odezwał się Otto uśmiechając.

— Tylko mnie źle nazywasz — przerwał Janko — ja nie jestem wcale panofobem, ale kocham swobodę, lubię być z równymi i niższymi, ci mnie nie upokarzają jak tamci; ja im ani z przekonań, ani z obyczajów, ani z uczuć i słów nie potrzebuję czynić ofiary. Co myślę to mówię, co chcę to robię. Tam inaczej wcale: wchodząc na ich próg przyjmuję ich prawa, jestem niewolnikiem, a niewolą wszelką brzydzi się dusza moja. Kawałek chleba razowego pod gołym niebem raczej, niż ciasteczko w złotej klatce.

— Ten ma serce! — rzekł Otto.

— Prawisz jak student—rozśmiał się Max—deklamujesz nic więcej, dlatego do pałacu zajrzeć będziesz musiał nie dziś, to jutro; a najprzód któż jeśli nie ty będzie mi akompaniował?

— Ja? tobie? w pałacu? przed ludźmi! —  
cofnął się Janko.

— A któż?

— Kto zechce; nie wiem: ale nie ja...

— Zobaczmy. Przecieżbyś nie życzył sobie, żeby dla śmiesznych twoich uprzedzeń koncert mi się rozchwiał, a jam był pozbawiony jedyne go sposobu wydobyć się z tej fałszywej pozycyi? Otóż to człowiek — dodał — gada, gada, a gdy przyjdzie najlżejszą ofiarę dla przyjaciela uczynić, dla próżnostki, dla dumy, dla fantazyi, gotów poświęcić przyjaźń!

— Ale nie dla próżnostki! nie dla dumy! Dlatego żem człek prosty ale hardy, i upokorzeń pić za pieniądze nie będę, nie mogę, nie chcę! Wolno ci się kłaniać aby tam jeść i brać co zechcesz, ale nie mnie, bo się tém brzydę; a kto czyni to czém się sam brzydzi, dla zysku — podły jest.

— — Wszakbyś nie dla zysku to uczynił, bo ja ci z koncertu mogę ani grosza nie dać, ale dla przyjaźni.

— Cóż mi to za przyjaźń, która dla swojego zachcenia na krzyż przybija? to dowód serca?

Max zamilkł na chwilę, ale widać było z jego filuternego uśmiechu, że znajdzie sposób przezwycięzenia wstępu w Janku. Zbój odszedł zaraz chmurny i milczący.

— Mógłby ci towarzyszyć Martynko, żeby jego nie męczył—podał Otto.

— Ja do niego przywykłem — rzekł Max zimno.

— To on się do ciebie zastosuje.

Max nie chciał się przyznać do istotnego powodu, którym była nieudolność jego, dla Janka dająca się łatwiej wytłumaczyć i ukryć niż dla Martynka; kiwnął tylko głową, szepcząc:

— Wpan nie widzisz, że ja to w istocie czynię dla Janka: on zdiczeje zupełnie, jego potrzeba gwałtem pchać między ludzi, bo pójdzie do niedźwiedzi.

— Nie sędzę, żeby się to na co zdało—odpowiedział Otto — szanować należy jego charakter, trochę dziki ale szlachetny.

Na tém stanęło, ale wieczorem późnym, gdy spać poszli, Max tak stękał, użalał się, tak umawiał, prosił i dowodził obowiązków przyjaźni, że nazajutrz Janko pochmurny, gniewny pra-

wie, ze ściętymi usty, siadł powtarzać akompaniamenta. Fermer zamiast ocenić tę ofiarę, śmiał się pocichu, wskazując go palcem, a wreszcie nie mogąc wytrzymać rzekł głośno:

— A co? mówiłem ci przecie, że grać będziesz?

Dosłyszał téj przechwałki Janko, i zerwał się cały wrzący od fortepianu:

— Tak, będę grał dla ciebie — odezwał się powoli usiłując uspokoić — ale to ostatni akt mojego zaprzędania i niewoli; potém żegnam cię i żegnam was. Mam tego dosyć, nie chcę się więcej narażać na frak i białe rękawiczki, które dla mnie są liberyą fałszu i chomontem zaprzędania. — Dość tego! i bywajcie zdrowi!

Max począł się śmiać, bo teraz już ciągle był w jak najlepszym humorze.

— Śmieję się, jeśli masz ochotę — powtórzył Janko — ale że zrobię jak mówię, możesz być pewnym.

Tym razem oczy jego pałające, usta zbladłe, czoło chmurne, dowodziły, że nie żartował.

— Wpanu już nie będę potrzebny — rzekł do Maxa — będziesz miał pożądaną grosz na drogę



i znajdziesz sobie lepszego niż ja akompaniatora, a mnie swoboda miła, ja sobie znowu w świat!!

Odwrócił się i zamilkł.

Max, który się do nikogo nie przywiązywał sercem, wysłuchał groźby obojętnie, rachując nawet, że z tém mu może być lepiej; chodziło tylko aby Janko doczekał koncertu i udziału w nim nie odmówił. Raz mając pieniądze, nie wątpił, że sobie bez niego da radę, a przyjaźni i przyjacół nie rozumiał.

Otto nie chciał mieć żadnego udziału w tym wieczorze muzykalnym czy koncercie wiejskim, który się składał wedle programu z samych rzeczy przez Maxa skomponowanych, ułożonych, przerobionych, lub poprostu okradzionych.

Patrzył i ruszał ramionami tylko.

Hrabia na chwilę zapomniał o swych machinach dla owego festynu: nawet Malczak użyty został do porady w urządzeniu uroczystości. Listy zapraszające rozesłano dokoła znajomym i nieznanym, hrabina musiała oddać kilka wizyt. Hrabia Rajmund wybrał się do

znakomitszych obywateli osobiście; sposobiono wieczór świetny, jakiego dawno nie pamiętały Zarubińce.

A że pretext do zabawy, do obmowy, do ploteczek jest, zwłaszcza na wsi, bardzo zawsze pożądanym: całe sąsiedztwo już na tydzień przed dniem oznaczonym dobijało się o bilety zapraszające, posłańcy i goście nieustannie się w ganku krzyżowali. Ci, którzy hrabiego nie znali, przyjeżdżali mu się prezentować, robiono małe ustępstwa, a ci, którym oddawna nie oddał wizyty, nie rachując się, sami pierwsi przybywali przypominając dawne stosunki.

Hrabia poczuł, że mecenasowanie sztuce ma swą dobrą stronę. Hrabina bojąc się nowej a kosztownej dla męża choroby, trochę płakała i bardzo się modliła pocichu.

Lola, co myśl każdą matki z oczów jęj umiała odgadnąć, choć bawiła się nadzieją wieczora, przyjęciem tém świetném i czémś dla siebie prawie nieznaném, bo Zarubińce były bardzo ciche, podzielała przeczucie jakieś, miała obawy niewytłumaczone: traciła prawie ochotę do balu i ciekawość. Straszło ją też może

wystąpienie tak publiczne, sądy ludzi, oczy ludzi i ten świat, który zdawał tak się wydaje zawsze groźny, bo go potrzeba umieć rozebrać, ażeby go zbytnio i nad miarę nie ważyć.

Dosyć, że w Zarubińcach na chwilę wszystko się zmieniło, i począwszy od Malczaka zajętego wszystkiem, co do niego nie należało, a najbardziej zbieraniem plotek i szpiegowaniem ludzi, aż do hrabiego, który czuł heroizm swój i poświęcenie, aż do Żółtowskiego pojmującego śmieszność tego nagłego występu, mającego za sobą wielkie koszta pociągnąć; wszystko się ruszało, kłopotalo, pracowało, jak w przeddzień wielkiego jakiegoś czynu.

W sąsiedztwie niemniej było zajęcia, gawęd, domysłów i tłumaczeń rozlicznych. Jeśli czynność hrabiego dla blizkich nie bardzo była pojętną, cóż dopiero dla dalszych i mniej znanych? Szukano do niej i znajdowano najdziksze powody, a skutkiem podszeptów Malczaka i puszczanych wieści, Max obudzał ciekawość niezmierną jak tajemnicze jakieś zjawisko... Artysta wielki, zapoznany, przesładowany od losu, boć to musiało być coś potę-

żnego, gdy hrabiego nawet z jego odrętwienia i machineryi wywiodło. Odrazu postawiło go to na stopniu Liszt'a, z owych czasów, kiedy to po raz pierwszy do nas zawitał, a kobiety, entuzjazmy, uwielbienia, szaleńcze doszły do rodzaju manii, która do dziś dnia nie daje spokojnie usnąć wirtuozom, napróżno wysilającym się, by obudzić podobną wrzawę, i choć połowę ściągnąć pieniędzy i pamiątek...

Jedną z najżywiej zajmujących się całą tą sprawą, była sąsiadka Zarubiniec, pułkownikowa Amelia Zborska, typ niewieści dość pospolity, których tyle chodzi po świecie żywym, że ich w powieści uniknąć trudno. Pani pułkownikowa Amelia, miała, między nami mówiąc, lat około czterdziestu, choć zaledwie do nadchodzących trzydziestu, i to z westchnieniem nad niesprawiedliwością losu, który ją niemi obarczył tak niespodzianie, przyznawała się w poufałym gronie. Amelia nigdy nie była piękną, ale też brzydką nazwać jej nie dawało staranie, jakie miała o swojej twarzy, a nadewszystko o nieporównanej swój figurze. Figura pułkownikowej, o której piękności dobrze

wiedziała, bo gorsety sprowadzała dla niej z Paryża, uchodziła na mil kilkadziesiąt wokoło za arcydzieło stworzenia; szczególnie zachwycający był stanik czyli talia, jak mówiono dawniej, który dwie niewielkie rączki objąć mogły.

Tradycja pewna chodziła, że pułkownikowa idąc za męża, opasywała się bransoletką; inni utrzymywali, partya sceptyków, że naszymi.

Stanik ten wprawdzie z wickiem, który pozwoli kształty wypełnił, coraz się stawał okrągłym i mniej prawdopodobną czynił mytologiczną ową bransoletkę; ale pracowano nad nim aż do mdłości, aby pozostał choć cieniem i przypomnieniem tego, czem był niegdyś. Amelia dbała niezmiernie o swą piękność, mniej o dowcip, a jeszcze mniej, o resztę.

Spragniona życia, którego skosztowała bardzo mało, zawsze jeszcze spodziewała się i miłości i przyszłości jakiejś, ufając w to, że serce miała bardzo młode.

Zaślubiona bardzo wczesnie pułkownikowi Zborskiemu, który był stary, gruby, ale bardzo bogaty, miała tylko jednego syna, gdzieś dale-

ko w nieznanym wychowującego się krajach, i przez niektórych uważanego za mythus. Ten jednak nigdy się nie pokazywał, nie mówiono nawet o nim przez grzeczność, a sama zawsze pułkownikowa w nadziei połączenia losu swego z człowiekiem wedle serca wybranym, oczekiwała — przedłużając młodość jak mogła.

Nie będziemy pochlebiać wcale kreśląc obraz pułkownikowej, pocichu powiemy nawet, że była troszeczkę ospowata, że oczki miała szare, małe, włosy barwy niepewnej i nieobfite, co zresztą kunszt fryzyerski umiał cudownie pokryć przed światem; cerę bladą i oddawna nieodznaczającą się świeżością. Ale choć natura odmówiła jej wiele wdzięków, które hojnie często szafuje łađa komu, nawet prostym dziewczętom, pułkownikowa sztuką umiała zastąpić wyrządzone sobie krzywdy. Większej nad nią elegantki nie było na kraj cały, nikt dobrańszemi nie zlewał się woniami, jaskrawszych nie nosił kapeluszków z piórami, kwiatami, koronkami i wstęgami, większej ilości bransolet nie dźwigał, i pilniej z zagranicą w rzeczach mody, nie korrespondował.

Starając się uchodzącą młodość przedłużyć, Amelia mówiła młodo, uśmiechała się młodo, chodziła, marzyła, wzdychała młodo i dziewi- czo. Sławy jej nie nigdy nie tknęło, choć dom zawsze miała pełen, a grzeczność jej i uprzej- mość zwabiały mnóstwo gości. Ale kochana i lubiona pułkownikowa tak była nieszczęśli- wa, że mimo majątku, talii i perfum od Guer- lain'a, nikt z nią jednak ożenić się nie myślił. Wzdychali niektórzy młodzi, ale przekonawszy się o zasadach Amelii, ustępowali powoli z placu widząc, że choć chętnie wdawała się w lekkie początki romansów, nigdy nie upewniwszy się o intencjach, nie chciała posunąć się dalej nad dwuznaczny uścisk ręki. Z razu wysoko patrzyła pułkownikowa, zdając się do tego mieć wszelkie prawo: chciała urodzenia, majątku, młodości, dowcipu, a nadewszystko miłości szalonej, bo tego bażanta nigdy jeszcze nie kosztowała; powoli jednak po rozwadze, którą dały lata, poczęła z ceny spuszczać: darowała najprzód urodzenie jako istny zbytek, nie zga- dzający się już z pojęciami wieku; potem wy- rzekła się w narzeczonym majątku wielkiego,

bo sama dosyć miała na dwoje, a nawet na czworo: w ostatku dowcip i wychowanie poczęła uważać za nie tak konieczne jak z razu myślała... Zostało: byle młodość, byle serce, i rozumie się, byle miłość! Na tych ostatecznych warunkach stanęła już mocno i szukała.

Ale młodość, miłość i serce nie tak się łatwo znajduje!!

Domysleć się już łatwo z tego obrazku, że pułkownikowa śpiewała dawniej, ale od pewnego bólu gardła, w którym jej doktor Szemere Węgier, plaster jakiś doradził, głos zupełnie straciła; że grała bardzo pięknie, dopóki w jeden palec nie ukuła się śpilką; że zresztą lubiła dotąd muzykę passyami, literaturę namiętnie: że jej ideałem był wielki artysta.

Zdawało się jej, że miłość artysty, poety, musi to być przysmak rajski: o niej marzyła jak o niepoścignionem szczęściu.

— Być żoną, być kochanką wielkiego człowieka!! szeptała pocichu i pocichu wzdychała.

Nikt nie wiedział o tém jej marzeniu, a jednak gdy Liszt przybył do Kamieńca, pułkownikowa dla słyszenia i widzenia go zrobiła



trzydzieści mil po okrutném błocie i miała przyjemność z gorąca i uczucia zemścić na jego koncercie, co jednak, przy znacznej liczbie podobnych mdłości, nie zwróciło na nią oka.

Pułkownikowa oddawna znajoma była hrabinie, ale jakoś z sobą nie sympatyzowały: hrabina była zbyt prostą i szczerą, ta nazbyt egzaltowaną i rozmarzoną, by się zrozumieć mogły: od niejakiego nawet czasu Amelia przestała bywać w Zarubińcach.

Lecz wieść o tajemniczym grajku, o olbrzymim koncercie, napełniła pułkownikową strachem, żeby o niej nie zapomniano: pojechała więc co prędzej pierwsza do Zarubiniec po bilety na ów festiwal muzyczny. Mówię, bilety, gdyż pułkownikowa wzięła ich kilka dla całego swojego dworu, krewnych i znajomych, figur niemych, które u niej na drugim planie i tle obrazu występowały, strzegąc pilnie młodej wdowy.

W Zarubińcach przyjęta grzecznie przez hrabinę, od gospodarza zaczerpnąwszy dziwnych wieści i domysłów o nieznanym artyście, powróciła do domu rozmarzona niezmiernie.

Hrabia jak wszyscy którzy coś niezwyčajnego sobie przedsięwiorą, dużo mówił o Maxie, przesadzał ogromnie i coraz więcej przydawał szczegółów o nim, biorąc je niewiedzieć z kąd, tak, że w końcu z Fermera utworzył istotnie bohatera w świetne, fantazyjne przybierając go barwy i wynosząc coraz wyżej. Najdziwniejsza to, że co wczoraj sam wymyślił, w to nazajutrz najświęciej już wierzył.

Na umyśle pułkownikowej zrobiło to takie wrażenie, że posłała zaraz umyślnie po strój nowy do parafialnej stolicy.

Tymczasem zbliżał się dzień wielki; dzień uroczysty...

I jak było zawczasu przepowiedziano, Max wymógł na Janku, że grać będzie; a że nie miał Janko fraka ani chustki, ani żadnej rzeczy która salonu jest, złożono się na jego ubranie. Probując tych odzieży, niezwykłych a wątłych, gdy szeroką chciał tchnąć pierś, Zbój o mało ich na sobie westchnieniem nie podarł.

I choć postanowił już z siebie uczynić ofiarę, gdy ona coraz stawała się bliższą, Janko serce

tracił, kilkakroć wahał się, chciał uciekać, tak dłoń, co się nie lękał ani wilka, ani konia dzikiego, straszne były oczy niewiast i oświecone pańskie salony, po których ślizkiej posadzce stąpać nie umiał. Chmurą okryte miał czoło i chodził zasepiony.

Kilka razy nawet, po namyśle, zaklinał Maxa, aby go od tej wielkiej próby uwolnił; hultajował się widocznie, ale uproszony, zaklinany, w końcu zapewniony, że raz ten pierwszy wystąpienia publicznego będzie ostatnim, zebrał się na niezmierną odwagę stanąć wśród wystrojonego tłumu, i co gorzej popisywać się przed nim.

Max który stworzonym był już na kuglarza, zupełnie zdawał się w swoim żywiole: odgadywał grunt po którym stąpał, wyrastał coraz bujniej, włosy na tył zarzucał, zamasyścił coraz głowę dźwigał i mówił oczyma i twarzą:

— Oto mnie macie: klękajcie i czcicie!

Nareszcie nadeszła chwila oczekiwana.

Był to dzień wiosny, ale już zielonej, już jak lato gorącej, która w kalendarzu jeszcze uchodzi za wiosnę, ale piecze, pali i niczem się już

nie różni od swojego następcy. • Cały dzień przypiekało okrutnie, ale choć żaden powiew wiatru nie łagodził skwaru, wieczorem zebrało się na przesłiczną pogodę. Słońce zaszło na tle niebios rozgrzaném ale czystém, bez chmurki, bez obłoczku, a obfita rosa zlała spragnioną ziemię i wycieńczone zioła.

Miało się ku wieczorowi, gdy zabrawszy nuty, wiolonczelę i papiery, wszyscy mieszkańcy Robowa wybrali się wielkim szarabanem do pałacu w Zarubińcach.

Otto nawet pociągnął z sobą Martynka, który równie jak Janko nieprzywykły do świata, wzdrygał się jechać; ale otrzymawszy obietnicę, że będzie mógł stać w kącie, odważył się na ten krok bohaterski. Max zajęty był, niespokojny, ale wyznać potrzeba, że więcej może zaprzętał się ubraniem i węzłem chustki, niż przyszlą grą swoją.

Otto uśmiechał się poważnie i milcząco, Janko był blady i drżał: ten strach przy atletycznej postawie jego, dziwne mu dawał oblicze białego posągu.

Gdy tu pakowano w szaraban wszystkie przybory koncertowe, w Zarubińcach hrabia usiłował dowieść, że po pańsku wystąpić umie. Całe sąsiedztwo było już sproszone, uczta ogromna w pogotowiu, słudzy postrojeni w liberye, z dodanemi ze wsi chłopakami, których w starszą odzież poprzybierano: stawiając w mniej wydatnych miejscach, krzątali się koło ostatka. Malczak nawet zrzucił zatłuszczony watowy kaftanik i miał projekt słuchać we drzwiach muzyki, ubrawszy się w szarą kapotę, którą tylko na Wielkanoc wdziewał, podpasaną czerwonym paskiem jeszcze z lat błogiej przeszłości, zachowanym starannie. Na nogi też wdział nie owe zwykle obcięte buty - pantofle, ale własne obuwie, w którym mu było równie pięknie jak niewygodnie.

Niebezpieczna to rzecz do wszelkiego rodzaju obciętych pantofli przyzwyczaić się.

Oświecenie wielkiego gmachu niemałe przedstawiało trudności; hrabia chciał koniecznie, aby i dziedziniec był illuminowany, co dopełniono pożyczając kilkuset lamp pogrzebowych od księdza proboszcza, ale z salonami nie tak

sobie łatwo dać było radę, tu lichtarze kościelne służyć nie mogły. Pałac wyszedł z tradycyi i lichtarzów, a w kartofle i butelki oprawiać świece nie wypadało.

Do głównych sal znalazły się acz różnego kalibru, wzrostu i barwy świeczniki, ale sieni i boczne pokoje, gdy kredencierz obliczył i porównał z siłami rozporządzałnemi lichtarzów, okazało się, że załoga na te przestrzenie była zupełnie niedostateczną. Wprawdzie do dalszych izb użyto mosiężnych, wielkimi z papieru pokrywami osłonionych, ale do najodleglejszych musiano mizerne z drzewa *ad hoc* wytoczyć. Gdzieniegdzie zbyt rażące nagości, dekoracją zieloną liści i gałęzi poubierano.

W istocie pałac po nocy, przy tém oświetleniu wyglądał jak stara zalotnica na bal przystrojona, zdaleka ponętne, a nikt szanownym jego dziurom, tynkom opadłym, roztrzaskanym murom i zaciekłym plamom nie miał czasu przypatrywać się szczegółowie. I było wspa-  
niałe a pięknie w tej chwili, dopiero nazajutrz miało być nago i brzydtko, jak zawsze po balu, jak zawsze po ziemskiej radości i szale.

Sam koncert miał się odbyć na dole w ogromnej sali środkowej, której drzwi na ogród wychodziły, połączonej z dwoma bocznymi, przez ogromne umyślnie poroztwierane podwoje, aby i szary koniec słuchaczy miał się gdzie z boku pomieścić.

Od strony ganku ogrodowego była uczyniona estrada, na której stało fortepiano, pulpit i rzesisto płonące świeczniki. Dokoła krzesła, fotele, stoliki, ławki, kanapy opasywały przybytek, rodzajem obozu z różnorodnych ustawionego żywiółów, wypełniając się już powoli gronem niewiast i mężczyzn. Sam hrabia jako gospodarz, niedaleko drzwi wybrał sobie stanowisko, aby tu gości przyjmować. Włożył na ten dzień biały krawat i dawno niegdys otrzymany order Jerozolimski w miniaturze, tajemniczo zatopiony w fałdach fraka. Hrabina skromnie, czarno ubrana siedziała znużona jakoś bliżej estrady, a Lola chodziła uśmiechając się wesoło temu niezwykłemu dla siebie widowisku, którego szal powoli ją ogarniał.

Jedną z najpierw przybyłych była pułkownikowa Amelia, która sobą cały salon zaper-

fumowała, zajęła suknią pół kanapy i zwróciła powszechną uwagę Malezaka i trzech już u drzwi wyprostowanych lokajów. Serce jej biło mocno, miała raz przecie ujrzyć, posłyszeć wielkiego artystę — boć Max któremu hrabia dawał swój pałac, opiekę, był niezawodnie olbrzymim artystą.

U drzwi bardzo zręcznie postawiono starego zaufanego kamerdynera z biletami, który je uprzejmie wchodzącym podawał wraz ze srebrną tacką, na której już kilka pół imperyalów leżało. Mniej pięciu rubli nikt się dać nie ośmielił, dawano jednak i więcej.

Od przyjazdu pułkownikowej ciągle ktoś nowy przybywał, turkotało nieustannie, salon wypełniał się coraz wrzawliwszem towarzystwem, jak to na wsi bywa, w sukniach najrozmaitszego kroju i z twarzami różnoplemieniami, ale wesołemi, ożywionemi, tętnącemi poczciwą szczerotą. Panie cisnęły się do hrabiny, która, o ile możności, sadzała je w pierwszym rzędzie, gdyż drugi już obiecywał z góry mieścić samych obrażonych, a trzeci i czwarty opozycją i malkontentów.



Wszystkich wszakże posadzić w pierwszym rzędzie było niepodobienstwem, hrabina z córką obrały sobie miejsca w ostatnim.

Na dziewiątą naznaczona była godzina rozpoczęcia koncertu, lecz zegar wybił ją, a w sali szumiało i wrzało jeszcze, i ciągle ktoś nowy od ganku przybywał.

W bocznym pokoju Max z zimną krwią stroił wiolonczelę, Janek stał oparty o stół nieprzytomny i blady.

Otto chodził po sali z rękami w kieszeniach.

Wielki artysta umyślił objawić się zgromadzeniu dopiero w chwili rozpoczęcia, wejść nagle przez otwarte na oścież podwoje, i zrobić piorunujące wrażenie. Zlany był wonnościami, *huile antique*, kolońską wódką, peczulem, ęhustkę zaś miał tak zawiązaną, że jeden jej koniec gubił się za uchem, drugi na ramieniu się kołysał; odłożone rękawy fraka ukazywały z pod spodu rękawki koszuli białej jak śnieg, spięte dwoma guzami bronzowemi wielkiego efektu.

Nie zapomniał także o dewizkach, o śpilce, ani o fularze olbrzymim, którym otrzeć miał uznojone czoło.

W pierwszym rzędzie widzów, którzy już uprzedzeni o blizkiem rozpoczęciu, sadowić się zaczęli, tęskna i niespokojna, miejsce zajmowała Amelia wachlując się od gorąca, które jej twarz paliło, grożąc zagładą misternym oblicza malowaniom i natarciu. Szal biały umyślnie rzucony na kanapę służył za tło na którym kibić jej osia malować się miała i odbijała wyrazicie. Nie była piękną, szkoda mówić, ale pokażniejszą od najpiękniejszych, i tak pachnącą! Jakieś przeczucie mówiło jej do ucha, że ten dzień w życiu miał dla niej stanowić epokę.

Wybił zegar pół do dziesiątej, wszyscy zasiedli. Ci co nie znaleźli miejsc stanęli wryci, szmer lekki poprzedził ukazanie się bohatera, drzwi z trzaskiem się otwały i z włosami zarzuconemi na barki, z wionoczelą ujętą przez chustkę wdzięcznie, z postawą Herkulesa mającego walczyć z hydrą, wszedł Max Fermer, a za nim pokorny i nieśmiały Janko.

Pierwszy stawił się wielkim, zwyciężkim, potężnym; drugi szedł strwożony jak piękny posąg, blady, ze spuszczonej oczyma.

Słuchaczów tłumy otwarły się przed niemi szeroko; milczenie i cisza trwały chwilę, aż gdy mistrz wszedł na estradę, dany znak z kątką był hasłem powitania go grzmotem rześistych oklasków. Trzy razy skłonił się poważnie, dziękując za nie, za trzecim razem rękę położył na sercu wielki artysta i ujął wiolonczelę.

Otto w kątku zakryty, śmiał się patrząc na Martynka, Martynek ruszał ramionami.

Otóż to tak ludzie dorabiają się sławy — szepnął mu Otto — nie pracą ale trzema wyuczonymi figlami, które pokazują z zafranek, z wielką pompą, przy latarniach i trąbach.

— A! panie — odparł Martynek — ależ on nic nie umie!

— Co to szkodzi, tu nie o umiejętność idzie, ale o sztukę produkowania się za biletami; zobaczysz jakie mu sypać będą oklaski, jak ztąd wyjdzie uwieńczony. — Cała rzecz mu sztarda, o sztukę mięsa nie idzie wcale.

Chwila uroczystej jak przed burzą ciszy, poprzedziła strumień dźwięków... W tej chwili dwa wielkie zaszły wypadki: wzrok Maxa zwycięzki (i tém mocniej zwycięzki, że hrabia

świeżo przyniósł mu od drzwi całą kupkę papierów i imperyałów, których miał pełne kieszenie, bo ich nikomu powierzyć nie chciał) — padł na uciszonych słuchaczów, a wejrzenie ciekawe, płomienne, spragnione pułkownikowej utkwilo w artyście, i dwa te promienie oczne, przemienne żądzami zetknęły się z sobą, starły, magnetycznie porozumiały. Wdowa uczuła, że Max jest bardzo pięknym mężczyzną i mógłby jej za ideał wystarczyć; Max zrozumiał, że potrzebowała aby ją ktoś wziął sobie... Z pozycyi na kanapie, bransolet, sukni, zapachów, wniósł, że zajmowała niepoślednie pod względem majątkowym położenie w okolicy. W oka mgnieniu pojął, że obowiązkiem jego było skorzystać z okoliczności i podbić ją sobie, i choć przed nim stały kilkadziesiąt młodszych i piękniejszych twarzy, zwrócił zaraz wzrok zdumiony, oczarowany, uparty, na jedną Amelią, jakby jej mówił: Gwiazdo przeczysta na chmurném niebie mojem! witam cię!

Gwiazda błysnęła mu odpowiadając:

— Mistrzu! jam twoja! ja czekałam na ciebie!

— Ale jeśli ma męża, to się okrutnie oszukam! — rzekł Max, w duchu strojąc wiolonczelę... Rozwody są kosztowne, prawie niepodobne. Mniejsza o to: mam pieniądze, pójdę dalej!

— Jeżeli się darmo skompromituję — myślała pułkownikowa — pierwszy raz w życiu! No! to pojedzie sobie ztąd i śmiać się będzie z niego, i nikt mi nie będzie mógł nic zarzucić! — A! być kochanką zapału! być żoną natechnienia, być towarzyszką mistrza tonów, ulubienicą poezyi; co za szczęście!

W tejże chwili drugi dramat cichy, ale innego rodzaju, szczerzy i święty jak modlitwa, odegrały czworo innych oczów w tejże sali. Biedny Janko wszedł na estradę drżący tak, że mu omal nuty z rąk nie wypadły, nie śmiejąc oczów podnieść.

Skromne jego ubranie i podrzędne stanowisko niczyjego nie zwróciły oka, tylko Lola jakimś przypadkiem wzrok dziewiczy skierowała ku niemu nieśmiało, i już go zwrócić od tej twarzy oblanej rumieńcem bólu i wstydu nie mogła. A Janko, gdy podniósł powiekę

załzawioną, trafem jakimś źrenicę powiódł ku niej i oślepiony pięknością dziewczęcia, utkwiał w niej oczy przestraszone jakby niezemijskim zjawiskiem.

Tam była komedia, tu życie, a we wszystkich tych piersiach były serca równie żywo;— tylko w sercu Janka i Loli zamiast niepokoju zrodził się jakiś smutek błogi i nieopisane bojaźni, szczęścia, ubłogosławienia uczucie, którym wschodzi pierwsza w życiu wielka a święta miłość.

Lola odwróciła zapłonioną twarz, Janko jeszcze bardziej drżący poszedł do fortepianu dać *a* tryumfatorowi, który zabierał się grać swój kaprys z tematów narodowych, to jest zszywanek czterech piosenek, między którymi tyle tylko było związku, że wszystkie na jednych się grały strunach.

Cisza ogromna, długa, przepaścista cisza; potem Janko uderzył akord, Max podniósł głowę do sufitu, jakby w niebie szukał natchnienia, i rozpoczął się ów kaprys, słuchany z tą wiarą pocziwą, z tym uczuciem świeżym, które się już tylko na wsi spotykają.

Pułkownikowa była promieniejąca, a gdy ostatnia nuta zadrgała w powietrzu, pierwsza poczęła sypać oklaski, tak, że artysta nie mógł nastarczyć ukłonów. W sali entuzjazm był potężny.

— Ależ gra! ale gra! a niech go djabli wezmą jak gra! — wołali wszyscy. — Uważałeś waćpan jak on to robi, co to palcem jakos brzdęk, a potem jak świsnie... przysięgniesz, że gra nie na basetli, ale na fleciku: chyba on tam co ma schowanego we środku. Ależ gra...

I pytać już nie ma co, że druga, trzecia kompozycja poszły *crescendo* z coraz większym entuzjazmem, tak, że w końcu uniesiona Amelia, rzuciła bukiet swój do nóg zwycięzcy, który go podjął i na sercu umieścił. Oczy ich spotkały się znowu: jój z wzrokiem Maxa, jego z bransoletkami złotymi świecącymi od pereł i rubinów.

Lola stała w kątku i w główce się jój kręciło, a Janko chciał co prędzej skończyć i uciekać, tak mu było duszno, tak zimny go pot oblewał.

Wtém gdy już ostatnią fantazyą z tematu: „*Wlazł kotek na płotek*” miał właśnie Max

rozpocząć, w której miauczenie kota tak doskonale naśladował, że mu w marcu żywe koty z dachów odpowiadały, fatalny wypadek przerwał, dotąd najwspaniałej idący koncert.

Zaturkotało raz jeszcze przed gankiem, i wkrótce potem głos się dał słyszeć w przedpokoju:

— A cóż to jest? wesele czy pogrzeb?

Żółtowski, który stał przy drzwiach, poznał zaraz głos brata pańskiego, hrabiego Hermana i wybiegł przeciw niemu.

W sieniach stał w istocie zdumiony iluminacją Herman w kapocie szarzej, prawie gniewny i dosyć kwaśny.

— Cóż to za bale dajecie? — spytał.

— To koncert, jw. hrabio.

— Co? koncert? a to głupi koncert mospa- nie, kto pieniędzy nie ma dawać takie wieczory.

Wtém i hrabia Rajmund nadszedł.

Ale uściskawszy brata nie dał mu rzec słowa i broniącego się podróżnym strojem wprowadził do salonu siłą, bo tuż, tuż miało się rozpocząć owo sławne miauczenie kota; i można je było stracić. <http://rcin.org.pl>



Naturalnie bogatemu Hermanowi zrobiono co rychlej miejsce dogodne, aby choć to miauczenie dobrze słyszał, wprost naprzeciw fortepianu, i naprzeciw artystów obu.

Lecz gdy ta wielka postać stanęła w szeregu głową górując nad inne, Janko podniósł na nią wzrok przypadkiem; osłupiał, ręce mu na fortepian opadły: zerwał się nagle, porwał chustkę, zasłonił twarz i szybko wybiegł przez drzwi ogrodowe.

Stało się to w oka mgnieniu, ale hrabia Herman doznał w tejże chwili jakiegoś wzruszenia: drgnął, poruszył się, usta otworzył i jak skamieniały pozostał.

Zaczęto szeptać w sali, że akompaniującemu krew rzuciła się nosem; posłano w ślad za nim z wodą: pobiegł Otto, Martynko, ale Janka ani słychu—jak w wodę wpadł.

Minęło pół godziny, godzina, nie powracał: zaczęto się niepokoić o niego. Max niecierpliwił się: nie o człowieka mu chodziło, ale o Wlazł kotka, do którego nie było komu wtorować — to było najukochańsze jego arcydzieło.

Zzymał się i gniewał, ostatnia sztuka miała dopełnić tryumfu, była ognistym snopem fajerwerku, wielką bitwą, decydującą kampanią... Pozwoliłby był Jankowi choćby skonać przy ostatnim akordzie, ale zniknąć przed tą fantazją, było najokropniejszą niewdzięcznością, najstraszniejszą w oczach jego zbrodnią. Nie wiem już coby się było z nim stało, gdyby Martynek z kąta, z rozkazu Ottona, nie wyszedł zakłopotany i precisnąwszy się przez tłum pokornie, nie siadł towarzyszyć *prima vista* z pozostawionych nut, Maxowi, co zresztą nie było tak trudnym, bo akompaniament nie grzeszył ani wyszukaniem kontrapunktem, ani wielką różnaitością modulacyi.

Wrażenie jakiego słuchacze doznali, słysząc najprzód te tema tak popularne i znane od dzieciństwa każdemu, podniesione do ideału wykonaniem, potem przerobione dziwacznie, coraz dziwaczniej kręcone, z towarzyszeniem miauczenia kota, szczebiotania ptaka, beczenia kozy, skrzypienia drzwi i t. p. a na tle tego wszystkiego z *narodowym* (jak go Max nazywał) tematem ciągle się odzywającym, z wy-

daném wreszcie *mruganiem* kotka, które muzyka imitacyjna doskonale przypominała — było nie do opisania.

Rzecz, prawdę powiedziawszy, nie miała najmniejszego sensu, ale cała się składała ze sztuczek, figlów, koziolków i dziwactw; słuchacze doszli do szału: klaskano, tupano, wołano, płakano, śmiano się, a pułkownikowa nie mając już drugiego bukietu o mało sama siebie nie rzuciła pod nogi genialnego mistrza! *Opętanie* było niewysłowione, tryumf zupełny, tak, że doskonale pojęty i uczuty, Max czuł się w obowiązku nagrodzić zgromadzenie odegraniem kompozycyi swój krakowiaka w piętnastu częściach, nazwanego przezeń — *Wojną Chocimską*.

Wszyscy jednozgodnie uznali, że hrabia miał słuszność protegując tak nadzwyczajnego talentu muzyka, który miał przejść Serwais'go, Romberga i całą wiolonczelistów gromadę, przeszłych, współczesnych, przyszłych. Pocihu szeptano o pochodzeniu jego od udzielnych książąt: zachwyty był niezmierny, Otto jeden stał i uśmiechał się chłodno, gorzko, z politowaniem.

Max powracający z bukietem, aby się przebrać i odetchnąć po trudzie i wysiłku, mijając Ottona, uderzony zimnym twarzą jego wyrazem, wstrzymał się chwilę.

— Widzisz pan—rzekł z dumą—nasza publiczność ma instynkt, ma poczucie piękna; trafić jój tylko potrzeba do serca, umieć przemówić do niój.

Otto kiwnął głową.

— Ale co się stało z Jankiem?

— Niema go?

— Niema.

— E! to dziwak: musiał pójść pieszo do Robowa.

— Cóż? krew mu poszła z nosa?

— Ja sędzę.

Na tém się skończyło i nikt więcej nie pomyślał o Janku. Ale gdy po koncercie zaczęto salon urządzać do balu i goście się rozeszli po bocznych pokojach, hrabina pospieszyła zbliżyć się do męzowskiego brata, którego znalazła stojącego słupem, ze wzrokiem jeszcze skierowanym ku miejscu przy fortepianie, gdzie Janka zobaczył.

— Kto to był? — zapytał gwałtownie Herman.

— O kogo pytasz?

— Ten młody człowiek: kto to był?

— Ja nie wiem.

— Ale ktoś wie, ktoś przecie wiedzieć musi, kto to był taki....

— Zaraz się zapytamy...

— Posłano po Żółtowskiego: ten ruszył ramionami, odwołując się do Ottona.

Przyszedł powołany Marzycki.

— Jak się masz, hrabio?

— Kto był ten młody człowiek, który odszedł? — zapytał żywo Herman.

— Ja go nie znam dobrze — odparł Otto — zowie się Janko Zbój; przybył do mnie z Maxem, z tym wiolonczelistą którego słyszałeś; dobre jakieś, biedne, ale dumne i nieunoszone chłopię — potrzebaby się Maxa zapytać.

— Więc chodźmy do niego — dodał niespokojnie hrabia — chodźmy do niego.

Max spoczywał i dumał, a szczerze powiedział, robił rachunek tego, co miał w kieszeniach: summy, która przechodziła o wiele

jego najzuchwalsze nadzieje. Jeszcze był nie doszedł do końca assygnatek, a już przeszło trzy tysiące złotych naliczył, i owoc ten mozolnej pracy schował szybko do kieszeni, posłyszawszy nadchodzących, przybierając minę potrzebną, wycieńzonego wzruszeniem człowieka.

Ocierał pot z czoła i wzdychał.

Hrabia raz nań spojrzawszy poznał w nim komedyanta, bo dobrze ludzi umiał oceniać i nie dawał się wziąć na pozory: gra zresztą już go do tego sądu przygotowała.

— Przepraszam pana — rzekł poważnie — jestem bratem gospodarza, Herman Góra.

— Muzyk skłonił się skromnie, pewien, że brat gospodarza przyszedł aby go zbliżka uwielbiać, może aby mu co ofiarować na pamiątkę lub zaprosić do siebie; po chwili przybrał minę wspaniałą, wielkiego mistrza, na którego ramionach cięży geniusz chmurą brzemienią, niewygodny gość nadziemski.

— Pozwól mi pan się spytać, kto był ten pański towarzysz, który odszedł z powodu słabości, czy nie wiem dlaczego wśród grania?

— A! Janek... E! to dobre sobie chłopczy-  
sko—rzekł od niechcienia Max—biedny chło-  
pak. W moich podróżach artystycznych spo-  
tkałem go, a dostrzegłszy w nim niejaki talent,  
chciałem go zaprotegować: wyciągnąłem mu  
dłoń przyjazną—jakiś czas jeździliśmy razem.

— Ale któż to jest?—powtórzył hrabia.

— Prawdziwie, ja zawsze tak jestem zajęty  
sztuką, a tak mało zwracam uwagi na ludzi—  
odparł ruszając ramionami Max—żem go szcze-  
gółowie nie rozpytywał. Młode chłopię, wy-  
chowanie niedokończone, poczciwy, prosty:  
ale, nic wielkiego! nic nadzwyczajnego! Ja się  
łatwo przywiązuję; to moja słabość: zawsze  
mieć kogoś muszę w opiece.

— Robi to honor jego sercu!—rzekł hrabia  
z francuzka—ale nie wiesz pan z kąd jest ro-  
dem?

— Zdaje mi się, o ile miarkować mogę, z Po-  
dola; ale najłatwiej jego samego jutro o to  
spytać będzie można....

Herman zasepił się, skłonił i powoli wyszedł.

We drzwiach spotkał go brat w białym kra-  
wacie, stąpający pod równie prawie ogromnego

tryumfu ciężarem, jak Max. Wieczór był prześliczny, szlachta pocziwa rozentuzymowana do tego stopnia, że kilku po nocy iść chcieli oglądać maszyny hrabiego, co go nadzwyczaj ucieszyło.

— Co to ci? — spytał brata.

— Nic: trochę ciekawości.

— Potrzebowałeś czego?

— Chciałem się o coś dowiedzieć.

Żółtowski odstąpił, odsunęli się jakoś wszyscy, Herman gorączkowo pociągnął brata ku oknu.

— Widziałeś tego młodego człowieka?

— Któremu krew poszła z nosa?

— Tak jest.

— Znasz go?

— Nie...

— To mój syn! to syn mój! — zawołał żywo Herman — to dziecko moje! — powtórzył.

Rajmund osłupiał.

— Twój syn! to być nie może!

— On sam! on! jam go poznał!

— Śni ci się! to biedny jakiś chłopak z Podola, czy tam nie wiem z kąd. Jakżebyś zresztą poznać go mógł po tylu latach?



— Moje dziecko! ale jabył je poznał wśród miliona ludzi: ja je mam w oczach jak gdybył widział wczoraj. To Bóg mnie tu prowadził, ażebył je znalazł! To on! nie ma najmniejszej wątpliwości: spotkałem wzrok jego, poznawszy mnie zadrzał, zmieszał się i uciekł....

Potrzeba gonić! biedz, odzyskać go: dawaj mi ludzi, koni—ja go mieć muszę.

Wszystko co chcesz jest na twe rozkazy — rzekł Rajmund zimno, spiesząc z powrotem do gości—ale nie róbmy z tego historyi, bo się z nas śmiać będą! na miłość Boga!

— A niech się sobie śmieją! — ofuknął się Herman.

Powstrzymać starego było niepodobna prawie; postrzegł jednak Herman, że skłopotany i czem innem zajęty brat, zapalu jego nie dzieli i zwrócił się do Żółtowskiego, którego pociągnął z sobą do drugiego pokoju.

— Stary—rzekł gorąco—ratuj mnie i dziecko: ten chłopak to mój syn.

Milczek który się już nieco domyślał, odrazu pojał wszystko.

— Na Boga — odpowiedział — jeśli to był pański syn, a uciekł, nie gońże go, bo zapędzisz nie wiem dokąd. Nie ścigać potrzeba, ale zmusić żeby sam powrócił... Ale jakaż pewność? zkad wiadomoś? czy to być może.

— Zkad pewność? ja ją tu czuję! — zawołał Herman porywając się za piersi — ja wiem, że to był on, jam go odrazu poznał i on mnie także: ucieczka jego nie co innego oznacza.

— Jeśli tak, hrabio, na miłego Boga, dajże pokój pogoni! — dodał rozważnie Żółtowski.

Stary zamyślił się.

— Cóż począć?

— Ja wyślę kogoś tajemnie: wróć pan do salonu i siedź spokojnie.

I namyśliwszy się nieco, stary zamilkł, zwracając się ku drzwiom.

— A! dobrze ci tak mówić — rzucił za nim hrabia — ale jam go lat tyle nie widział, a to dziecko moje.

— Chceszże je pan na wieki utracić? — zapytał Żółtowski.

Hrabia padł na kanapę, zadumał się chwilę i powstał z większą jeszcze żywością.

— Bądź co bądź—rzekł— nie mogę go tak opuścić: jedźmy, idźmy, posłijmy: nie może być dalej jak w Robowie— tam go znajdziemy.

Nie można go było przekonać i uspokoić: w chwili gdy bal rozpoczynał się w salonach, gdy hrabia i goście przekonani byli, że przybyły poszedł odpocząć, on, Żółtowski i kilku ludzi z niemi pędzili co żywo do Robowa. Otto wysłał był już przodem Martynka, który inną pogoń, choć pieszo, ale naprost idąc uprzedził.

Otto domyślił się zaraz wszystkiego, i przeczuwał, że hrabia się nie omylił: a obawiając się, by Janko dalej w świat nie ruszył, polecił Martynkowi, aby go ukrył gdzie niedaleko i nie dopuszczał mu uciekać.

W chwili gdy Martynko zdyszany dopadł dworku i wprost wbiegł do izdebki w której Janek z Maxem mieszkał, Janko już upakowany z tłomoczkiem na plecach i kijem w rękę, prawie był na wychodnem. Stał z oczyma obłąkanemi, drżący i wystraszony.

— Co ci się stało? dokądże to wyruszasz?— zawołał przytrzymując go Martynko.

— Idę, muszę... nie wstrzymuj mnie: każda chwila droga! — odparł gorączkowo Janek.

I poczciwe chłopię, które się było sercem przywiązało do Martynka, schwycił go za szyję, ściskając ze łzami.

— Ale mów, co ci się stało! dlaczego uszedłeś? co robisz na Boga!

— Później dowiesz się o wszystkiem: powiem ci tylko, że jakiegolwiek są pozory, jam doprawdy niewinny tyle ile się zdaje: jam nic nie zrobił złego, ale uchodzić muszę. Chcą mnie zakuć w kajdany: ja nie mogę; ja nie zniosę niewoli — serce mi pęknie od niej.

I ze wzrokiem przelętkłym odpychał od siebie Martynka torując sobie drogę, ale chłopak wstrzymywał go poczciwym uściskiem.

— Słuchaj — rzekł — ja się ciebie o nic nie pytam, nic nie wiem i wiedzieć nie chcę; nie mam do tego prawa: powiem ci tylko co Otto powiedzieć kazał; wysłuchaj mnie, uczynisz sobie co zechcesz. Jakiegolwiek są powody dla których tak nagle uszedłeś z pałacu, Otto się lęka, abys nie biegł kryć się gdzieś dalej... Dokądże udasz się bez grosza, bez opieki, sam

jeden? My cię kochamy, obronim: nie damy lecieć na zgubę.

— A, zakujecie w niewolę...

— Nie, posłuchajże: Otto ci ofiaruje schronienie takie, w którym nikt o tobie wiedzieć nie będzie; chodź za mną: daję ci słowo Otto-na i moje, że możesz tam zostać spokojny.

Janko zawahał się, lzy błysnęły mu w oczach.

— Już ciż wybyście mnie zdradzić nie chcieli?

— My! na Boga! znasz mnie, znasz ojca!

— A więc, co prędzój, co prędzój: czuję pogoń za sobą.

Nikt szczęściem we dworku w Robowie powracającego Martynka nie widział, chłopak pochwyił za rękę Janka, i drzwiami od ogrodu wywiódł go z domu. Noc była ciemna, ścieżką znajomą przedarli się przez gąszcze drzew owocowych i wybrali w pole. Opodal za łąnem zboża była na skraju lasu pasieka, gdzie Otto, którego często najeżdżano, potrzebując czasem samotności, chronił się niekiedy na jaki dzień, aby być sam z sobą i myślami.

Miał tam dla siebie pobudowaną prostą chatę chłopską, ukrytą w drzewach, o której tylko

miejscowi wiedzieli. Kawał dobrej drogi dzielił ją od Robowa; ku niej to młodzi ludzie skierowali się żywo, słysząc już poza sobą turkot bryczek, które zarubiniecką drogą ku dworcowi pędziły. W istocie stary Herman niecierpliwy z Żółtowskim i kilku ludźmi wpadali do Robowa właśnie, gdy Martynko z towarzyszem byli już napół drogi do pasieki.

Otto namyśliwszy się, pogonił za nimi i przyłączył się także, drugą bryczką ich doścignawszy; obawiał się bowiem, aby w jego domu nie stało się co, czegoby później mógł żałować.

Razem prawie wszyscy weszli do domu i rozbudzeni słudzy wybiegli naprzeciw nich; hrabia wrzał z niecierpliwości.

— Jakże się on teraz zowie? — zapytał Żółtowskiego — bo nawet nie wiem o kogo pytać.

— Ani ja.

Zaspany stary sługa Ottona wysunął się z kredensu, przecierając oczy.

— Był tu kto? powrócił?

— A no! wrócił!

— Kto?

— On, gość: pan Janek...

— To on?—zapytał hrabia Żółtowskiego.

— Zdaje się.

— Jak wyglądał?

— Wysoki, blondyn: ten co z panem Ma-  
xem przyjechał.

— To on! Gdzież jest?

— Powrócił: musi tu być.

— Gdzie?

— Może w swoim pokoju.

— Prowadź nas.

Stary pospieszył za służącym, drzwi izby stały otworem, świeca paliła się na stoliku; świeżo rozrzucone łóżko, podarte papiery, zabrane rzeczy świadczyły, że ten kogo szukali, domyślając się pogoni, uszedł przed nią.

Dokąd? niepodobna było odgadnąć.

Hrabia padł na krzesło, złamany i zbolący. Żółtowski z załamaniem rękami stanął zamyślony, nie mając odwagi wymówić słowa.

— Sam tu był?—zapytał sługi hrabia.

— A sam.

— Gdzież podziąć się mógł? po nocy? nieznajomy; dokąd poszedł? jak znajdzie drogę? Moglibyśmy gonić.

— Ale gdzie zaś gonić—odparł Żółtowski— to się na nic nie zdało. On ma sto dróg; my jedną, to stara prawda; nie złapiemy go już, panie hrabio, pozwól to sobie powiedzieć: darmo.

Ale zaraz ukąsił się w język, czując że nadto się rozgadał.

— No, mów śmiało—zawołał hrabia.

— Co ci przyjdzie z dziecka, które gwałtem pochwycisz i przytrzymasz, jeśli go miłość wiązać nie będzie?

— Masz słuszność? ale cóż począć? dać mu ginać?

— A może znajdą się środki — rzekł Żółtowski — wszakże jadąc tu wcale się go pan widzieć nie spodziewałeś, nie wiedziałeś nawet o życiu dziecięcia; Bóg ci je dał zobaczyć, dość na tém: resztę zostaw temu samemu Bogu, niech go tęsknota i miłość same przyciągną do domu i do ciebie.



I skinął na sługę stojącego ciekawie u drzwi, aby odszedł.

— Ja nie lubię mówić— wysilając się dodał— słowo, to najniebezpieczniejsza rzecz w świecie: wyleci ptaszkiem, nie wciągniesz go wołem, to stara jezuicka ale dobra maxyma. No, ale na ten raz i mnie się gęba rozwiąże.

Hrabio! uspokój się, pomyśl na miły Bóg, co robisz.

— Widziałeś go! widziałeś— przerwał Herman— jaki piękny, jaka szlachetna twarz, jaka postawa, jak znać, że w jego żyłach pocziwa krew płynie? A! — rzekł hrabia łamiąc ręce kościste— myślałem, że się go wyrzec potrafię, zem się go już zaparł i zapomniał, a gdym ujrzał, krew mi buchnęła do serca, poznałem go odrazu, i on poznał mnie. Lecz byłemże ja dla niego tak straszny tyranem, tak nielitościwym ojcem? Nie czułże on serca we mnie ani dla mnie? A, Bóg mnie skarał straszliwie.

Gońmy go, pochwyćmy, a wówczas...

Gdy ta scena odbywała się w izdebce, Martynko ledwie Janka do chaty w pasiece wępcznąwszy, i powierzywszy starej żonie pa-

siecznika, z poleceniem aby nikt w świecie o nim nie wiedział; sam pomiarkował, że mu powrócić potrzeba i udawać jakoby wprost przyszedł z Zarubiniec. Wpadł więc do izdebki i trafił właśnie na to, gdy hrabia rozwodził swe żalę. Przybycie obcego nawet wstrzymać go nie mogło.

— Ja nie chcę go mieć, aby uczynić niewolnikiem — wołał — chcę go tylko zobaczyć, chcę znowu przez niego wejść w życie, zyskać nadzieję, nic więcej... Chcę, by dziecko moje nie zebrało chleba. Tyś go znalazł? — zapytał porwyczo zwracając się do Martynka.

— Kogo, panie?

— Janka tego...

— A jakże! onieć tu już są oddawna.

— Jakżeś z nim?

— O! jak najlepiej, bo to najpocześniejszy chłopiec w świecie! — zawołał Martynko.

— Nie możesz zmiarkować gdzie się podział?

— Jakto, podział? alboż...

— Mówią, że był tu przed chwilą, zabrał rzeczy i uszedł.

Martynko choć nieprzywykły kłamać, udał zdziwionego wcale nie źle: otworzył oczy, pokijał głową.

— Dlaczegożby od nas uciekał? — spytał — cóż tu było złego? czegożby się lękał?

— Ojca! ojca! — gorzko nie zważając na nic zawołał hrabia bijąc się po czole — tak: to mój syn, nie ma wątpliwości!

Porwał za rękę Martynka.

— Słuchaj — rzekł porywczo — tyś go znał, byłeś z nim w przyjaźni, może potrafisz przeczuć, odgadnąć, dojść, wysledzić, gdzie się on podział; uczyni ażebym go zobaczył, żeby z nim mógł pomówić.

Martynko milczał.

— Tyś ubogi — rzekł hrabia.

— Nic nie mam.

— Dam ci co zechcesz... dam ci.

— Ale, panie, ja darmo zrobiłbym co można. Czegoż jednak on ucieka?

— Bo mnie się lęka, niewdzięczny! bo się boi własnego ojca! i poszedł na nędzę dobrowolnie, byleby nie być ze mną. Oddaj mi go, dam ci spokój i chleb na całe życie. Powiedz

mu, że ja nic nie chcę, tylko go widzieć, tylko...

Martynkowi łzy stanęły w oczach, ale milczał.

— Tyś go znał? — powtórzył hrabia.

— Znałem go, panie.

— Mówże mi o nim, jak on jest?

— A! panie, to ptak, co lubi tak swobodę, wodę zdrojową, powietrze wolne, sukmankę, że dla nich oddałby skarby świata. Dziś gdy przyszło, z pozwoleniem pana, posługując temu kuglarzowi, ubrać się we frak i pójść grać do pałacu, co on się biedaczysko nazzywał, namęczył, napłakał!

— A zrobił to przecie? — zawołał hrabia, któremu oczy się iskrzyły.

— Musiał, dla przyjaciela.

— Pocziwe serce: nieprawdaż.

— Ale to serce złote, to dusza prosta i szczerą, co obłudy nie zna i nie pojmuje.

— Jakże mu się działo? z czego on żył? — zapytał hrabia coraz natarczywiej.

— Nie, tego ja nie wiem: służył podobno, był gdzieś koniuszym, teraz to i grosza nie miał, i znowu się w służbę wybierał.

Hrabia wstał i począł przechadzać się żywo.

— Gdybyś ty za nim pogonił — rzekł po chwili — onby się ciebie nie zląkł, on ci wierzy: nieprawdaż?

— Być może.

— Gdybyś starał mu się wmówić, że mu nic nie grozi odemnie, że ja go nie myślę więzić.

Hrabia nie przeczuwał wcale, jak dobrze trafił zwracając się do Martynka; ale biedny chłopiec, któremu się zdało, że doszli jego tajemnicy, drżał cały. Herman zbliżył się do niego.

— Siadaj, jedź — zawołał — goń za nim: ja powrócę do Zarubiniec.

— Panie — odparł Martynek z prostotą poczciwą — ja jestem cały na usługi twoje, ale nie będę zdrajcą i ponętą, którą puszczają najprzód, by zwierza do klatki wprowadził.

— A któż tego żąda po tobie! ja nie chcę nic! ja go właśnie takim mieć chciałem, jakim dzisiaj znajduję; patrzeć chcę tylko na niego i kochać: oszczędzić mu bolu, starania, nędzy, które wiodą do złego. Nie okuję go przecież,

ale drzę, by gnany strachem nie zapędził się gdzie daleko: może zginąć, może się spodlić — ratuj mnie i jego.

— Tak; ale ja... nie wiem gdzie go szukać.

— Probuj, jedź; czyn co ci się podoba: pomóż mi.

— Panie, ja nie potrafię.

Hrabia znowu upadł w krzesło milczący i łzy potoczyły mu się po twarzy. Martynek patrzył, drżał, ale wytrzymał.

Żółtowski, który nań zdaleka z uwagą po- glądał, może się czego domyślał; kto wie, mo- że odgadł wszystko, ale ust nie otworzył.

— Cóż tu począć? — odezwał się Martynek — gdzie mnie poślecie, gotów jestem.

— Jak ci się zdaje, dokąd się mógł udać?

— Jak ja go znam, nie łatwo odgadnąć — rzekł chłopak — mógł się w las rzucić bez dro- gi; niczego się nie lęka: fantazyje ma dziwne.

— Odważny? — spytał hrabia.

— A! panie, mężny i silny jak lew...!

— Takim go mieć chciałem! A niewygody?

— Ależ to dziecko stepu i dusza kozacza, jak się sam nazywa.

— To cud, to moje dziecko! I stracić je! Gdzież on? gdzie on, mówcie! ratujcie! — wołał Herman.

— Jego, panie i szukać darmo, i znaleźć trudno, chyba trafem. Jeśli mi każecie probować, spróbuję, ale nie ręczę — odparł Martynko kłamiąc coraz śmielej.

— Potrzebować będziesz pieniędzy — przerwał hrabia — i ty, i on jeśli go znajdziesz, bierz....

Przywyknienie do skąpstwa wstrzymało hrabiego.

— Słuchaj, Żółtowski — rzekł zapytując go wejrzeniem — czy Martynkowi zaufać było można? Na co stary ruchem odpowiedział, że był nieposzlakowanej uczciwości. Wiele mam dać?

— Co pan chcesz?

— Daj mi pan z pięćdziesiąt złotych — rzekł Martynko namyślając się — potem się obrachujemy.

— Głupis, dzieciaku! — zawołał hrabia — masz tysiąc, nie żałuj! płac, przepłacaj, najmuj, śledź, bylebyś mi go odszukał, a gdy znajdziesz....

— Jeśli go znajdę?

— Daj mi znać, żebym mu przysłał ile zechce. Ja go nie zobaczę, póki się sam nie przekona, żem dla niego nie myślał być tyranem, że jest wolnym i będzie wolnym....

Martynko przełękły obracał w rękach pie niądze.

— Ale jakże? zaraz?

— Jedź natychmiast, spiesz... szukaj, nie dawaj mu się oddalić. Lub nie: powiedz mi jeszcze co o nim?

— Cóż powiem panu: serdeczny chłopiec.

— Ma rozum?

— Ojciec Otto mówi o nim; on kocha go także bardzo...

— A, prawda, spytam Ottona; ty wybieraj się i jedź co rychlej, a pozwólcie mi tu zostać w téj izdebce, w której są jeszcze ślady po nim, biednem dziecięciu.

— Ot, jeszcze kij jego w kącie!—rzekł Martynko—sam go tu wystrugał.

Herman pochwycił w ręce drżące kawał drzewa, ścisnął gwałtownie i oczy weń wlepił, jakby z niego miał coś o tym, który go nosił



wydobyć, dowiedzieć się; znowu dwie łzy błysnęły mu na powiekach.

Wtém wszedł Otto, który zdala dotąd trzymając się, czatował: hrabia rzucił się ku niemu.

— Siadaj — rzekł — ty mi więcej, ty mi lepiej o nim opowiesz.

Żółtowski mrugnął na Martynka i wyszli z nim razem, zostawując ich sam na sam. Otto usiadł spokojnie, siwiejące włosy przerzucając ręką żylastą.

— Mówmy jak starzy towarzysze szkolnej ławy — odezwał się Herman — znasz mnie i moje dzieje; Bóg zrządził, że jego poznałeś: powiedz mi, zaklinam cię, jakim on jest? Żyłś z nim, potrafięś ocenić.

— Nie wiem czy jest synem twoim, choć ta ucieczka coś dowodzi — rzekł Otto — nie myślę kim jest, ale to chłopak wielkich nadziei; dusza najpocziwsza, szczerza, prosta, uczuć szlachetniejszych trudno, tylko dzieciak: sierota rozmiłowany w swęj swobodzie, i jarzma, które społeczeństwo wkłada, nałożyć nie chce i nosić nie umie. Ja, com je także ciągle z karku otrząsał, nie będę tu dobrym sędzią; dla mnie

on ideałem, choć przyznam ci się, nie wiem co-  
zycie jeszcze zrobi z niego. Z takich ludzi ro-  
dzą się i bohaterowie i rozbójnicy Szyllera:  
wielkie charaktery i wielkie zbrodnie. Jest  
z czego uczynić posąg Apollina i Satyra.

— A kochać on umie? — spytał hrabia.

— Do zbytku: dowodem, że taką lalkę na  
sprężynach jak ten Max pokochał, pomagał  
mu, służył i dał się zawojować. Widziałeś dziś  
Fermera, gdy obłókł rolę natchnionego, grając  
Wlazł kotka... a przecież Janko go kochał.

— To źle! to źle: miękki więc jest!

— Nie, ale umie kochać i potrzebuje się  
poświęcać.

— I będzie ofiarą, mimo wszystkiego —  
rzekł hrabia zamysłony — będzie ofiarą, nic go  
nie wybawi. Tacy ludzie są wyjątkowi i za-  
wsze im źle na świecie; on zginie biedny: te-  
go właśnie chciałem hartując go uniknąć, ale  
dzień się wola Boża.

Rozmawiali tak długo jeszcze, bo hrabia  
z pokoju tego wyniść nie chciał i dzień świtał,  
gdy nareszcie Otto namówił starego, aby się  
położył. Paweł stary zrozpaczony oddawna,

przybywszy z Zarubinięc posłał był łożko, i czekał drzemiąc i płacząc nad pościelą, nie pojmując co się spokojnemu panu stało.

W pałacu tymczasem nie mogły ujść baczności przybyłych sąsiadów ruchy, które zaszyły w sali; wieść o związku jakimś między ucieczką Janka a nagłym wyjazdem hrabiego przetworzyła się w dziwną bajkę: szeptano sobie o osobliwszym jakimś wypadku, który jedni drugim podawali, coraz poczwarniejsze tworząc z niego opowiadanie. Dodało to trochę ożywienia i gorączki zabawie, ale wielu też powarzyło i napełniło niepokojem, bo nic pewnego dowiedzieć się nie było można.

Tylko Max i pułkownikowa, których zaraz zapoznano z sobą, wcale nie zważali na to, co się wkoło nich działo.

Amelia ginęła z niecierpliwości, żeby się zbliżyć do wielkiego artysty; Max czuł, że się spotkał z fortuną na rozdrożu i że szło tylko o to, aby ją pochwycił za włosy, to jest za serce: oboje równie obawiali się zawodu i drżeli zbliżając do siebie.

Max, jako bardzo porządny człowiek, choć artysta, po formalnej prezentacji, nim dalej zaszli, pod pozorem wody poszedł rozpytać się dobrze, co za jedna była ta pani pułkownikowa. Trafił na młodego człowieka dowcipnisia, który mu ją w dwóch słowach odmalował.

— Ja panu powiem — rzekł — to jest wdowa po pułkowniku Z.... i po czterdziestu latach umarłych; ale że nigdy nie była ładną, nie jest dziś brzydszą jak przed dwudziestą i podobno już na to rachować można, że nie zbrzydnie i nie postarzeje. Widziałeś pan jej figurę? stanik klasyczny, ręka i nóża skulpturalne, ubiera się jak moda, tańczy jak niemiecka sentymentalna baletniczka, szepleni trochę mówiąc, lubi zapachy, nigdy nie miała widocznego kochanka, ale i to dodać potrzeba, że ma gdzieś niewidocznego także synka — po nieboszczyku pułkowniku... Majątek czysty, dobrze urządzone, wart pół miliona komu niepotrzeba, może więcej; w brylantach, tyftkach i innych precyozach i remanentach, nie licząc różu i bielidla, jest pewnie jakie sto tysięcy jeszcze. \*Młoda sercem, ospowata po dniu.

To mówiąc uklonił się i na pięcie wykręciwszy, zniknął.

Główne punkta dawały informacją zadowalniającą dla Maxa, który zaraz powrócił do niej przybierając minę artysty, dla którego świat stał się pieprzem i assafetydą. Zwykły to kolor tych co się chcą uczynić zajmującemi, nim się raczą dać w sobie zakochać. Oprócz tego Max udawał człowieka mocno od losu prześladowanego, dziecko rodziny niegdyś znakomitęj i zamożnej i t. d.

Resztę miał dopełnić w miarę objawiającęj się potrzeby.

Amelia ze swęj strony miała grać rolę doskonale wyuczoną praktyką lat kilkunastu, kobiety czulej, bardzo nerwowęj, potrzebującęj kochać a dotąd nigdy nie kochanęj, mającęj zaoszczędzone w głębi serca nieprzebrane źródła afektów.

Dość im się było zbliżyć, przemówić, porozumieć aby zgodzić z sobą: wieczór był stanowczym.

Max przypatrzył się, że choć ospowata, wcale nie była brzydką i dość miłą; ona, że był młody,

ładny i egzaltowany, wzięła bowiem artystyczną blagę za dobrą monetę. Mówili z sobą tylko ciągle i prawie wyłącznie i pułkownikowa zaraz go nazajutrz do siebie zaprosiła.

Reszta nocy zeszła na skokach, do których z widoczném nadskakiwaniem służył Max pułkownikowej, puszczając się z nią w walce i polki, w których Licie żywe czułego jęj serca mógł na uczynku pochwycić.

Hrabia szlachtę przyjmował serdecznie i karmił a poił natarczywie, co dało wielu do myślenia, że ma zupełną kwalifikacyą na marszałka, i mógłby nim być bardzo. Pani domu i Lola gościnne były, ale jakby pomieszane i smutne. Dziewczęciu stał w oczach ów blondyn z takim wejrzeniem pocziwem i słodkiem, który znikł nagle, i rumieniła się przed sobą myśląc o nim; hrabina sama wołała zawsze ciszę, modlitwę i pokoik z oknem na ogród i bzy swoje; tłum ją wcale nie bawił, wzdychała do samotności, do której nawykła.

Nadedniem już goście się rozjechali, a Max pomógłszy pułkownikowej wsiąść do karety, którą obejrzał okiem przyszłego już właściciela,

pożegnawszy gospodarza, rozmarzony nadziejami, poleciał spocząć do Robowa.

Wszyscy spali i cisza panowała w małym dworku, wieśniacy tylko ze dniem do pracy wstawać poczynali i gdzieniegdzie żurawie studentów piszczwały, lub krówka wypuszczona na podwórko porykiwała ku stadu, z którem wyjść miała na rosę.

Ponad ziemią lekki opar się unosił i z mgły tej w pół przezroczystej, krajobraz wychodził cudnymi sinawemi barwami przedwschodu odziany. Na Maxie drzemiącym po winie, po koncercie, po rozmowie z pułkownikową, owacych i nagłym zubożeniu, natura nie mogła czynić wrażenia; brał się tylko co chwila za kieszenie i przemyślał co miał wieczorem mówić uroczej wdówce, aby ją podbić zupełnie.

Zsiadł przed gankiem napół pijany i wtaczał się we drzwi, gdy na ławce postrzegł Ottona; który nie mogąc zasnąć, sam jeden siedział z głową o kolumnę spartą.

— A to co jest? — zapytał.

— Siedzę i odpoczywam — rzekł Otto — ale idź cicho, bo mamy gościa, hrabiego Hermana,

który niedawno się położył: nie przerywaj mi snu, proszę.

— A on tu co robi?

— Ciasno było w pałacu, przyjechał do mnie.

— No, a Janek się znalazł?

— Niema go.

— Cóż to jest? uciekł? z jakiego powodu?

— Nic nie wiem.

— To coś niepojętego.

I przysiadł Max na ławie szukając powodu do wywnętrzenia i przechwałek.

— Czy zabrał i rzeczy z sobą!

— Zabrał i poszedł nocą.

— Wszakżem mu nic nie zrobił?

— To fantazya jakaś.

— Dzień cudów i dziwów: mógł przecie poczekać żeby się koncert skończył i pożegnać ze mną; ale to zawsze pół-waryata!

Nie lubiąc kłamać i pół gębkiem chwalić, chciał Otto uniknąć mowy o koncercie, ale artysta nadto pił pochwał, które, jak inne napoje fermentujące budzą pragnienie, żeby nie pożądać ich jeszcze; sam więc zwrócił rozmowę na tryumfy swoje.



— A tak! — rzekł — mówiłem i powtarzam, jest u nas poczucie piękna; dowodem moje wczorajsze wystąpienie przed tém wieśniactwem próstém, nieuczoném a uczucia pełném, od którego byłem tak gorąco zrozumianym. Tego wieczora nigdy nie zapomnę: wiiesz, że około sześćset rubli się zebrało! Olbrzymio!

Otto się uśmiechnął.

— I w dodatku — rzekł — rozkochałem się.

— No, to się rozumie, że w pułkownikowej — przerwał Otto.

— Zkąd wiiesz?

— Bo to jest jedna kobieta, na której miłość wszyscy ludzie młodzi prócz mnie, chorują zawsze po pierwszym widzeniu, od dziesięciu dni do dwóch miesięcy.

Max się obraził.

— Kobieta zapoznana!

— Kobieta bardzo zacna, ale chora... —

— Co? reumatyzm? — spytał na seryo Max.

— Nie, choroba sercowa: chce być kochaną jedynie, wyłącznie, gwałtownie i wiekuiście.

— Ma słuszość, taka tylko miłość jest miłością.

— Niezawodnie, ale ten kwiat nie wyrasta i nie kwitnie w czterdziestu latach, chyba zasiany w dwudziestu... zapóźno...

— Nie — rzekł Max — nie: zawsze czas kochać.

— No! to co innego — odparł szydersko Otto.

— Jako, co innego?

— Wiesz, że ma pół miliona...

— Najprzód, nie wiem; powtóre, to mi uwłacza...

— Oh! dajże pokój; to pochwała twego rozsądku — uśmiechnął się Otto.

— A! ci zimni ludzie! ci zimni ludzie! — zawołał Max bijąc się w czoło.

Otto, który codzień chodził na cmentarz do grobów narzeczonej i ojca, choć nikt o tem nie wiedział, uśmiechnął się szydersko.

— Dam ci dobrą radę — rzekł po chwili.

— Jaką?

— Pułkownikowa potrzebuje pójść za mąż koniecznie; jeszcze pół roku, rok najdalej, a wyda się za młodego ekonomę lub pisarza gorzelnianego; ożeń się z nią, będziesz mógł

próżnować i muzykę porzucić: to dla ciebie dobra partya.

Max zagryzł usta, zniósł ten sarkazm i poszedł gniewny, mrużąc, do swojego pokoju.

Tu rzucił się na łóżko dumając o Amelii i usnął.

Amelia też nie miała w życiu szczęśliwszej chwili nad podróż swą z Zarubiniec do Danowa... W pół drzemiąca, w pół marząca na jawie, napół i we śnie, przez całą drogę widziała przy sobie artystę, który jej szeptał pół słowa czarowne, jakich się dźwięku nie zapomina nigdy.

— Melciu droga, ja cię kocham, ja wiecznie kochać cię będę... jam twój... Droga życia kwiecistą pójdziemy dalej razem z dłonią w dłoń, z okiem w oku... Ty sparta na mojem ramieniu, wsłuchana w pieśń moję, ja wpatrzony w twoje oczy...

— Stało się—rzekła wysiadając senna w ganku: jeśli on zechce, jeśli mnie zrozumie, będę jego! Niech świat mówi co chce, niech ludzie rzucają kamieniami, i mnie się kropla szczęścia z czary, której usta nie tknęły, należy...

I odpinając bransolety, rzuciła się w fotel szepcząc pocichu:

— Ten lub żaden!

⊕ Biedna, a! jakże wybrała!

W ciemnym gaju, wśród którego opasana plecionym płótem, tarniną obwarowanym, stała w sadzie owocowym pasieka, Janek przed chatą przechadzał się niespokojny. Słońce wschodziło na świecie i złote jego promienie na wierzchołkach drzew się czepiały, gdzie przerynając gąszcze, lśniły się na zlanych rosą obfitą liściach traw i ziół lasowych: ale w pasiece mrok był jeszcze i chłód poranka, a każdy krok na trawie znać było w otrzęsionych z rosy listkach.

Pszczołki już gadały, już się budziły robotnice, już je wabił zapach rozkwitłych łąk i ziół, i ule okryte na chwilę czarnemi ruchomemi plamkami, wnet opustoszyć miały. W gaju ptastwo już także było przy pracy dzienniej, słowik nocnego strażnika dośpiewywał pieśni, dzięcioł kuł nieborak próchno,

drobne ptaszęta szły na żer w pole, silniejsze na łowy, a ci co nocą plondrują, do jam i dziur wracali.

Dzień wschodził pogodny. Janek co ledwie był trochę usnął na sianie które mu podesłano, niespokojny krążył przed chatą. Nie czuł się tu bezpiecznym: w polu, na równinie, w ruchu, byłby wytrwał; ale tu zdawało mu się, że jest zamknięty. Chata trąciła niewolą, ukrywaniem się, bojaźnią, poczciwa dusza męczyła się tym stanem.

— To on był, to on!—mówił do siebie Janek — wszakżem powinien był przeczuć, że w domu brata mogłem go spotkać, choć tam oddawna nie bywał. To on! też same oblicze zwiędłe, straszne, surowe, tylko starsze: lata na wyzółkłym czole wypisały mu jego sieroctwo.

To też same usta, które mi się nigdy, nawet w kolebce nie uśmiechnęły, co mi groziły i szydziły ze mnie; to to oko straszne i piekące: to on! to on!

I obok tej twarzy, z mgły wspomnień, jak w krajobrazie z za tumanów siło zielone, wsta-

wała druga twarz uśmiechnięta, tak piękna, czysta, święta, łagodności i dziewictwa pełna, jakby nie z czarnej ziemi wyrosła... Janek nie wiedział nawet kto ona była, ale tak mu się wpiętnowała w pamięć, w serce, że może jej był winien, iż odrazu uciec nie potrafił.

— Ja tu ją może jeszcze znajdę, zobaczę— mówił do siebie— bo drugiej takiej na świecie nie ma i być nie może.

Twarz pięknej Loli i oblicze ojca przelatowały przed nim jak dwa sny biały i czarny: drżał i bał się i coś go nazad ciągnęło.

— Potrzeba było uciekać— mówił do siebie — daleko, w tę Ukrainę stepową, między dzieci pustyni, i znowu tam na dzikich hasać koniach, spać na gołej ziemi, ubić w sobie marzenia: zapomnieć, zapracować się. Tamby mnie nikt nie dogonił, nie poznał, nie znalazł. I tam są oczy niewieście i serca kobiece i toż życie w szarej sukmanie, co tu w odzieży jasnej, tylko prostsze i bliższe Boga i szersze.

Nie! tu nie moje miejsce, tam! ztąd iść trzeba: tu duszno i straszno.

Mówił tak chodząc, gdy zaszeleściało w krzakach i nim się zdołał ukryć, przelekleły jak zbrodniarz, ukazał się poczciwy Martynko, zmokły, obłany rosą i skutkiem nocnych przygód do których nie był przywykły, z febrą okrutną, co go właśnie trząść poczynała.

Zbladły, jeszcze się biedak brzydszy i biedniejszy niż kiedy wydawał, aż Janek poznawszy poskoczył ku niemu przestraszony, wołając:

— Co ci to jest?

— Ot, nic, tylko febry dostałem.

— Co ci zrobić na to.

— Nic, chodźmy do chaty bo mi zimno, bardzo zimno, ale za chwilę przejdzie gorączka i lepiej mi będzie—uśmiechnął się pokrywając cierpienie poczciwy chłopak.

— A co słyhać?—spytał Janek.

— Nic.

— Gonili za inną?

— Nie.

— Nie? pewnie?

— Możesz mi wierzyć: płakali po tobie, nie ścigali cię wcale.

— Płakali!— zawołał Janek— po mnie! kto?

— Ojciec.

Janek się uśmiechnął.

— O!— rzekł cicho— tych oczów nigdy łza nie nawiedziła.

— Mylisz się; ale wnijdźmyno: ja sam łzy widziałem.

Janek zamilkł, ale z nieufnością widoczną wszedł za Martynkiem do chaty.

— Słuchaj— rzekł— jeśliś tu po to przyszedł żeby mnie nawracać, czas stracony; nadto bliżkie jest jeszcze moje dzieciństwo, bym o niem mógł zapomnieć.

Darmo: nie mów mi o tém!

— Ale ja wcale nawracać cię nie myślę, ale i kłamać nie mogę— odparł Martynek.

Wszedłszy do chaty, Janko zaprząłnął się około chorego, położył go, okrył, otulił i pobiegł ognia rozpalić, aby mu co ciepłego zgotować; w tych razach jak to Max doświadczył, Janko był jedyny, czynny, niezmordowany, wesoły, gdy mógł pracować i służyć komu.

Martynek aż płakał upokorzony, ale wstać nie mógł, bo febra coraz go mocniej rozbierała.



— Mój Janku—rzekł w ostatku po długiem milczeniu — wyrzucalbym sobie, gdybym co skrywał przed tobą.

Janek pobladł.

— Opowiem ci jak było wczoraj — dołożył chory—trzeba żebyś wiedział wszystko. Bądź spokojny, nie byłem zdrajcą i nie będę.

Tak począwszy Martynko opowiedział gorąco całą swą ze starym rozmowę, powtórzył słowa jego, opisał łzy i wzruszenie. Syn słuchał go z uwagą, z ciekawością, ale na twarzy jego, po której raz długa łza przebiegła, także nie widać było skruchy i żalu. Martynek kończąc wyciągnął doń rękę podając mu pieniądze ojca, ale Janko je odtrącił.

— Teraz ty mnie posłuchaj—rzekł powoli—co się stało, odstać się nie może; jam dziś już syn biedy i niedoli, a nie paniątko tam jakieś; powrócić do nich nie chcę, nie potrafię, bobym nie wyżył z niemi: jam znękaniem wypchnięty został z tego świata, wyszedł i poślubił sobie inny.

Wpóśród nich czuję się obcy, smutny, nie swój, zmęczony; dopiero gdy dłoń podam uzno-

jonemu wieśniakowi, gdy z nim siadę gwarzyć na mogile, gdy pasę konie, gdy w lesie głuchym słucham śpiewu Bożych dzieci, jestem w swoim żywiole i szczęśliwy. U nich miłości nie ma, wiesz co jest — próżność tylko. Myślą: to ostatni imienia spadkobierca, przelejmy nań troski nasze, imię, nędzę i niewolę, włóżmy nań pęta, któreśmy sami nosili. Starzec schodzi do mogiły, odpędził co kochał, zostaje sam, chce mieć kogoś, by dręczyć i komuby spadek swęj dumy i osamotnienia przekazać. Ja nie chcę ich przyjąć; szczęśliwy jestem jak jestem, grosza nie tknę, bom go nie zapracowałem, bo ten grosz związałby mnie i spętał na wieki.

— A! gdybyś ty widział łzy starca! — rzekł Martynko.

— Łzy, i ja płakałem — odparł chłopak, — a łzy z różnych źródeł płyną! Jam już urosł sierotą i sierotą zostanę. Chowałem mnie na włóczęgę, co się nie zleknie niedoli ni pracy, otóż mnie nim ma.

Janko chodził żywo po izbie.

— Ale ty mnie nie zdradzisz — rzekł do chorego.

— Ja? możeszże posadzić?

— Nie! nie! ty nadto jesteś biedny. Któż wie? może gdyby tu przyszli do mnie, uległbym, upadł, dał się związać i zabrać, ale życia zmienić nie chcę: tak mi lepiej.

— Pomyśl jednak....

— Myślałem nieraz — jam swobodny, jam sobą, tu nic nie krępuje ni myśli, ni woli... tam... Ty jeszcze wzdychasz do tego świata, bo go nie znasz, ja go odpycham, bom sko-  
sztował.

— Dziecko, szaleńcze!

— Tyle w człowieku dobrego, co szaleń-  
stwa—rzekł Janek—u was się szalem nazywa,  
co wychodzi z powszedniego błędu i płaszczy-  
zny. Ale ja nic od nich nie chcę.

— Oni chcą od ciebie, i nie tak wiele jak  
sądziysz!

— Jakiem prawem? — przerwał Janko —  
cierpiałem jak cierpi dzikie zwierzę, co odejść  
od gniazda nie może; dziś dostałem skrzydeł,  
odleciałem... w świat: Bóg tylko jeden ma pra-  
wo spytać mnie dokąd i po co?

Nie można było mówić z nim więcej.

— Bądźże spokojny — rzekł Martynko —  
siedz tu, ja cię pewnie nie zdradzę.

Potém poczeli gwarzyć po młodemu swobodniej, o ile choroba pozwałała jednemu, drugiemu obawa i wzruszenie.

Przed oczyma Janka przelatowała ciągle ta twarz dziewczica przesliczna, o której zapomnieć nie mógł.

— Powiedze mi co o Maxie?—spytał Janko.

— Max pan, kieszenie ma pełne złota i upił się pochwałami do syta. Na dziś wieczór zaprosiła go jakaś pułkownikowa.

— O! serce ma z wosku—rozśmiał się chłopak—to się zaraz zakocha w niej szalenie.

Ale przypomniawszy sobie wrażenie jakie na nim zrobiła nieznajoma, spuścił głowę i umilkł zawstydzony.

Dotąd dziki Janko nie znał tego uczucia, choć przebiegł swobodny kawał świata, a ładnego chłopaka tysiąc razy wabiły dziewcząt oczy i uśmiechy. Nieraz już czarne, ogniste wejrzenie niepokoiło go temi obietnicami, które się nigdy nie dotrzymują; nieraz w drżącej dłoni miał malutką rączkę, która mu się

narzucala uściskiem, ale naówczas zawsze strach go jakiś ogarniał: jakby prosząc o miłość, życia od niego żądano, uciekał przelękły, tęsknił, zapominał oczów, uśmiechu i dłoni, która magnetycznie taki weń ogień przelała. Pojęcie jego o miłości było takie, jakiego się czyste a poczciwe chłopię w kozaczych stepach mogło wyuczyć z piosenki; wiedział o niem tyle, co wie śpiewak dziewiczy, co mówi bajka i podanie. O ucho jego nie obilo się szyderstwo swawolne, którego, słysząc je nawet, nie bardzo rozumiał; ale się wsłuchał w te tęskne dumy, w których chmury noszą poselstwa kochanka, ptaki wieści krwawe, cały świat dzieli ich bóle i łzy. W tych pieśniach zawsze miłość i uścisk kończą się śmiercią i mogiłą, i dwie dusze płacząc ścigają się potem za grobem, męczą tęskniąc za sobą. W pieśniach ludu nawet nie zepsutego jest ta miłość niepodobna, którą czasem spotykamy w książkach naszych; ten sam ideał, tylko tam piękniej ubrany, tu prozaiczniejszy i zimniejszy.

Janko pojmował miłość tylko taką stepową, wielką, jedną, niezmierną, ale więcej się jęj

obawiał niż pragnął. Dusza jego bała się nawet tych pęt, które na nas kładzie uczucie....

Gdyby dwoje skrzydeł na barki, gdyby zaraz jedna szata z chmury i precz ze świata ze skarbem ulecieć w górę, myślał czasami; ale żyć, by codzien się psuło to, co chwila uczyniła już tak doskonałem, że większem i piękniejszym być nie może; żyć, by miłości dać zwiędnąć i zatonać w ziemskim kale, a!! to lepiej nie kochać!

On chciał... ale to było dziecko stepu, a co marzą orły na mogiłach, krucy w chmurach i ludy młode i młodzieńcy budzący się do życia, tego pióro z trupiego wyrwane skrzydła, nie spisze. To pioruny piszą w niebie, to jęczą lasy w noc głuchą, tego wybyście panie i panowie moi, nie zrozumieli.

A jednak ilekroć dziecko stepu chciało pójść nazad w ten swój świat, nazad go ku ohydzonemu ciągnęła tatwarz zjawiona, i przykuwała uśmiechem, jakby mówiła do niego:

— Ja umrę po tobie w tęsknicy.

Coś było w głębi tego uczucia niosącego z sobą przekonanie, że się ono opłaci wzaje-

mnością, że się nie urodziło same, że żrenica co je zapaliła, szukała widma przed sobą, i zapłonęła tęsknotą, bólem, pragnieniem.

— Dobrze więc — rzekł Martynko — rób sobie co chcesz, ale po cóż masz od nas, co cię kochamy, uciekać, kiedy tu nic ci nie grozi?

— Jakto? myślisz, że zostać tu mogę? to historya nadto głośna, zwróciła na mnie oczy; niepodobna.

— Historyi żadnej nikt nie wie, ty z nami możesz pozostać tak swobodny i spokojny jak w stepie. Czyż ci tu z nami nie lepiej? —

Janko się zadumał.

— Przecież wszyscy wiedzą, domyślają się przynajmniej kto jestem?

— Nikt, prócz mnie: Żółtowski może. Twój ojciec nie chcąc ciężyc nad tobą, jutro powraca do domu. Pocóż uciekać gdy nikt nie ściga, gdyś nieraz mówił, że ci tu dobrze, żeś się do nas przywiązał; gdy wiesz, że Otto kocha cię jak dziecko własne, ja — jak brata, jeżeli taki biédak jak ja ma prawo kochać hrabiátko.

— O! dajże mi pokój! Ja tę skórę tygrysią co do mnie ludziom przystąpić nie dawała,

zrzuciłem już dawno, jam prosty chłopek, co chcesz, tylko nie hrabia. Ale przypuściwszy, że mnie nawet nie okują w kajdany fraka i rękawiczek, co ja tu będę robił?

— A co tam dokąd lecisz?— spytał Martynko.

— Pójdę konie ujeżdżać znowu.

— To i tu coś podobnego ci znajdziemy, a czyż nie pochlebiając sobie, Otto a choćby ja, po koniach i bydłe, nie byli ci na co potrzebni?

— Ale ja się tu boję!

— Dziecko jesteś.

— Ty nie wiesz co klatka: jam w niej mieszkał! Ale zawsze zostanę i spocznę, a potem, zobaczymy.

Martynek coraz silniejszych dostawał dreszczów, więc się skończyła rozmowa, bo Janek postrzegł jak się na nią zmagać musiał, i wyszedł przed chatę, czując, że mu w niej było duszno jak w więzieniu.

---

U hrabiniej nazajutrz po uroczystości znowu się rozpoczęło życie dawne, spokojne i ciche.



Mąż ożywiony na chwilę niezwykłym zaprężeniem powrócił do swoich machin i Malczaka, który miał tę zgryzotę, że mu Max nie dotrzymał sowitego datku i zbył go bardzo oszczędnym podarkiem. Ukryto przed kobietami całą historią kuzynka, którą i dla innych starano się wytłumaczyć, opowiadając o nagłej jego chorobie. Spieszne oddalenie się hrabiego Hermana do Robowa składano na jego dziwactwo, trochę i ciasnotę i niewygodę Zarubinię. Żółtowski tak zręcznie jakoś potrafił to milczeniem i rzucaniem pół-słówkami ufarbować, że po długich szeptach i domysłach, wszyscy się przekonali, iż to co brali za dramat, było bardzo prostym *qui pro quo*. Więc choć tam po sąsiedztwie sobie gwarzono, w pałacu już było cicho. Hrabia Rajmund ruszając ramionami, obojętnie pracował około swojego młyna bez kamieni, hrabina się modliła, Lola nie domyślała niczego.

Ale wczorajszy wieczór dla Loli zbyt był obfitym w wypadki, by nazajutrz po nim mogła być tak spokojną jak matka, która wróciła do swoich pacierzy, podlewała swe kwiatki,

szeptala różaniec i z radością wchodziła znowu w to ciche, jednostajne życie, które samo tylko zranioną duszę ukołysać może.

We dwie siedziały w pokoju, matka modliła się pocichu, żywa Lola wciąż ją zarzucała pytaniami; wspomnienia wieczora snuły się jej po głowie jak fantasmata snu gorączkowego.

— Moja mamó, ale bo ty mnie słuchać nie chcesz.

— Owszem Lolciu, mów.

— Uważała mama jak ten pan Max grał? czy to było pięknie, nie wiem; ale mnie się zdaje, że prawdziwa, wielka i piękna muzyka, powinna być spokojna, majestatyczna, prosta jakaś, uskrzydłona i wyanielona; jak powiada poeta, a nie taka roztrzpiotana i płocha.

— To prawda, moje dziecko.

— Bo jużciż muzyka co gra nam do tańca, to grajki, to granie, to świergotanie muzyka, a potem, mamciu; ale mamcia znów nie słucha?

— Ale owszem, słucham Lolciu; jakaś ty dziwna!

I pocałowała ją w głowę.

— A potem, co?

— A potem, ten pan, ja nie wiem czy on tak bardzo czuł, ale mnie się zdaje, że on trochę grał komedią i smyczkiem i sobą? —

— Może to go już tak Bóg stworzył? —

— Bo gdy kto czuje, to z uczuciem prawdziwém przychodzi, mamciu kochana, i bojaźń, i wstyd i rumieniec. Ja przynajmniej czuję, gdy mi się na łzy zbiera, gdy innie co wzruszy, gdy się gorąco modłę, to mi twarz pali i chciałabym schować się pod ziemię z tym skarbem wesela czy boleści. Ale tak wystąpić, rozedrzyć pierś i pokazywać ją za pieniądze! moja mamciu, słyszy mama?

— Ale słyszę, i cieszę się, bo masz słuszność.

— Więc on nie pięknie grał?

I mnie się to nie bardzo podobało.

— A dlaczegoż pułkownikowa mdlała?

— Ale czyż mdlała?

— Widziałam, była w extazie!

— Ale bo, widzisz dziecko moje, są dusze tak podrażnione życiem....

— Doprawdy są tajemnice, których ja nigdy nie pojme; więc na takie dusze i fałsz działa jak prawda, i udanie jak uczucie?

— Te dusze są jak rany, które i uderzenie i pogłaskanie równo boli.

— A! jak to mamcia ślicznie powiedziała!

— Ślicznie! gdzież tam!—i uśmiechnęła się hrabina całując w czoło dziecię, —nie pięknie, ale może prawdziwie. Gdy się rana zasklepi, a była głęboka, później już traci czucie na razy i pieszczoty.

— Smutna to rzecz życie!— westchnęła Lola myśląc o młodym chłopaku.

— Ale co to się stało temu drugiemu, moja mamo, czego on uciekł?

— Nikt tego nie wie, zdaje się, że zachorował.

— Czy mama go uważała?

— Trochę zdaleka.

— Jaki on był piękny, kiedy wyszedł taki drżący, taki różowy cały, a taki silny i tchnący jakąś prawdą. Przy nim ten Max zupełnie wyglądał jak ów kuglarz, mama wie, co to tu kiedyś sztuki pokazywał, *eins, zwey, drey*, nawet rękawy miał tak zatoczone jak on.

Hrabina zaczęła się śmiać mocno.

— Jeszczem tak pięknego mężczyzny nigdy nie widziała w życiu — rzekła naiwnie Lola, przywykła z każdej swój myśli przed matką się tłumaczyć. — Przysięgłabym, że musi być poczciwy i dobry.

— Moja Lolciu, co ty też pleciesz?

— A już ciżby mi się tak nie podobał, gdyby był nic dobrego! — dokończyła śmiejąc się Lola.

— A! ty główko szalona!

— Moja mamciu, ja ci się pewnie modlić nie daję: każ mi mileżać?

— To prawda, ale ja lubię szczebiotanie twoje.

— I ty się tyle modlisz, mamciu, że doprawdy ja się boję, aby już zanadto dusza twoja na tych skrzydłach modlitwy od nas nie odleciała.

— Moje dziecię....

— A co ja jeszcze mamci powiem, oto, że mi się ta biedna pułkownikowa jakoś bardzo nie podobała: wydała mi się jak Max. Wszakże to ja byłam dzieckiem, gdy ją pamiętam takutenką jak teraz, więc ma lat...

— Ale co tam, Lolu.

— Ale nie, policzmy: ma czterdzieści pewnie.

— Ja tam nie wiem.

— Jakto mamcia nie wie? Mamcia wie doskonale, tylko nie chce powiedziec... Taka stara a chce byc mloda; mnie sie zdaje, ze to nieprzyzwoicie, bo na coz jej to? na coz mlodym chciec ich mlodosc zabierac?

— Coz im to szkodzi?

— A jakze, mamciu, szkodzi! Juzciz naprzyklad gdyby sobie byla starsza, toby sie w niej nikt nie kochal, a tak moze sie kto rozmilowac, coby mogl mlodsza, dla siebie stworzona, ukochac.

— Lolciu, co ty pleciesz?

— Ale moja mamciu! ja rachuje!

Hrabina zamknęła książkę, położyła różaniec, nie było sposobu się modlić: przysiadła się do córki.

— Moje dziecko — rzekła smutnie — ja nie lubię gdy ty tak mówisz o tém kochaniu.

— Ale dlaczegoz ja, mamciu droga, nie mam o niem mówic, kiedy myslę?

— A na cóż dziecko myśli?

— Alboż ja wiem, muszę; przychodzi mi to ot, sama nie rozumiem jak, z kwiatka, z powietrza, z listka co leci, z ptaszka co śpiewa. Czasami wstaję ze snu z tą myślą, a przecież anioł stróż stał nademną, modłę się i w modlitwie są słowa....

— Pleciesz, pleciucho droga.

— Alboż to co złego?

— Nie! ale zaprzątnąwszy sobie tém głowę i serce podrażnisz, jak pułkownikowa.

— Ale nie! tak, nigdy!

— Pewnie, z takich trzpiotowatych główek jak twoja, rosną potem biedne kobiecięta jak tamta....

— No, ale cóż to złego, wszędzie a wszędzie jest ta miłość.

— To prawda, jest jej nadto.

— No? a mamcia nie kochała papy?

— I kocham go jeszcze.

— Ale dawniej? to było inaczej?

— Nie, tak samo.

— To bardzo ładnie, ale nie tak jak w książkach i nie tak jak ja myślę.

— Ale książki kłamią, moje dziecko i ty się bałamucisz.

— Jakto? wszystkie książki kłamią?

— O! wszystkie.

— To się na nas zmówiły te niepoczciwe książeczyska— odparła Lola z uśmiechem — to spisek jakiś! Jakże można tak oszukiwać? Alboż nie ma takich pięknych miłości? mnie się zdaje, że być mogą. O! doprawdy, mamciu kochana, mogą, mogą. Ale ja wiem, że ty tak mówisz bojąc się tylko, żebym ja nie zakochała się w kim bardzo a bardzo.

— Lolciu!

— Lolą musi mówić czasem nic do rzeczy, kiedy ją mamcia nauczyła wszystko powiadać co myśli: a! nie trzeba było do tego przyzwyczajać!

I rozśmiały się obie.

— A to ci powiem pocichu — dodała Lola tułac się do matki— że gdyby kto taki ładny jak ten wczorajszy, co mu krew z nosa poszła, bardzo długo był ze mną, gotowabym go pokochać.

— Tak, dla pięknej twarzy, dziecko moje.



— Ale nie! gdyby był równie grzeczny i dobry jak piękny; a ja mamci przysięgam, że z taką twarzą, złym być nie można.

— Pleciesz! Wszakże i w tych książkach o których mówisz, czytałaś nieraz o ślicznych twarzach na czarnych duszach.

— Kiedy one kłamią!—rozśmiała się Lola— a kłamstwo się czuje i szpeci.

Na tę macierzyńską rozmowę wszedł hrabia, który czasem żonę odwiedzał w pewnych dniach godzinach; ale na ten raz nie sam, z bratem Hermanem, bladym, milczącym, przybitym i smutnym, w którego twarz spojrzawszy widać było boleść wielką.

— Cóż ci to jest? chory jesteś?—spytała go troskliwie hrabina.

— Zachcieliście: od wczoraj niedobrze się czuję; wpadłem tu na wasz bal, to mnie jakoś rozbiło: musiałem uciec do Robowa żeby odpocząć trochę, ale i tam nie wydobrzałem, czuję się ciągle źle...

— Powinieneś u nas dłużej pozostać i wypocząć więcej—rzekł hrabia.

— Możeby co stryjowi podać? Herbaty, rumianku, wody z sokiem czy cukrem? z pomarańczowemi kroplami?— spytała Lola.

— Nic, moja panno, nic: ot tak to tu w tej atmosferze spokoju pobędę i lepiej mi się zaraz zrobi.

— A więc zostawiam cię tu — rzekł Rajmund — bardzo przepraszam, że odchodzę, ale my z moim genialnym Malczakiem kujemy ostatnie już kółko wielkiego wynalazku. Zaraz do was powrócę, jestem niespokojny o rozmiar. O! zobaczycie co to będzie za cudo!

Wyszedł pospiesznie, Herman uśmiechnął się z politowaniem.

— Papa to się doprawdy zamęcza — odezwała się Lola — nie można go powstrzymać od pracy, nie wiem na co to jemu: nieraz to się aż rozchoruje.

— Na co to jemu? a cóżby robił, moje dziecko — spytał Herman — my wszyscy coś robić musimy, męczyć się, weselić, kuć kółka, strzępić szarpie, płakać lub śmiać się: kto nie ma co robić, ten sobie jak ojciec wyszukuje zajęcia: matka żyje modlitwą, ojciec machiną.

— A ja to jeszcze nic nie robię — wrzuciła Lola — doprawdy nic a nic; może mi dlatego tak tęskno czasami?

— Jakże nie? a kwiatki? a krosienka?

— Ale co to za robota, kiedy w nią człowiek serca nie kładnie...to sobie tymczasowa zabawka.

Stryj się uśmiechnął, matka westchnęła. Lola stanęła naprzeciw starego, jój biedaczce ten młody chłopak z głowy nie wychodził.

— Uważał wczoraj stryjcio, tego młodego człowieka? — spytała.

— Którego?

— Tego, co zachorował i uciekł.

Herman zarumienił się trochę i skinął tylko głową.

— Prawda, że to twarz piękna i szlachetna — odezwała się Lola — że taka twarz musi...

— Lolciu, pleciesz znowu! — przerwała matka.

— Nie można tego stryjciowi powiedzieć?

— Mów, owszem...

— Mnie się on bardzo podobał! — rzekło dziewczę naiwnie.

Herman spojrział na nią dziwnie i westchnął.

— Żal mi go było? Czy nie wiedzą w Rowie co mu się stało?

— Nie wiem—odparł stryj sucho.

— To szkoda, Żółtowski pewnie wie; muszę się od niego dowiedzieć: tylko że on nigdy nic nie mówi... Jaka to szkoda! jak się uprze.

Szczęściem rozmowę tę, która zaczynała grozić zbyt niemi zwierzeniami, przerwano nagle dając znać, że czas było iść do stołu.

Jeśli kto, to poczciwy stary Paweł Siermięzki, był od niejakiemu czasu mocno niespokojny i strapiony z powodu zmiany w sposobie życia pana, którego przygody podzielać musiał.

Wszystkim w Horycy dobrze z tem było, że się pan z domu oddalał, Lacyna pędził różowe wieczory u nóg panny Petronelli, klucznica Seredowiczowa do godziny dziesiątej spoczywała pod pierzyną, kawę sobie do łóżka rozkazując przynosić, ekonom po całych dniach grał na skrzypcach, Radwanowicz chodził do księ-

dza proboszcza i wstępował po drodze do przyjaciół, którzy sprzedawali różne napoje do których miał słabość.

Trzeba bowiem wiedzieć, że professor wódki nie pijał, że się nią nawet brzydził; uważał ją za zgrozę, za rzecz zbydlęcającą, za właściwość chłopską: ale miód, piwo i wino a nawet likwor słodki miał za trunek szlachetny, uczciwemu człowiekowi nietylko przyzwoity, ale nawet dla zdrowia *et exhilarationis causa*, jak powiadał, potrzebny. W tém teorya jego różniła się radykalnie od systematu potajemnie wyznawanego przez Lacynę, który w czystą tylko wódkę i spirytus wierzył, resztę mając za pomyje, lekarstwa i oszustwo, fabrykacye i trucizny. Nawet w wódce ingrediencyj żadnych nie przypuszczał i znał tylko *aquavitae*, czyli prostą kotłówkę.

Ale to, między nawiasami— w Horycy szło wszystko jak po maśle. Paweł jednak, który namiętnie pół dnia tarł tabakę, i wiązał niewody, jeśli się z panem nie klócił, w drodze, na obczyźnie pozbawiony był tych rekreacyj; męczył się stary ruchem i pracą i gderał na wy-

jazd z domu. Prosił go usilnie Herman ażeby w Horycy pozostał, ale z tego mało do kłótni nie przyszło, bo opuścić pana, było to abdykować, a Paweł należał do tych, którzy chcą dotrwać do końca na stanowisku.

— A czy to ja już tak panu dojadłem czy co? — zawołał Paweł — toć ja pana jeszcze wyniańczył, a chcesz żebym na starość dał komu innemu koło ciebie chodzić!

O! tak! włóczysz się ty, to i ja się będę włóczył! Po co? tego ja nie wiem; ale ciebie nie porzucę.

I powlókł się Paweł znowu do Zarubiniec, gdy hrabiemu przyszła fantazyja ruszyć z domu, a gorzkie przez całą drogę robiąc wymówki, z placu nie ustąpił.

Na tym sławnym noclegu w Robowie, ile nagdérał; wypowiedzieć trudno: pan milczał i znosił.

Teraz Paweł z tabakierką w ręku, osmutniały stał we drzwiach domu, i myślał o tabace, którą znowu mu jaki zły człowiek mógł ukraść. On tak tarł tabakę jak hrabia Rajmund robił maszyny. Najprzód szło mu dosyć nieszczęśli-

wie, powtóre sam choć miłośnik jój, zażywać musiał cudzą, bo do swojego nosa zastosować jój nie umiał, a to odejmowało reputacyą.

Dochodził on od lat dwudziestu urządzania tabaki na sposób owój sławnej Pińskiej; utrzymywał nawet, że gdy się na niej ludzie poznają, dorobi się majątku: ale mu nie szło i nie szło. Winien był skład okoliczności zawsze: to liść za zielony, to za stary, to naczynie, to popiół, to deszcz, to pogoda, a tabaki zażywać nie było można. Schła ona i marniała, nikt zużytkować jój nie miał odwagi: raz za słaba, to za mocna, zbyt przesolona lub przefarbowana, miała wady których się pozbyć nie było podobna. Czasem Paweł dla miłości Bożej robił z niej jałmużnę żebrakom, których nosy wprawiały w podejrzenie, że zażywaćby ją mogli; ale i ci, jak twierdził Lacyna, za bramą jój skosztowawszy, wysypywali na śmieci. Dość było pochwalić jego tabakę, by zostać Pawła przyjacielem; dość ją zganić, by sobie w jego oczach szkodzić i być nawet podejrzanym o niedobry charakter. Znający już tę słabość, kosztem opuchnienia nosa przekupywali go sobie.

Ale dziś sięgnięcie do tabakierki i prośba o funt tabaki nie byłyby nawet ujęły Pawła, który był zajęty w duchu łajaniem swojego pana.

— Bo czemu by to nie siedziało u siebie, w ciepłym kącie? Na starość mu się włóczyć zachciało? A! już nie ma nic gorszego, jak gdy w starym piecu djabeł pali.

Nieszczęściem nie było nawet przed kim wylać się z żalami: dopiero wieczór tego dnia zetknęli się z Malczakiem. Malczak już miał na sobie watowany kaftanik i obcięte buty, był jak w domu: wyszedł na próg gdy się zciemniło.

— Dobry wieczór.

— Dobry wieczór.

— Co to Wpanu panie Pawle? jakoś nie swój?

— At! bo zły jestem.

— No! na kogoż?

— A na pana!

— E! to prosta rzecz! Jam na swojego ciągle zły, a milczę!

— Et! bo z niemi i djabeł nie wytrzyma!



— No! ja tam na mojegobym się tak nie skarżył, ale mu dopiero teraz, gdy się zestarzał, siły stracił, gdy ledwie się włóczy, przychodzą jakieś niebywałe fantazy! Wystarczyć mu nie mogę! Jem się z nim, jem...

— A no! toć i ja tak! tylko że mój to w końcu mi musi ustąpić; jak się uprę, jak cały dzień nie będę gadał, albo zacznę tylko mruczyć pod nosem, to w końcu musi zrobić co ja zechcę.

— No! ja tak nie umiem... Ale, prawdę powiedziawszy, to taki człowiek, że z nim sobie nie dać rady nikomu; całe życie twardy był jak kamień: ani ugryźć! Tak i kochankę stracił, i żonę i bodaj... syna.

— Cóż? taki zły?

— Ale nie! gdzie zaś! poczciwy z kośćcami, dobry, ale bestya taki uparty, że jak sobie co postanowi...

— E! bo wy jemu ustępujecie.

— A no! toć muszę, kiedy on mi nie chce...

— Nie umiecie się wziąć do tego... Spójrzcie-no tylko: wy wyglądacie jakbyście robili co chcieli, ja jakobym kąty wycierał; a jak zechcę, to zawsze na swoim postawię.

— Niechbym ja ci dał swoje miejsce, ino na miesiąc — rzekł Paweł wzdychając — a żebyś ty go tak kochał jak ja.

— A ba! a po cóż go kochacie?

— A wy?

— E! ja swego niecierpię, i dlatego nim trzęsę — rzekł pocichu mrugając twarzą skrzywioną Malczak.

Popatrzyli w milczeniu na siebie.

— Już na to rady nie ma! — westchnął Paweł.

— To go porzucić.

— A co ja będę bez niego robił? On mi dawno daje chleb łaskawy, ale ja tego nie chcę: jam go od pieluch wyniańczył.

Gdy tak rozmawiają, zbliżył się ku nim właśnie ten o którym była mowa; Paweł tracił Malczaka, Malczak syknął na Pawła: zamilkli.

Herman szedł bardzo powoli, z dziwnym na twarzy wyrazem. Paweł który tylko co na niego gdérał, został nim zdziwiony: nagle jakaś zmiana wypiętnowała się na tem zwykle silną wolą i energią nacechowanem obliczu... Bła- dość żółta powlokła miejscami rysy, które

plamami gdzieindziej rumieniec gorączkowy zapalał. Szedł z usty zaciętymi jak gdyby cierpiał mocno. Paweł, który go znał od dzieciństwa a nigdy takim nie widział, zdjęty litością, zapomniawszy już o urazie jaką miał, pospieszył suwając nogami, które mu nie służyły i zbliżył się ku niemu.

Malczak obyczajem swoim udał że odchodzi, ale przystanął za drzwiami, aby rozmowy posłuchać.

— O! o! już ja widzę, że panu coś jest! — zawołał Paweł: — ot nie mówiłem? a po co było jeździć? a ziębić się, a gryźć, jakby to jegomość był tak młody, albo taki zdrów, że masz zdrowia na szafunek. — Przysięgam że chory! i tu jeszcze, nie w domu! A jak ja tu jegomości dam rady: u siebie to ja pan, a tu...

— Cicho, cicho, Pawle: istotnie czuję się nie bardzo dobrze.

— A co? nie mówiłem? Mnie kłuło i gadało, że my tu jeszcze zachorować gotowi! Pawle, nie puszczaj go, bo ci biedy narobi na śród drogi! a co! nie tak?

— Cicho! cicho, to przejdzie; ale mi bardzo niedobrze! <http://rcin.org.pl>

— Ot i bięda którą przeczuwałem! Wiedziałem że tak będzie! Ot tobie robotę! — wołał Paweł łamiąc ręce — a gdzie tu nawet pocziwego rumianku dostać, i tego do czego jegomość przywykł? Gdybym ja nie pamiętał o wszystkim i nie wziął z sobą apteczki...

— Mnie nic nie trzeba, tylko spokojności, odpoczynku — rzekł Herman ciągle twarzą okazując boleść, która go trawiła — chodźmy do mojego pokoju, zawołasz mi Żółtowskiego... Nic nie mów innym; jeśli się już kto będzie pytał, powiedz że to mała rzecz.

Mieszkanie Hermana było na dole, a choć Pawełek i ognia na kominie wcześniej był przygotował, wiedząc jak go pan lubi, i łóżko był usłał tak, że w głowy było wysoko, i woda z cukrem przez niego przyrządzona stała na stole; choć pokój zdawał się wygodny, Herman wszedłszy poczuł jakieś dreszcze, w zatęchłym powietrzu pałacowém.

Okryto mu nogi, siadł w krześle i z oczyma w ogień wlepionemi pozostał tak nieruchomy; rumieńce coraz ustępowały bladości, wewnętrzne znać jakieś męczyły go bóle, bo kilka

razy syknął. Paweł w rozpaczy, bezprzytomny prawie, pobiegł do dworku Żółtowskiego, w drodze nie rozpoznając drzew od ludzi, bo dwa razy do kasztana zagadał.

— A! panie mój miły — zawołał wpadając do izdebki — panu mojemu się coś stało, chory: jakieście łaskawi ślijcie po doktora, okrutny strach mnie przejmuje. Mówiłem mu, żeby się nie włóczył, ale stary uparty pojechał po biędę i ma. Nie wiem co mu takiego, ale chory, mocno chory; kiedy zatnie zęby a pobladnie i trzęsę się, ja wiem że źle...

Żółtowski porwał się zaraz i pobiegł za Pawłem. Przyszedszy znaleźli Hermana jak go Siermiężki porzucił w krześle, ale mowę miał zmienioną i zdawał się walczyć siłą woli z owładającą nim coraz gwałtowniej chorobą.

Skinął na Pawła, żeby odszedł i pochwycił za rękę Żółtowskiego.

— Proszę cię — rzekł z cicha — dowiedz mi się, co się tam z nim dzieje.

— Chory pan jesteś?

— Trochę, ale dowiedz mi się o niego. — Miał Martynko go szukać... Niechaj mu powie-

dzą żem chory i bardzo chory: może go to skłoni...

Nie dokończył dając tylko znak Żółtowskiemu, który go dobrze zrozumiał.

— Poślę po doktora...

— Niepotrzeba, to nic; przejdzie: dowiedz się tylko o co cię proszę.

I wyciągnął się pogrążając w krzesło, ręką wskazał drzwi Żółtowskiemu z prośbą o pośpiech.

Paweł się tymczasem krzątał niespokojny, popłakiwał a łajał pana, to bolejąc nad nim, to przeklinając upór jego...

We dworze z przysposabianych leków zaraz wszyscy dowiedzieli się o słabości, i gdy się wieść o niej rozeszła, brat i bratowa pospieszyli do drzwi Hermana.

Rajmund bardzo był nie rad temu, jak każdej rzeczy co go ze zwykłego stanu wyprawadzała; bratowa z poczciwem swém sercem, szczerze chciała przynieść mu ulgę: ale ich wszystkich odprawił Herman, uśmiechając się dziwnie i zbywając potrzebą odpoczynku. Zostali więc sam na sam z Pawłem, który mruczał...

Hrabia wpatrzywszy się w ogień, po swemu milczał uparcie.

Żółtowski nie tracąc czasu, pojechał zaraz do Robowa, ale tam nie znalazł Martynka, który był właśnie w pasiece, dokąd potrzebne przybory, po odbyciu paroxyzmu febry, znosił z troskliwością przyjaciela, chcąc biedną chatę uczynić wygodniejszą. W pół godziny dopiero spędzonej na rozmowie z Ottonem, rozpytującym o starego kolegę, przybiegł Martynko zmęczony chorobą i chodzeniem, osłabiony i zbolący.

— A cóż tam?

— Nic: trochę chory.

— Więc go szukać nie możesz?

Martynko milcząc ruszył ramionami; tu mu ciężko było kłamać.

— To nieszczęście, a tu się nam stary rozchorował na biędę, i niczém mu leki, bo to o syna chodzi... A gdzie my go wyszukamy!

Martynko spuścił oczy, i choć dwa razy był już w pasiece dnia tego; poczuł że przyjdzie mu się wlec raz trzeci:

— Czyż tak chory? — zapytał cicho.

— On, jak wiem, lada dlaczego się nie położy, nie stęknie z pieśczoł: musi być źle koło niego... Wszystko to ze wzruszenia, z niepokoju... Nie będziemy mieli czém go uspokoić.

— Powiedzcie mu — przerwał Otto — że Martynko już ruszył w pogoń, ale jeszcze nie powrócił; choć kłamstwem pobożném dacie mu przynajmniej nadzieję. Dodaj, że skoro wieści jakiej dostaniemy, ja mu sam przyjdę ją oznajmić.

Z tém Żółtowski w próżni musiał powrócić do Zarubiniec, gdzie nań oczekiwano. Herman jak z wieczora siedział w krześle nie myśląc się kłaść, czekał; ale na twarzy jego znać było postęp choroby: chwilami, co mu się nigdy nie trafiało, gadał sam do siebie, i jak się Pawłowi zdawało, niezupełnie przytomnie.

Na każde takie odezwanie się, Paweł chrząkał z kąta aby mu przerwać i nie dopuścić bredzić, co mu się potężném na gorączkę zdawało lekarstwem.

Gdy wszedł Żółtowski, hrabia oprzytomniał zaraz.

— A cóż? — zapytał.



— Jeszcze nic: Martynko nie powrócił.

— Nie! więc zginie! — mruknął stary — zginie! — i spuścił głowę.

— Ale nie — odparł skłopotany Żółtowski — nie może on nam uciec, szukamy go wszyscy: bądź pan spokojny.

— Ja jestem spokojny — odparł hrabia podnosząc głowę — wiem co mnie czeka. Przez lat tyle oswoiłem się z moim bólem; stwardniałem na wszystko; wypadek ten mną zachwiał, wzruszył, zniepokoił daremnie... Potrzeba wrócić do pierwszej obojętności i powrócę.

Żółtowski zmilczał, Paweł zbliżył się ku niemu ostrożnie, i udając, że mimo przechodzi dla wzięcia szklanki ze stołu, wskazując palcem hrabiego, szepnął mu w ucho:

— Już bredził!

— Co ty tam szepczesz, Pawle?

— Nic: pytałem się o wanienkę na nogi, jakby czasem na wypadek była potrzebna. Żółtowski popatrzył na obu.

— Posłałem po doktora, bądź spokojny — rzekł do Pawła, a hrabiego zapytał:

— Każe mi pan tu trochę zostać z sobą?

— O! nie, nie! wiesz że do ludzi nie przywykłem, prócz tych kilku co mi tam w domu służą, samotnik jestem... Idź spać.

— Wszystko to minie, gdyby jednak co nadeszło—dodał—nie tracąc czasu dawaj mi znać natychmiast:

Żółtowski wycofywał się powoli, ale mu na myśl przyszło, że lepiej doktora zwiastować.

— Do nas tu co tydzień przyjeżdżają doktor Szemere, Węgier, stary poczciwy włóczęga; gdyby przypadkiem przybył do naszych chorych? możeby?

— Ale dajże mi pokój z doktorem! czy to który z nich leczy? Ty wierzysz jeszcze w doktorów, Żółtowski?—zawołał śmiejąc się.—Doktor każdy najlepszy jest dla siebie, zresztą na złamaną nogę lub nabitego guza; ale na to co we mnie siedzi i boli, taki głupi jak i ja; tyle będzie wiedział co ja lub mniej jeszcze; tylko mnie znudzi w dodatku.

— O! Szemere nasz nie nudny wcale—odparł Żółtowski—przeciwnie aż nadto zabawny.

— Tem gorzej, niecierpię zabawnych: dajcie mi z nim pokój.

Żółtowski pokiwał głową i odszedł.

Prawdą a Bogiem, Szemere już był w domu, chodziło o to tylko jak go wprowadzić: nie wątpiono bowiem, że sobie z hrabią da radę, byle raz wszedł i usiadł.

Był to dziwnego rodzaju człowiek, już średniego wieku, z rodziców Węgrów u nas zrodzony; bardzo przywiązany do kraju, a stworzony na doktora. Pan Bóg obdarzył go niezmiernie brzydką, ospowatą fizyognomią, czarną i tak jakoś ulepioną, że na niej jak na ciemnym papierze wyblakłego atramentu, żadnego wrażenia wyczytać nie było można. Oczki małe, nosek mały, usta niewyraźne, twarz miał dosyć otyłą i rozlaną; trochę włosów mało co od lica ogorzałego ciemniejszych kręciło się po łysinie, zresztą postawa pospolita była: ramiona szerokie, kształty zaokrąglone, ręce tłuste, nogi krótkie, przytem ubranie niepozorne, nie odznaczały wcale doktora Szemere. Ale gdzie się pokazał wyróżniał się w największym tłumie, bo jaśniał poczciwym wyrazem twarzy i wesołością, której zapas niewyczerpany z sobą nosił. Żartowano z niego,

żartował on z drugich, a każdy mógł być pewien przystępując do niego, że się przy nim rozchmurzy. Wesołość ta nie była udaną wcale, pochodziła z temperamentu, z usposobienia, ze spokoju duszy. W wielkich razach chwilę popłakał, zakrywając się chustką, w kącie; ale zaraz potem przybierał swą obowiązkową pierwszą wesołość i szedł tak dalej drogą życia, ciesząc, ratując, i służąc jak mógł wszystkim.

Szemere nie był żonaty i nie myślał się wcale żenić, szydząc pierwszy ze swęj twarzy, która się nikomu podobać nie mogła. Pomimo ogromnej klientelli nie był bogaty, bo i nie wymagał wiele i rozdawał dużo. Życie mu szło jak je sobie urządził: cicho, jednostajnie, skromnie. Wszędzie lubiony i chwytny, gość rzadki w domu własnym, nie dbał o swój ką i czas spędzał na wózku i w gościnie, a tak mu wszędzie było dobrze, że zasiedziawszy się byle gdzie, już prawie wybrać się nie umiał, póki go nie wyciągniono.

Jako lekarz choć wielkiej nauki, nie bardzo jej dowierzał; pilnował, radził, ale więcej w siłę

ducha, w proste leki i środki, w naturę, niż w wymyślne specyfiki ufał.

Łagodny, leczył raczej słowem niż lekarstwem. Kochano go też wszędzie od chat do pałaców, a choć nie był to człowiek bardzo wielkiego tonu i ogłady, wszędzie serce jego robiło mu miejsce pocziwe. Nie parł się zbyt wysoko, ale zepchnąć się też nie dał zbyt nisko.

Rodzaj filozofa, zawsze uśmiechnięty, wesół, prosty i szczery, duchem tak stał wysoko, że nikt go poniżyć nie mógł.

Szemere, inaczej panem Józefem zwany, bo go pod tym imieniem lepiej znano w okolicy, od godziny już był u hrabiniej, szukano tylko sposobu wprowadzenia go do Hermana.

— Ale to najprostsza rzecz w świecie — rzekł wreszcie sam doktor — ja jestem Eskulap z professyi głodny na chorych, natrętny, mogę nie wychodząc z mojego charakteru i z charakteru stanu mego, wpaść obcesem na hrabiego, aby zobaczyć co mu jest. Złóżcie to na mnie: pognięwa się, to go rozśmieszę. Przytém zdaje mi się, że i my znać się musimy, bośmy do jednych szkół chodzili, a choć to

stare dzieje, ale Otto, on, ja, na jednej ławie siedzieliśmy i nazywali mnie, pamiętam, z powodu pięknej mojej twarzy, dziadkiem z piernika. Nie bójcie się państwo, byle mnie kto tam wprowadził, resztę biorę na moje barki.

Posłano po Żółtowskiego, który wszedł zaraz do pokoju hrabiniej, gdzie się narady odbywały.

— Mój Żółtosiu, jak to tam doktora wprowadzić?

— A! nie wiem: innego tam doktora potrzeba.

— Jaki z ciebie, mój Żółtowski, stary tchórz: ot ja ci powiem jak to zrobić... Idź mu powiedz: przyjechał doktor Szemere, nudziarz okrutny, który praktykuje gorączkowo w swojej sztuce; dowiedział się o chorym i bez pozwolenia prze się tu gwałtem: gotów drzwi wyłamać... Dodaj, że to może przez chciwość, czy co tam chcesz, ogadać możesz; pozwalam: resztę ja biorę na siebie.

Żółtowski wyszedł zakłopotany i po chwili powrócił.

— A co? <http://rcin.org.pl>

— Kiwa głową i niecierpliwi się.

— Nie nie mówi?

— Nic.

— A no! *qui tacet...*

I zabrał się żywo całując rękę hrabinę, pośpieszając z Żółtowskim.

U drzwi hrabiego poprawił trochę włosów, obciągnął kamizelkę i wszedł na palcach za Żółtowskim, który go o kilka kroków uprzedził.

Herman jeszcze siedział w krześle naprzeciw komina.

— Otóż doktor gwałtem się uparł — rzekł Żółtowski nieśmiało. — Hrabia się podniósł.

— Ale do czego mi to?

— Do nóg upadam — odezwał się wsuwając pan Józef — sługa, służeczka... Dowiedziawszy się o chorym, darujesz hrabio, musiałem spełnić obowiązek. Przysięgamy na to, że leczyć będziemy i *volens nolens* musisz uleść fakultetowi. Ale najprzód, mam honor przypomnieć mu dziadka piernikowego, którym jestem. Ha? nie pamiętasz hrabio, na jednej siedzieliśmy ławie: tylko ja na brzeżku.

— A! Józef Szemere! — zawołał Herman podnosząc nieco głowę—pamiętam: ale po cóżes przyszedł mnie nudzić?

— Bo to mój obowiązek: doktor nie może być zabawny; toby nawet szkodziło jego lekarstwowom: skutek ich na znudzonym daleko silniejszy.

Hrabia rzucił głowę z niecierpliwością, ale już Szemere ujął go silnie za rękę i puls się dobadywał.

Puls był gorączkowy i niespokojny: puścił rękę.

— Jak pan jesteś zwykle? co cierpisz? jakie masz zdrowie?

— Dobre: daj mi pokój...

Szemere patrzył pilno.

— Ej! *plica*—rzekł — podagra, żółc: komplikacyi do licha.... Coś uspokajającego.... Co tam pan zwykle bierzesz?

— Nic: morzę się głodem, leczę dyetą.

— Czasem, wyborna rzecz, ale w późnym wieku... Tylko że to my nie starzy? Ej! hrabio, pamiętasz, jakeście mi to śpiącemu twarz kredą popisali w różne figle, utrzymując potem,



że omyłką wzięliście mnie za czarną tablicę. Patrzcie - no, i od tego nie wybielałem; tylko mi się na starość skóra pomarszczyła gorzej.

A po chwili dodał:

— Nie napiłbyś się co chłodzącego?

— Nie, nie; nic: tylko spokoju! — odpowiedział hrabia.

— A rozmowa?

— Nie mogę mówić: niecierpliwi mnie.

— A jutro pozwolisz się odwiedzić?

Herman kiwnął głową, Szemere wysunął się pocichu ruszając ramionami.

— Co to jest? — spytał go Żółtowski.

— Co jest, przyznam ci się, dobrze nie wiem — odpowiedział doktor — ale nic pociesającego: gorączka silna, zgryzł się czy zgniewał?

— Sądzę że oboje razem.

— Dla starego to źle: często taka rzecz ubija. A co to tam takiego? nie możnaby znać powodu?

Żółtowski zamilkł jak kamień; Szemere popatrzał i nie pytał.

Noc przeszła dosyć spokojnie, ale w pokoju chorego nie zaszła żadna zmiana; mimo nalegań

Pawła nie chciał się położyć i pozostał w fotelu. Dokładano drewek do ognia, a stary biedny Siermiężki drzemiąc pilnował pana, nie chcąc się dać wyręczyć, mimo jego nalegań.

Siadł w kącie na stołeczku z tabakierką, zwiesił głowę na piersi, a że go sen morzył, to usypiał głęboko i chrapaniem się zdradzał, to nagle przebudzał się i trzeźwił tabaką, mrużąc, rozcierając, otrząsając aby utrzymać się przytomnym.

Było coś strasznego w tej postaci starca nieruchomej, wyprostowanej, siedzącej w krześle z okiem w ogień wlepionem, czuwającej i wstrząsającej się na każdy ruch i szelest, oczekującej i obawiającej się czegoś, na której czole troska głębokie ryła skiby.

Obok ten chudy, małeńki, siedzący w kątku staruszek, niespokojny, ze łzą w oku, czatujący na skinienie, którego błyski ognia wyprowadzały z cieniów, a po chwili znowu ogarniała ciemność, dopełniał dziwnie obrazu. Cała tak noc minęła w milczeniu, a dla hrabiego w bezsenności; nic do ust nie wziął, o nic nie prosił, tylko gdy ogień dogasał, Paweł dorzucił

głównie, zbliżając się na palcach, próbował związać rozmowę i znowu cisza następowała, a wśród niej wyrywały się kilka słów bez związku z ust Hermana i rozbudzały Pawła, który wzdychał i chrząkał.

— Życia już nie przerobić! jest wina, ale dlaczegóż za nią dziecię ma pokutować? Niechby on był ocalony, tylko on; niechby powrócił. Ale darmo i to darmo, spełni się wszystko: on nie powróci...

---

Gdy się to dzieje w Zarubińcach, Martynko dowiedziawszy się o chorobie hrabiego, choć sam zmęczony febrą, po raz trzeci wybrał się do pasieki.

Znalazł znowu Janka przed chatą na przyzbie, bo w izbie duszno mu zawsze było, oddychającego wieczornem powietrzem w towarzystwie dwóch psów pasiecznika, które już był sobie przyswoił, z oczyma w niebie, duszą w dumaniach.

— A! to ty? poczciwy przyjacielu: cóż cię tu znowu przygnało? czy jakie niebezpieczeństwo? po co się włóczysz chory?

— Paroxyzm już minął.

— Masz co nowego?

— Nie dobrze: ojciec twój nagle prawie zachorzał mocno...

Janko zamilkł spuszczać głowę.

— Ja nie mam ojca—rzekł smutnie—ja nie mam ojca; ojciec mój zwie się niewolą i upokorzeniem: jam sierota.

— Słówko tylko — rzekł poczciwy Martynko zbliżając się i biorąc go za rękę, a patrząc mu w oczy.

— Ty nie masz ojca, ale on jeszcze ma syna; on cierpi, on boleje, on chory, on umrzeć może: a ty mówisz, że nie masz ojca?

— Któż ci powiedział, że on jest moim ojcem? Węzły między nami zerwane, ja chcę być swobodnym, jam już przywykł do tego i za nic nie zmienię życia. Czémże mi zapłacicie niewolę?—imieniem, którego nie potrzebuję... jestem Janko Zbój; bogactwem? którego nie chcę, bo mi dosyć czarnego chleba i szarej sukni, a pieszczot ojca i matki mi nie dacie. Dość tego!

— No, to dość!— rzekł Martynko powoli—  
dość na dziś, ale zważ Janku, że to co człowiek  
czyni dla siebie, nie nakarmi jego duszy. Czło-  
wiek jest dla ludzi: lżejby ci było, gdybyś co  
uczynił dla starca: masz obowiązki....

Janko się porwał.

— Jakie obowiązki? — zawołał — nie rozu-  
miem cię! Życie? to ciężar, który mi dał do  
dźwigania; a dalej męki, upokorzenia, niewola:  
za cóż mu mam być wdzięczny?

— Za miłość jego ku tobie — odparł Mar-  
tynko. — Ja jestem proste i niepojętne stworze-  
nie, ale ja to inaczej jakoś widzę. Tyś rozu-  
mniejszy odemnie, ale możesz i mnie posłu-  
chać: niech powiem co myślę.

— Miłość może być różna: on kochał mnie  
dla siebie.

— Mylisz się, on ci chciał dać szczęście jak  
je sam pojmował, to, w którym widział zbawie-  
nie; tyś nowicyatu tego szczęścia wytrzymać  
nie mógł: czyja wina? Jednak wyznaj, z rę-  
ką na piersi, nie jemu winienesz żeś silny, że  
umiesz nędzę znosić i nie boisz się tego, czego  
unikając drugiby się upodlił?

Janko zamilkł.

— — Czyń jak ci się podoba — zawołał Martynko — ja muszę mówić co myślę. Dać skonać starcowi dlatego, by sobie uchować to co zowiesz swobodą; cóż to jest, jeżeli nie najszałeńszy egoizm, uświęcony dziką miłością niezależności, a w rzeczy dumą tylko jakąś i rozpustą fantazyi. Ja cię kocham, Janku, ale nie rozumiem.

— Zrozumiesz mnie lepiej może, gdy ci się wytłumaczę — odparł chłopak wstając. — Ja, nie od ojca uciekam; może zdobyłbym się na ofiarę dla niego, wymógłbym na sobie poświęcenie: ja uchodzę od tego świata, z którym on mnie zwiąże i okuje. Znasz ty ten świat? nie, boś dziecko pocziwego dworku, gdzie jeszcze panuje prostota, na którego straży stoi człowiek z wielkiem sercem, z wielką duszą; ale nie masz nawet przecucia tego, co czeka ludzi noszących więzy tytułu, majątku, imienia i stosunków. Jam dzikie stworzenie, ale mam instynkt zachowawczy, który mi powiada, co mnie tam czeka. Dziś ja śmiało wyznaję moją wiarę i przekonanie, mówię co myślę, robię jak czuję i nie oglądam się na nic; wdziwając

tylko suknią ich, jużbym włożył obyczaj. Tam nic powiedzieć nie wolno: prawda zowie się nieobyczajnością, popieranie swojego zdania brakiem wychowania; zwyczaj zmusza cię do podłości, stosunki do podawania ręki temu, kogo nie szanujesz: tam sto razy na dzień kłamać musisz twarzą, usty, czynem, mową, humorem; tam całe życie jest szeregiem kłamstw jednym. Na to oburza się moja natura, wzdryga serce: chcę pozostać sierotą, ubogim, ale swobodnym i sobą. Nie innéj ja żądam swobody: módz zawsze powiedzieć prawdę i postąpić jak ona każe.

— Dlaczegożbyś tam właśnie o nią walczyć nie mógł i wyznawać jej nie miał?

— Bom może za słaby i czuję to — rzekł Janko — boby mnie powoli spętały więzy złote, ułagodziły uśmiechy, zewstydziła obyczajność ich gładka i blada; boby m zrazu burzył się, potem ostygł i cierpiał, nareszcie stracił wiarę we wszystko i spytał: — Co jest prawda? nie wiedząc już czém ona jest...

Chcę być człowiekiem...

— Czemuż tam wśród nich nim być nie masz?

— Mówię ci żem słaby.

— Ty?—uśmiechnął się Martynko—ty?

— Tak, ja... jak my wszyscy: całą siłą człowieka jest nie pić, gdy napój go odurza, nie walczyć z tem, co go ma obalić. Wszyscyśmy tacy: najsilniejszy charakter rzuć w ten odmęt fałszu, a ufarbujesz go na czarno jak w kotle farbiarza; najczystsza cnotę daj w zapasy z maluczkiemi podłostkami ich, a zjedzą ją jak mole nieznacznie.

Martynko mu przerwał:

— Takby było może — rzekł — gdybyś nie wiedział, że tak być musi; ale mi się zda, że kto wie co mu zagraża, potrafi zawsze niebezpieczeństwa uniknąć: walka dałaby ci siły.

— Na chwilę; ale wszystko się wyczerpuje....

— Zresztą, i o tym świecie ty masz, zdaje mi się, fałszywe wyobrażenie; ja go znam z tego tylko co Otto o nim mówi, co słyszałem, ale lepiej o nim trzymam. Nie maszże tam ani charakterów, ani ludzi, ani wielkich umysłów, ani serc uczucia pełnych??



— A! są może, może były—rzekł Janko— ja nie wiem; ale w tych warunkach w jakich żyć muszą, to męczarnie, to w końcu zmalenie, osłupienie, milczenie, bezwładność:— śmierć. Chodzą oni po tym świecie pokazywani palcami, wyszydzani pocichu, omijani zdaleka, nie mając do kogo przemówić słowa, widma i upiory. Ale ja młody, ja potrzebuję życia, powietrza, swobody, natury; ja chcę żyć: ja mam prawo.

Martynko się uśmiechnął patrząc z dziwem i tęsknotą na Janka.

— Masz prawo! Każdy z nas—rzekł—ma jedno tylko prawo, z którym się urodził: prawo żyć i cierpieć!

— Dlaczego cierpieć?  
— Bo szczęście nie byłoby życiem, jak mówi Otto—dodał Martynko, jak zawsze opierając się na słowach mistrza — bo szczęście to widzenie niebios przeniesione na ziemię, roślina z cieplejszej strefy, która tu u nas choć się przyjmuje, nie kwitnie...

— O! o! jużes stary!—odparł Janko klepiąc go po ramieniu — stary! stary! a ja jestem

młody i chcę nim być, pozostać tak długo jak tylko można.

Zamilkli oba. Martynko silił się biedny, mimo osłabienia, na argumenta i przekonywania, ale już tracił nadzieję; nareszcie dodał po chwili:

— Tak! uczynisz—rzekł—co zechcesz, ale gdyby starzec wołając ciebie umarł, umierając przeklął; nie chodziłoby za tobą jak widmo przekleństwo ojca? nie ciężyłoby ci całe życie? Cóż broni ci potem zerwać ze światem, a pójść pustynią i żywot swobodny? Któż ci zabroni być sobą?

— Ha! może ja sam—rzekł Janko smutnie. Ale te słowa wymówił złamany i padł na przyzbę podpierając głowę rękami. Włosy jego długie opadły mu strumieniem na barki, łzy zakręciły się w oczach. Zakrył twarz, na której widać było niepewność i cierpienie.

Martynko jeszcze chciał mówić, ale go już Zbój nie słuchał; poszedł myślą daleko.

Czuł przybyły, że nalegając dłużej nic nie dokaże, i przebywszy chwilę jeszcze z przyjacielem, opuścił go wlokąc się nazad do Robowa

złamany i chory. Tu przybywszy położyć się musiał, tak go reszta sił opuściła, a myśl jedna ciągle kołowała mu po głowie.

— Co tu począć? jak tamtego starca pocieszyć? jak Janka nie zdradzając, ocalić?

Długo w noc mówił z Ottonem, naradzali się, spierali, a nazajutrz rano Marzycki poszedł do Żółtowskiego. Staruszek siedział u siebie i papiery jakieś przeglądał.

— Jak się ma Herman?

— Bardzo źle!

— Jest niebezpieczeństwo?

— Nie wiem: doktor nadrabia wesołością, ale w rzeczy zafrasowany, nie wie co począć; hrabia Rajmund rozpacza myśląc wczesnie o kłopotcie jaki mu zrobi Herman, jeśli nagle zamrze i dom zamąci.

— Zawsze egoista.

— Szemere powiada, że choroba tu rzeczą dodatkową, która przyszła z tego, że duch nie panuje ciału, równowagi utrzymać nie może. Jego zabija myśl o straconém dziecięciu.

— Chciałby je odzyskać, aby męczyć znowu?...

— Ale bo....

Żółtowski ukąsił się w język?

— Co to mówicie o tém czego nie znacie: w gruncie dusza poczciwa, ale dziecko kochał po swojemu.

— Wada wszystkich miłości, prócz kobiecój... No! ale gdyby syna odzyskał, jak myślicie, coby robił?—spytał Otto.

— Najprzód, niechybnieby ozdrowiał!—odparł Żółtowski patrząc mu w oczy i bojąc się zanadto powiedzieć.

Marzycki zamyślony począł chodzić po pokoju.

— Zaprowadźno mnie do niego.

— Nikogo nie przyjmuje.

— Ale mnie przyjmie.

Żółtowski zawahał się, ale poszli razem.

W pałacu cicho było zawsze — teraz jak w grobie: u drzwi stał tylko Malczak w pantoflach, lecz skrył się zaraz gdy przychodzących zobaczył.

W przedpokoju Hermana siedział Paweł i gderał pod nosem, ale popłakiwał razem, a chustką kraciastą ocierając łzy i tabakę ra-

zem, dziwnie sobie twarz popisał. Widząc przybywających wstał powoli i piersią chciał bronić przystępu do pana.

— Nie można — rzekł.

— No! no! puść nas — odpowiedział usuwając go Żółtowski.

— Nie! — zawołał Paweł cicho, ale bardzo stanowczo.

— Cóż? spi?

— Nie.

— No, to lepiej mu będzie, gdy go rozerwiem.

— Nie, on się tak wysumuje, wytrawi, i jak to nie pomoże, to nic. Ja jego znam od dziecka: bywało jak mu co niedopisze, to się zamknie na cztery dni, nie je, nie pije, nie gada do ludzi, nie wstaje z krzesła; potem raptem otworzy drzwi i wyjdzie rzeźwy, jakby nic. Jemu się trzeba dać przetrawić.

— Ale może my mu skuteczniejsze od tego i prędse niesiemy lekarstwo — rzekł Otto — mój stary. Tak to się przebolewa w młodości, ale nam! o! nie! za każdą bitwą taką traci się

część siły co zwycięża, potem już nie ma sposobu: jeśli nie puścisz, będziesz żałował, stary.

Paweł napół przekonany, zawahał się.

— Wejdźmy—rzekł Otto—bądź spokojny, gwałtu mu nie zrobimy.

— A no... to uważajcież sami—odpowiedział Paweł kręcąc tabakierkę, i powoli posuwając się ku drzwiom, które uchylił ostrożnie.

— Dziej się wola Boża; ale mu się nie sprzeciwiajcie.

Hrabia wciąż siedział tak w krześle jak go porzucili, oczy wlepione w komin i ogień, który dlań był jakąś rozrywką, i działał nań jakoś magnetycznie. Nie zwrócił się ku nim, gdy weszli; twarz jego nagle wychudła, żółta, oczy wpadłe, nic dobrego nie wróżyły: samo głębokie zamyślenie zwiastowało, że boleść go opanowała.

Otto podał mu rękę nie chcąc widzieć cierpienia.

— Co ci to, kochany Hermanie?

— Nic: teraz już nie.

— Powinienbyś się dźwignąć, zmusić, to czasem pomaga; trzeba gwałt sobie zadać: ja znam takie upadki ducha.

Hrabia się uśmiechnął, odwrócił i ruszył ramionami.

— Ty tego nie znasz—rzekł—bom i ja tego nie znał, co mnie teraz napadło. Człowiek całe życie broni się wszelkim słabościom, aż gdy podupadnie, naraz się one mszczą na nim, obsiadając go ze wszystkich stron. Któż tam jest drugi? — spytał rozglądając się — a! Żółtowski! no, siadajcież a nie śmieście się ze mnie.

— Rzecz wcale nie do śmiechu — odezwał się Otto.

— Owszem, śmieszna gdy się ją weźmie tak jakem ja ją niedawno sam uważał. Stary, żył sam i dobrze mu było z naładowanemi workami; naraz napadła go tęsknota, głupi! Po kimże? po dziecku, które się go zaparło; po więzach, od których całe życie starał się być wolnym: po kłopotach i biędzie.

— Ale to uczucie święte...

— Jak dziś u mnie, to tylko może chimery chorego człowieka, któremu się czegoś z nudów zachciało.

Żółtowski ruszył ramionami, Otto zaprzeczył.

— W tém nie ma nic dziwnego, chcesz sobie tylko dziwnie to tłumaczyć. Psujesz sobie życie i dręczysz serce takim wynaturzeniem się. Uczucie święte i prawe, na co się go zapierać? Żeś długo żył bez niego, to się nie chwali.

— A wiecież co cierpiałem? — spytał stary z cicha, spuszczać głowę.

— Jakże pan się dziś czuje? — przerwał umyślnie Żółtowski.

— Prawdziwie sam nie wiem: wasz doktor widzi w tém chorobę, chce dać pigułki, namawia na *calmansy*, a serca niemi głupiego nie ochłodzić.

Zamilkli trochę.

— Nie wiecie nic jeszcze? — spytał hrabia po chwili. — Wrócił ten chłopak?

Otto długo myślał nim odpowiedział, milczenie jego zdawało się coś zapowiadać; stary



poruszył się i podniósł, widać było, że go ożywiała nadzieja.

— No, mów! wiesz co?

— Posłuchaj-no—przerwał Otto. Jakikolwiek są twoje o tém pojęcia, jakkolwiek i ja potępiam dziecko płocze, nie możemy jednak oba nie poszanować w nim charakteru i męskiej siły.

— Mówże-no, mów, bez wstępów! przedmowy się domyślę—machając ręką rzekł stary.— Znaleźliście go?

— Znaleźli! — rzekł Otto spokojnie.

Na te słowa choć dotąd siedział złamany, hrabia podniósł się nagle, pchnięty jakby sprężyną, wyprostował się, i cały drżący wlepił oczy w Ottona.

— Znaleźli! — powtórzył Otto — ale dla ciebie on stracony, jeśli mi wprzód nie dasz słowa.

— Dziwny jesteś? cóż? widząc mnie, boisz się jeszcze o niego?

— Nie, ale to dziwne dziecko; poznałem je: choć w błędzie jest, pobłążyć mu potrzeba.

— Ma charakter i tego mi dosyć; oddaję mu sprawiedliwość: nie obawiaj się.

— Nie lękam się o dziś, boję o jutro...

— A! jutro nie nasze! — westchnął Herman — jutro, mgły i ciemności! Powiedz mi najprzód gdzie on jest; co robi? wstrzymaliście go? przyjdzie tu?

— Najprzód rozmówmy się otwarcie — rzekł Otto. — Wiem gdzie jest, ale ci tego nie obwarowawszy się nie powiem... Wstrzymaliśmy go, przyjść jednak nie chce czy nie może.

— Jeszcze się mnie boi?

Otto zamilkł.

— A więc, pozwólcie, ja pójdę do niego — rzekł żywo stary — trzebać mi przecie dziecko odzyskać; potrzebuję go, chcę mieć, powinienem: chodźmy!

I choć nogi pod nim drżały, stał z wlepionemi w Ottona oczyma, jakby go chciał wyrwać ztąd zaraz i za sobą pociągnąć.

— Chodźmy! — powtórzył.

Otto się nie poruszył.

— Pójdziemy — rzekł — ale wprzód musimy pomówić otwarcie i szczerze.

Syn twój wie o tém, żeś go poznał, że chcesz go odzyskać; wie żeś chory, a boi się jeszcze powrócić do ciebie. Nie wiem jak się z nim obchodzileś, że stracił dla ciebie serce; ale ja nie chcę go wydać na nowe męki, które tobieby życie skróciły, jemu zatruły.

— Ale ja nic nie chcę, tylko go odzyskać— zawołał Herman. — Więc i ty mnie masz za jakiegoś tyrana? Człowiecze!! wierzysz temu.

— Widzę, słyszę i wierzyć muszę. Zaprowadzę cię do niego, ale pod jednym warunkiem — dodał Otto.

— Zgadzam się na wszystko, ale go zobaczę?

— Zostawisz mu wszelką swobodę?

— Nie myślałem i nie chcę go zamykać: uczyni co zechce.

— Wiem, że się obawia żyć w świecie, który zna trochę ze złej, trochę z prawdziwej jego strony; jest to dusza, której potrzeba oddychać wolnym powietrzem pól i swobodą wiejską: nie zmuszaj go do zmiany życia.

— Ale niech czyni co mu się podoba: przystaję, zgadzam się na wszystko... Idźmy! —

— O! o! za pozwoleniem — przerwał Żółtowski—ja pana tak nie puszczę bez doktora; to wszystko dobrze, ale pan sił nie masz... potrzeba się poradzić... może poczekać...

— I, radzić doktora!—ruszając ramionami rzekł szydersko Herman—dajcież mi pokój!

Żółtowski mrugnął na Ottona.

— A nie, nie: od tego nie odstępimy.

Hrabia zżymał się, ale już i Żółtowski i Paweł, który coś podsłuchał, pobiegli po Węgra, zabawiającego hrabinę opowiadaniem o dalszym ciągu koncertu, to jest o przygodach Maxa i pułkownikowej. Korzystając z odejścia Loli, która pobiegła do ogrodu po ulubione kwiaty dla matki, doktor trochę się zabawiał kosztem wdowy i jój ideału.

— Ale to już całe sąsiedztwo wie, pani dobrodziejko — mówił — tak nagle i impetyczna miłość ich oboje napadła, że się jój oprzeć nie mogli. Opowiadają, że się jój formalnie oświadczył w formie *andante amoroso*, że go przyjęła *con gioia*, i że jakoby nawet zaręczyny wkrótce nastąpić mają.

— Doktorze, jesteś niezdolnie złośliwy!

— Ja, pani? gdybyś pani posłuchała co inni mówią, mogłabyś moją dyskrecją ocenić. Bo drudzy opowiadają, że ona jemu się oświadczyła pierwsza, że trzeciego dnia dali sobie słowo i posłano zaraz po indult do księdza pasterza, aby co najprędzej szczęścia skosztować.

— Doktorze! wiesz przecie jak ludzie łatwo prawią niestworzone rzeczy...

— Na ten raz ja, przyznaję się, skłonny jestem wierzyć.

— Ja, nie.

Żółtowski wszedł właśnie, i ażeby nie mówić, mrugnął na doktora, który wstał i pospieszył ku niemu.

— A co? nie gorzej nasz chory?

Żółtowski kiwnął głową.

— Na co wam doktor potrzebny? — przerwała hrabina.

— Żeby powiedział czy może jechać.

— Jechać!

— Niech pani będzie spokojna — odpowiedział krótko po swojemu stary — wszystko będzie dobrze: chodź-no, doktorze...

Szemere pospieszył żywo.

— Taka rzecz—rzekł po drodze Żółtowski— że on chce i potrzebuje jechać... Otoż... czy mu to nie zaszkodzi?

— To zależy... zobaczymy.

Weszli: hrabia zniecierpliwiony zwłoką stał prawie drżący.

— Doktorze — zawołał postrzegłszy go w progu—bierz puls, czy każ sobie język pokazać, a gadaj prędko że jechać mogę, bo moim siłom i ochocie mniej wierzą jak twojej nauce; jak gdyby człowiekowi który *chce*, mogło kiedy zabraknąć siły.

— To teoria doskonała—odparł Szemere— ale wola dobywa tylko z człowieka co w nim jest, póki jest: z próżnego nie należy...

To prawda, że ona umie najlepiej wycisnąć zaoszczędzoną siłę; ale, gdy jej nie ma...

— Ależ powiedz im przecie, że ja ją mam! bo gdzieżby się podziała? Oszczędzałem przez lat tyle, nie zużyłem: muszę mieć.

— Ha! ha! —rzekł doktor—to także tajemnica natury, że wiele rzeczy w człowieku nadużycie niszczy, a wiele nieużycie zamarza.

— To już uczone brednie.

— Opinie są wolne—chyląc głowę odparł Szemere, — siły się wyrabiają, ale zobaczymy nie wyrokując *a priori*. — Przejdź-no się pan po pokoju; daj mi puls — hrabia spełnił polecenie, z oznakami niecierpliwości.

— A teraz jeszcze — rzekł doktor — muszę popełnić niedyskrecyą: proszę mi powiedzieć jakiego rodzaju jest cel podróży, czy stan pogorszyć, czy polepszyć może?

Otto podchwycił:

— Powinien polepszyć.

— Hm! wolałbym żebyś pan tak prędko nie jechał; ale zważywszy, że na upor lekarstwa nie masz, a hrabia pewnie jesteś uparty...

— Bardzo—dorzucił Herman.

— Nie było się nawet o co pytać.

— Więc jedziemy! Pawle—zawołał na starszego, — natychmiast jedziemy.

Siermięzki wpadł drepzcząc z zapytaniem:

— Do domu?

— Nie: jedziemy — i obróciwszy się do Ottona:

— Dokąd?—rzekł.

— Do mnie.

— Trzebaby się ubrać!

— Nie! nie! jechać! natychmiast jechać!

— Jest zaprzężona bryczka moja, ale...

— Całe życie jeździłem bryczkami: siadajmy...

— Ale możeby się pożegnać?— spytał Żółtowski.

— Wszak wrócimy — dodał niecierpliwie Herman.

Doktor patrzył i głową tylko poruszał. Oprzeć się energii z jaką natychmiast domagał się jechać Herman, nie było podobna; w kwadrans już siedział na bryczce i choć pochylony i widocznie cierpiący, powoli sunął się do Robowa, sykając tylko na to, że konie wstrzymywano ażeby nie strząśł się bardzo.

— Jest tu? — spytał dojeżdżając do dworu Ottona.

— Nie, ale go zaraz znajdziemy. Hrabio, jeszcze raz słowo: bez żadnych wymówek i swoboda zupełna.

— Jestem ojcem i mam serce ojca! — odparł Herman — wierzaj mi.



W Robowie było pusto. Martynko leżał chory, Max siedział teraz od rana do wieczora u pułkownikowej... żywej duszy.

Stary wysiadł żywo, ale go siły zawiodły i ledwie przeszedłszy pokój musiał odpocząć, tak się czuł osłabłym: krótka podróż zwiększyła znacznie gorączkę.

— Oczekiwanie — rzekł do Ottona — zję mnie gorzej niż samo spotkanie: złe czy dobre, co ma być, niech się stanie.

— Natychmiast, ale Martynko choć chory chce cię widzieć; ubiera się: przyjdzie zaraz.

Po chwilce wszedł biedny chłopak choć blady i znękany febrą, której drugi paroxyzm właśnie go był pochwycił; oczy jego zaczerwienione dowodziły łez nieoschłych jeszcze: zbliżył się i schylając ujął starego za rękę.

— Drogi mój panie—rzekł—jam się ulitował nad tobą, nie uczynże mnie zdrajcą, który pęta kładzie na zbiegłego niewolnika... Wydaję go na miłość twoją, ale nie na nienawiść i zemstę... Pomnij, że to dusza chora, że to dziecię, sierota co cierpiało wiele, że to jedyny syn twój.

— O Boże! za kogoż wy mnie macie, z temi waszemi zaklęciami! — wykrzyknął hrabia łamiąc ręce.

— A to są pieniądze wasze — dodał Martynko składając je przy nim — musiałem je wziąć, by nie obudzić podejrzeń, ale zatrzymać dłużej nie mogę.

— Zostaw je sobie.

— Nie — rzekł chłopak — nie! Przyjąłbym dar od pana, bom ubogi i młody, miałbym go za ojcowską pomoc; ale dziś, tak nie mogę... Byłyby to srebrniki za sprzedane łyzy przyjaciela. Gdyby nie ojciec — dodał wskazując Ottona — nie uczyniłbym tego nigdy; on mi kazał, jemu jestem posłuszny; pełnię ślepo wolę tego, którego przywykłem za rodzica uważać... — To mówiąc, zapłakany powoli wysunął się z pokoju.

— Miałem słuszną przecie — rzekł napół do siebie Herman — choć mnie nie zrozumiano; otóż jak wychowuje nieszczęście, zła dola, ubóstwo, na które syna wystawiałem umyślnie! Żaden z tych paniczów, miękko chowanych, nie odrzuciłby grosza, choćby za nie wiem jaką usługę...

Nic mu nie odpowiedziano.

— A teraz— rzekł Otto — w imię Boże, jedźmy! Możemy bryczką podjechać pod samą pasiekę, w której jest syn twój: dalej przejdziemy piechotą.

— Pieszko, bryczką, jak chcecie; aby prędzej, aby prędzej! — odezwał się chwytając hrabia, który wsparty na lasce, słowa nie mówiąc, spieszył za swym przewodnikiem.

Wieczór już był gdy się do pasieki zbliżali, Janek a raczej Juraś (bo tak dawniej go nazywano) usnął był znużony na posłaniu z siana wśród ubogiej chaty.

Wcisnęli się powoli do pasieki przez ogródek, i Otto wiodąc za sobą niecierpliwego ojca, wszedł pocichu do jedynéj, przyciemnionej izby, w której Juraś spoczywał głębokim snem ujęty.

Stary, który się stawał coraz bledszy, któremu oddechu brakło, który się mieszał, wstrzymywał, spieszył i znowu cofał, jakby z jakiejś bojaźni, rad był gdy ujrzał dziecko swe uspio-  
ne: miał czas ochłonąć i przyjść do siebie.

Szmer otwierających się drzwi i wchodzących osób nie obudził Jurasia; piękne rysy jego oblane spokojem, otoczone jasnych włosów puklami, ciało męskiej i silnej budowy, przypominające dawnych średniowiecznych rycerzy, wpadły w oczy hrabiemu, który stanął i zapatrzył się na syna, a łzy po bladłej popłynęły mu twarzy. Otto milczał z obawą oczekując przebudzenia, usiłując wyczytać ze starca, co pocznie i jak przemówi do dziecka.

Długą chwilę spoczywał tak Juraś, potem lekko drgnął, powiódł ręką po białem czole, otworzył oczy i ujrzawszy ojca przed sobą — osłupiał. Zerwał się napół, patrząc i niedowierzając jeszcze, sen to czy jawa.

— To ja jestem, dziecko moje — rzekł wreszcie cichym i drżącym głosem Herman — tyś nie chciał do mnie, ja przychodzę do ciebie; nie żeby ci odebrać wolę, ale aby cię całkiem oswobodzić. Byłeś dzieckiem, chciałem cię żelazną ręką na męża ukształcić: dziś jesteś mężczyzną i podaję ci dłoń jak bratu. Nie bój się mnie, nie uciekaj; ja sam jeden na świecie: miejże litość nademną; nie obawiaj się: niczem, nawet miłością moją cię nie zwiążę.

I głosu mu zabrakło; stanął badając czy wyrazy jego uczyniły jakie na synu wrażenie, szukając w twarzy jego nadziei.

Surowy ten, nieubłagany człowiek, dziś znękany i zbolący, błagający dziecię własne, przedstawiał obraz który łzy wycisnął z oczów Ottona.

Juraś uczuł się tak poruszonym, że mu słów zabrakło w początku, ale twarz jego malowała, że to uczucie dumy i niepodległości, które trzymało go dotąd, potargane odpadło z serca.

Powstał powoli i pochylił się milczący do nóg ojca, który głowę jego chwycił jak spragniony porywa naczynie z napojem, którego mu długo odmawiano, i przycisnął ją do piersi łkając, zanurzając się od płaczu.

W tejże chwili siły go opuściły, zachwiał się i Otto ledwie pospieszył przystawić mu ławę na którą upadł.

Oba milczeli: ojciec drżący trzymał go za rękę. Juraś zmieszany, rozczulony, bojaźliwy, patrzył nań lękając się przemówić słowa.

— Więc ja mam syna! — zawołał nareszcie stary, chwytając go znowu w objęcia. — Ale

nie! — poprawił się — wiem wszystko Jurasiu; nie obawiaj się, swobodnym będziesz, uczynisz co zechcesz, pójdiesz gdzie ci się podoba, nie wstrzymam cię, nie spętam: będziesz żył w tym kręgu, który sobie obierzesz. Bądź mi tylko synem, niech się widzę, niech twoja przyszłość łączy mnie ze światem i żywemi ludźmi, bom ja dziś trup i niedogały popiół tylko.

Nigdy ci nie wspomnę przeszłości.

— Nie, nie: to nadto — odezwał się nareszcie złamany chłopiec, którego ta dobroć i ofiara złamały — nie! jam winien, srodze winien i życiem mojem obowiązany jestem zapłacić to szaleństwo, które popełniłem będąc dziećciem. Duma tylko nie dozwalała mi powrócić, obawa słusznego gniewu twojego, mój ojcze... Jam winien, ty nie: tyś ojciec, tyś czuł przy sobie prawo wyrobienia powierzonej ci duszy tak, jak ci się zdało lepiej... Jam był szaleńcem; przebacz mi, daruj.

— Nie mówmy o przeszłości ani słowa! — odparł hrabia — ale się już mnie nie obawiasz?

— Nie, mój ojcze.

— I opowiesz mi szczerze, otwarcie, coś przecierpiał, co przebyłeś, gdzieś się błąkał, czegoś doświadczył! Wszakże choć przeszłość twoja należy do mnie, gdy z terażniejszości nic ci wziąć nie chcę i nie mogę. Oto świadek uroczystego przyrzeczenia, Jurasiu, — dodał wskazując Ottona — niech on usłyszy ten ślub mój, że ci daję zupełną swobodę.

— Ojciec mój, ja powiem teraz, nie mówmy o tém.

— A! jaki on piękny! zdrów! silny! — rzekł wpatrując się w niego hrabia.

— Bo bięda i niedostatek najlepiej wychowują — odparł Juraś. — Wyszędłem, dzięki tobie, odrazu zahartowany, a tam gdzie byłem, musiałem albo się zepsuć zupełnie, albo za łaską Bożą takim dębem dzikim wyrosnąć, jakim mnie widzisz, ojciec.

— Tylkoż, kiedy już Bóg dał tak wszystko dobrze skończyć — przerwał Otto — nie siedźmy już dłużej w tej biędnej chacie, gdzie i ojcu choremu nie najlepiej i synowi duszno.

— Jam już do chat przywykł! — rzekł Juraś.

— Ale nie ojciec.

— Więc jedźmy do Zarubiniec.

— Do Zarubiniec?—zawołał Juraś—a! ojcie, znowu do tego straszego pałacu.

— To do mnie—przerwał Otto—do chaty...

— Gdzie on zechce—dodał hrabia — gwałtem nie ciągnę go nigdzie; dałem słowo i dotrzymam, nie zmuszam do żadnego życia, ale należałoby choć na chwilę, stryjowi, stryjence, siostrze się pokazać: kobiety zwłaszcza poczciwe i dobre istoty; ale jeżeli ci to...

— Nie! nie — zawołał Juraś mężnie— bądź co bądź, mogłem to zrobić dla Maxa, jakżebym nie uczynił dla ojca: tylko mi tam nie kaźcie mieszkać, nie kaźcie żyć, ani przebierać się i stroić.

— Masz własną wolą, zrobisz jak ci się podoba; w domu stryja jak we własnym możesz być swobodny.

— No, to już moja ofiara odrzucona!—rzekł Otto.

— Ale nie, kochany przyjacielu—przerwał rzucając mu się na szyję Juraś—u ciebie mi było tak dobrze.

— Mogę ci słowo powiedzieć?—spytał ojciec.



— O! co chcesz, ojciec...

— Więc odrazu szczerze: wiem że się boisz świata, dowód że się do niego będziesz stosował; to źle: wnijdź weń nie jako bojaźliwe pachole, ale jako człowiek ze swoim przekonaniem, obyczajem, myślą, słowem: rozśmiejają się może, poszanują pewnie.

Zrozumieją cię czy nie, ale nikt nie poważy ci się urągać; tylko taka excentryczność, która jest rachubą i komedią, wzbudza szyderstwo i niewiarę, ale szczerę i poczciwę wylanie się z charakterem, nigdy. Wszędzie możesz i powinieś być sobą...

— I będę!— rzekł Juraś podnosząc głowę.

Ojciec pocałował go w czoło.

— A nie uciekaj mi już— dodał wzruszony.

— Nie! ale nie obcinajcie mi skrzydeł; wolny pójdę wszędzie za tobą, spętany nie zniosę więzów.

— Nie bój się, jeszcze raz: jesteś panem swęj woli i życia, jam już przyjaciel nie ojciec; pojmuję to, że są charaktery i ludzie, którzy w zawisłości wiecznej żyć nie mogą. Idźmy razem...

I uderzył go po ramieniu.

Weselsi wychodzili z chatki, a Otto uradowany uśmiechnął się poglądając na to spokojne zakończenie dramatu, który dniem wprzód nie obiecywał tak spokojną rozwiązać się sceną.

Ale szczęście ziemskie błysk to tylko i chwila. Jasny promień słońca zachodzącego padał na twarze ich rozrzewnione i pogodne, gdy wychodzili. Hrabia, który dotąd siłą wielkiego wzruszenia tylko utrzymywał się, począł się znowu chwiać na nogach i pochylił osłabły. Otto przytrzymał go, ale na twarzy postrzegł błądź straszną i zmianę jakąś nagłą, niezmierną.

W tejże chwili starzec chwycił się za piersi i poczuł jakby wyziew mogiły przelatujący po nim; oczy stanęły mu słupem, usta wysiłone otwarły się na jakiś wyraz, którego wymówić nie mogły, ręka zwróciła się ku synowi i opadła bezwładna: został ruszony paraliżem, który weń jak piorun uderzył. Otto z Jurasiem porwali go, ale już nieruchomego i ze łąką w oku kośniejącego im w dłoniach.

Przestrach niemy po chwili wesela objął ich tak nagle, tak rażąco, jakby cios który starca dotknął, razem ich wszystkich zagarnął.

Zmieszani, potrwożeni nie wiedzieli co począć z martwym napół Hermanem na rękę, który miotał się częścią ciała nie zdrętwiałą jeszcze, usiłując wyrwać się z objęcia śmierci, a ciężał już na nich trupem bezwładnym.

Juraś załamał rękę...

— Ja go utrzymam — krzyknął Otto — ty leć po konie; nie traćmy chwili, do Zarubiniec co prędzej do doktora. Lub nie: siadaj na koń, biegnij po niego, niech spieszy przeciwko nam, napół drogi: jedno tylko krwi puszczenie ratować może.

— Ale jakże mogę ojca opuścić? nie wiem drogi!—zawołał Juraś.

— Masz słusność! straciłem głowę—zawołał Otto—ty go bierz, wież: ja leczę.

Na krzyki bolesne o ratunek przywłókł się o kiju stary pasiecznik, chłopak jego i żona, a postrzegłszy martwego starca, obstąpili go przelękli.

Juraś z przytomnością nawykłego do przygód człowieka, chłopaka posłał po konie, ojca złożył powoli na przyzbie, gdy chory rękami pół martwemi chwycił go i od siebie nie puścił; sam sposobie zaczął nosze, które naprędce zrobiono z tapczana, i choć sam rozplakany i przejęty, potrafił starca uspokoić słowy serdecznemi i troskliwością niezmordowaną.

Otto znikł, z trzech koni od bryczki niedaleko stojącej, pochwycił jednego, obciął sznury i oklep puścił się do Zarubiniec przez pola i wąwozy bez drogi, dając odrazu czuć zwierzęciu, że ostatnich z niego sił dobędzie.

Dwa konie pozostałe miały wieźć starca, drogą na Robów, ale nim usłano łoże, nim ręce syna dźwignęły go na posłanie, i głowę przycisnęły tak do piersi, by na nich bezpiecznie spoczęła, wieczór się zrobił i noc prawie.

Z tym pochodem prawie pogrzebowym noga za nogą posunęli się powoli...

Starzec nie mógł dobyć głosu, szklisty wzrok jego tylko szukał syna, a ręka nie chciała puścić dłoni; w uścisku i milczeniu, wśród ciemności długa jak wiek rozpoczęła się ta

podróż męcząca dla obu. Woźnica kierując się jak mógł w mroku, zwrócił na większy gości-niec ku Zarubińcom; ale choć konie pospiesza-ły niekiedy w równiejszych miejscach, każda chwila zdawała się godziną. Juraś nie mogąc ni usłyszeć, ni zobaczyć ojca, truchlał dobadu-jąc się w nim ostatków gasnącego życia; po-trzeba było stanąć, odpoczywać, poprawiać, a zrzuciwszy z siebie suknie, chłopak czém mógł okrywał chorego, by go chłód nocny nie owionął.

Na pół prawie odległości dzielącej Robów od Zarubiniec, spotkali wreszcie wysłaną po nich karetę, doktora, Ottona i biedną hrabinę, która z różańcem, flaszkami i łzami, sama koniecznie chciała jechać przeciwko Hermanowi.

Doktor pospieszył do chorego; zdawało się, że puszczenie krwi będzie koniecznem: natych-miast przecięto żyły, ale widocznej ulgi nie doznał starzec...

Hrabina która już o wszystkiem uwiadomio-na była przez Ottona, podała rękę Jurasiowi, pocałowała go płacząc w czoło i nie mówiąc słowa, z nim razem przy chorym umieściła się w powozie.

Pochód cały znowu pociągnął dalej, spotykając po drodze ciekawych, którzy powychodzili przeciwko niemu.

Jednym z najpierwszych był Paweł, przebudzony ze snu straszliwą wieścią, który bez czapki, zażawiony, leciał do swojego pana, na ustach mając wciąż jedne, machinalnie powtarzane słowa:

— A mój drogi pan! mój drogi pan!

Gdy się karetą ku niemu zbliżyła, stary nie zważając na konie i koła, dopadł jej i rzucił się ze stopni na nogi hrabiego, który ujrawszy go drgnął i oczyma wskazał na Jurasia.

Pawła musiano także zabrać do powozu, za którym wlec się nie mógł stary, a opuścić go nie chciał.

Północ już była, gdy karetą stanęła przed drzwiami pałacu, u których czekał na nią hrabia Rajmund z nieodstępny<sup>m</sup> Malczakiem.

Słyszając turkot nadbiegła i Lola.

Potęgą przeczuć czy przeznaczenia, młodości czy serca, w tej chwili tak strasznej, jakże się to stało, że oczy dziewczęcia nie spotkały chorego, nie znalazły odrazu matki, ale naj-

przód ujrzały Jurasia, ów sen, owo widzenie wieczorne...? Na widok jego zadrżała; dreszcz ją przebiegł: zarumieniła się...

Nie wiedziała jeszcze kto był.

Powolnie zniesiono starca do przygotowanego pokoju, wszyscy się rozpierzchli, pozostał tylko u łoża Juraś, doktor i Otto, zmęczony gonitwą nocną, ponury i przybity.

— Doktorze—odezwał się po chwili odciągając go na bok—jak myślisz? co będzie?

— Bóg to wie jeden: ludzie w tym stanie męczą się czasem długie lata, lub umierają w godzin kilka... Na wszystko gotowym być potrzeba.

— Jest więc groźba śmierci?—spytał Otto.

— Prawie pewność—odparł doktor.

— Jestże jaki ratunek, któregooby użyć można jeszcze?

— Sprobujemy wszystkiego, a najprzód drugiego, trzeciego, innego lekarza; proszę was o to, bo się lękam.

— Odzyska mowę?—pytał wciąż Otto.

— Nie wiem.

— Nic więc nie przyrzekasz...?

— Pracować z wami.

W czasie téj cichéj a szybkiéj rozmowy, Juraś wciąż siedział przy ojcu, który za najmniejszém jego oddaleniem się tyle okazywał niespokojności, tak uporczywie ścigał go oczyma, że biedne chłopię musiało natychmiast powracać, i nieodstępnie czuwać przy nim.

Noc przeszła w obawie i zamieszaniu. Hrabia Rajmund któremu Otto przedstawił Jurasia, zbył go pogardliwém wejrzeniem i do zbytku zimnym ukłonem zdaleka: nie przemówiwszy doń słowa, odszedł zaraz do siebie.

---

Nazajutrz chociaż stan chorego nieco się polepszył, nie odzyskał jednak mowy, ani władzy, a stan ten obez władnienia oddziałać musiał na starca, który okazywał się coraz bardziej zniecierpliwiony i niespokojny.

Za każdém przybliżeniem się hrabinéj, rwał się jakby coś chciał do niéj przemówić; oczyma starał się jéj okazać, czego nikt zrozumieć nie mógł: potém płakał, a łzy te niezrozumiałe nikomu, płynąc cichym strumieniem po twarzy dziwnie skrzywionéj boleścią, przejmowały nieopisaną litością przytomnych.



Paweł siedział u nóg pana i całując je płakał téż rzewnie; chwilami wyrywały mu się jakby szmery przekleństwa, to znów rozpląwały we łzach i jęku.

Juraś służył staremu jak dziecię pokorne. O południu coraz gorzej być poczęło; zjechali się wezwani lekarze, użyto wszelkich środków w takich razach wskazanych, ale czy je zastosowano nietrafnie, czy użyto zapóźno, nie poskutkowały wcale. Śmierć widocznie zbliżała się co chwila, siły opuszczały starego, senność, ten poprzednik śmierci i zwiastun jej litościwy, kleiła naciskając ołowiem, powieki, które z wysiłkiem otwierały się na chwilę i znowu na długo zamykały.

Ciężkich tych godzin, które się wlokły opieszale u łoża konającego, opisywać nie będziemy; któż z nas w życiu nie był świadkiem śmierci ukochanych i nie konał choć raz powoli z umierającym, który część jego życia, wspomnień, nadziei, unosił z sobą w kraj mogił i duchów milczący?

Około północy głębiej usnął Herman, ale, by się już nie przebudzić więcej. Paweł postrzegł

to pierwszy i zapalił gromnicę, ale gdy hrabina pospieszyła z modlitwą i księdzem, już dusza biednego człowieka była na lepszym świecie...

W tydzień po opisanych wypadkach Juraś, teraz już hrabia Jerzy Góra, z Robowa, dokąd po śmierci i pogrzebie ojca ze starym Pawłem się schronił, wybierał się do Horycy.

W Zarubińcach przebył krótko, ale chwile te, ciężkie dla niego, dziwne po sobie zostały mu wrażenie. Stryj Rajmund odrazu okazał się dlań więcej niż zimnym, odstręczającym i nieprzyjaznym prawie; hrabina za to macierzyńską i czułą, a Lola... z Lolą patrzali tylko na siebie z jakimś uczuciem błęgiego podziwienia, prawie nie mogąc przemówić.

Odjeżdżając do Horycy, potrzeba było pożegnać ten dom i ludzi, podziękować za gościnność dla chorego i trupa, za pogrzeb, za wszystkie dowody braterskiej miłości. Choć serce ciągnęło go ku stryjence, choć dziwne, niewytłumaczone uczucie ciągnęło go ku Loli, wstręt i obawę niepojętą obudzał w nim stryj,

sztywny i zimny przedstawiciel tego świata, którym Juraś tak się brzydził.

Było to pierwszą i wielką z jego strony ofiarą, czuć się zmuszonym pojechać do Zarubinieć i narazić na nieżyczliwe gospodarza przyjęcie; westchnął wybierając się z Robowa, ale obowiązek swój zrozumiał. Otto nie znajdował potrzebném przeprowadzać go, pojechał więc sam jeden.

W Zarubińcach już wszystko powróciło było do dawnego trybu życia: Malczak skrobał coś przy warsztacie poglądając z pod oka na pana, którym kierował, z którego sobie żartował pocichu; Rajmund zatapiał się w mechanice, hrabina modliła, Lola osmucona siedziała przy krosienkach w jój pokoju.

Gdy im dano znać że Juraś przyjechał, stryjenka kazała go prosić do siebie, a sama posłała dać znać mężowi; wszedł więc najprzód do skromnego jój mieszkania.

Tu wszystko takim tchnęło spokojem i jaśniało prostotą, tak błoga cisza panowała w tym zakątku, że Juraś uczuł się jakby w nowój, nieznanój sobie atmosferze.

Przez dni kilka przebolejących wprzód, poznał tylko zimne salony zarubinieckie, nie był jeszcze ni razu w téj ustroni całkiem od nich odmiennój. Na pierwszy rzut oka poczuł, że w progu mieszkania hrabinój kończył się pałac i hrabstwo, zaczynał szlachecki byt niewiasty, wielkiej poświęceniem i sercem, a przywiązanój do innego wcale obyczaju.

Lola śliczną swą twarzą jak słońeczko wiosenne świeciła temu przybytkowi jasnemu i uspokojonemu jak rezygnacya chrześcianki. Odwróciła się gdy wchodził, zarumieniła mocno i po przywitaniu z matką, gdy jak brat i siostra podali sobie ręce, dłonie ich nie wiem czemu zadrżały, lica zapłonęły obojgu: nie śmieli sobie spojrzeć w oczy. Juraś usiadł cały przejęty w duszy, jakby pobożném jakimś uczuciem.

— Chcesz wyjeżdżać, słyszałam — odezwała się powoli hrabina — dokąd? dlaczego tak spieszysz?

— Sam nie wiem dokąd jadę i po co — rzekł Juraś — ale gdzieś przecie schronić się potrzeba ze smutkiem i z życiem...

— Masz słuszną: prawdziwa boleść kryje się i ucieka od oczów ludzkich. Pojmuję twój: tak się znaleźć po długich latach na chwilę, i tak się rozstać!

— A! nie przypominaj mi pani wielkiego grzechu mojego życia! — westchnął chłopak spuszczać oczy.

— Bóg i ojciec ci przebaczył! Biędny stary! zapłakała hrabina — gdyby się był choć pocieszył tobą, choć spoczął...

— Nie mówmy, nie mówmy o tem — przerwał Juraś.

— Cóż myślisz począć z sobą...

— Nie wiem. Życie przeszłe, i to które mnie czeka, tak różne! — dodał młody chłopiec. — Między niemi muszę rzucić most coby je połączył, jakąś przestrzeń żalu, spoczynku, namysłu: sam nie wiem. Pojadę tam gdzie żył ojciec, gdzie jeszcze żyje myśl jego; tam może znajdę jaką skazówkę na przyszłość.

— Ale, dziecko moje, nie zakopujże się zbytnie, jak twój ojciec.

— Moja droga stryjenko, czyż i ty, co żyjesz tak samotnie, możesz mówić przeciwko

osamotnieniu? Gdzież lepiej, jak w cichym kątku?

— Tak, ale moja samotność z córką, z mężem, to życie rodzinne, to nie zaparta cela mizantropa... a ty jesteś sam jeden.

— Już i ja mam rodzinę— rzekł Juraś wzdychając—stare sługi ojca, biednego Pawła, zresztą ja jeszcze nie wiem co pocznę.

Spojrzał na Lolę, która na podziw była milczącą jakoś i smutną. Wejrzenia ich, magnetyczną przyciągane siłą, co chwila się spotykały i mówiły sobie ową pieśń młodości, która się raz tylko śpiewa w życiu.

Aż nareszcie Lola porzuciła krosienka, odwróciła się, jakby zwyciężona, ku niemu, i zbliżyła powoli do matki, pocichu mieszając się półsłowami do rozmowy.

Potém hrabina umilkła, a oni zaczęli szeptać we dwoje, jak starzy znajomi; gdy wśród gwarzenia tego smętny, ponury i sztywny wszedł sam hrabia Rajmund, po którego twarzy znać było jak nierad musiał być gościowi, co mu jego zajęcia przerywał. Przywitał zimno sy-

nowca, westchnął i usiadł, patrząc roztargniony przez okno.

— Wpan się wybierasz?— spytał po chwili.

— Wyjeżdżam do Horycy — rzekł Juraś.

— Zapewne... to bardzo dobrze, tu nie masz co robić! Lepiej, po tym smutku znajdziesz jakąś rozrywkę; dla mnie téż lekarstwem jest praca.

— Ale nie, lepiej żeby tu jeszcze jakiś czas przebyć — przerwała hrabina — bo ta samotność...

— Mężczyzna nie powinien się pieścić— dodał Rajmund — to było zdanie nieboszczyka; zawsze mi to mawiał: Jerzy ma obowiązki...

Wstał potem i przeszedł się niecierpliwie po pokoju.

— Przybyłem właśnie, aby pożegnać stryja i podziękować mu za tyle trudów i łaski dla mego biednego ojca.

Hrabia ruszył ramionami.

— Dajmyż pokój temu... brat to był mój przecie; nie mówmy już o tém: mam co innego do powiedzenia ci na odjeźdném. Nosisz imię

nasze, ono wkłada na ciebie obowiązki; z twojej winy własnej wychowanie tve zaniedbane, urodzenie wprowadzi cię w świat, wśród którego tak jak jesteś pozostać nie możesz... Potrzeba nad sobą pracować.

— Stryju — rzekł Juraś podnosząc się — ś. p. ojciec mój nie żądał po mnie bym wszedł w ten świat, do którego obyczajów już się nie potrafię zastosować. Imienia, które noszę, nie splamię, ale nie wiem, czy obowiązany jestem koniecznie tak je nosić, jak poprzednicy moi i okupywać trochę rozgłosu całkowitem zaparciem się siebie.

— To są deklamacye młodości — odparł hrabia — excentryczne wybryki fantazyi nieokiełznaney; życie inaczej uczy i czego innego wymaga. Nie rzuca się imienia i stanu: trzeba być tém, czém Bóg stworzył.

— Zostawmy to przyszłości — przerwała Marya — Juraś ma dobre serce, to go natchnie...

Lola zarumieniła się.

— Zapewne, jeśli rady nie żąda, musi czekać natchnienia... Życzę mu, żeby je znalazł w sercu... <http://rcin.org.pl>



To mówiąc zwrócił się i podał rękę Jerzemu.

— Żegnam cię — rzekł zimniej jeszcze — ja muszę spieszyć do pracy; myśl mi przerywają próżne rozmowy, a mam w tej chwili przed sobą coś tak ważnego....

I skłoniwszy głowę uszedł do pracowni, po której się już zatęsknił. Jerzy nie wiedział odprawiony co począć z sobą; zdawało mu się, że powinien był zaraz odjechać, ale hrabina usiłowała z Lolą zatrzyć oznakami czułości i serdeczném obejściem wrażenie chłodnego przyjęcia, i Juraś ochłonął, powoli przychodząc do siebie. Rozmowa ożywiła się znów trochę.

Byłby może zaraz odjechał, gdyby nie wejście Loli i urok, pod którym od pierwszego jej widzenia się uczuł: siła nieznana trzymała go przykutym, chciał się wyrwać i nie mógł; wstawał, niepokoił i tęsknota jakaś zwracała go ku niej od progu. Dziewczę zbliżało się też do niego coraz poufalej, z uczuciem, które się im tłumaczyło przywiązaniem siostry i brata, choć już w zarodku wcale było inném, acz nie mniej czystém i świętem.

Przypomnieli sobie ów wieczór, kiedy się raz pierwszy spostrzegli, potem Juraś zaczął mówić o przeszłym swém życiu i swobodnej po świecie włóczędze, i o zamiarach w przyszłości... Tak zbiegł czas do wieczora, a hrabinie tak było dobrze z tém dwojgiem dzieci, u jój kolan szczebioczących pocichu harmonijnemi głosy, że gdy chłopak wstał nareszcie, by wynieść, tęskno się jój jakoś zrobiło: poczuła, że traci istotę, która była do wypełnienia małego jój kółka potrzebna.

— No, jedziesz więc — rzekła całując go w głowę — ale powróć do nas, choć wówczas, gdy cię serce zaboli... drogi mój Jurasiu. Niech cię nie zraża powaga i pozorna surowość mojego męża; on ma wielkie myśli na głowie, życiem naszym pospolitým żyć nie może, ale serce w téj piersi bije poczciwe, choć przez usta nie mówi. Widziałeś przecie co uczynił dla Maxa, sądz go z tego, nie z kilku słów roztargnionych. Człowiek to nie stworzony do miejsca, które zajmuje w społeczeństwie, troska nieustanna pierś mu i czoło zorała; tu u nas zawsze znajdziesz serca, co cię przytula z uczuciem.

Lola zapłoniona żywo podała mu rączkę.

— Tak, bracie—dorzuciła—mama, choć ty ją znasz mało, wierz mi, gdy co powie, to ewangelia: jej słowo, to tylko prawda święta! Ona ci obiecuje matkę, ja siostrę w sobie; bądź co bądź, w boleści, w smutku, w niepewności szukaj nas, my ci służyć będziemy: rachuj, jeśli nie na siłę, to na serca.

Ale pozwól, bym ci dała radę i gościniec na drogę — dodała wahając się i spoglądając na matkę ukradkiem błagającym wejrzeniem — wszak siostrą twoją jestem, a od siostry przyjąć się coś godzi.

Zdjęła z krosienek Tomasza a Kempis śliczne, maluteczkie wydanie i zawstydzona wsunęła mu je w rękę.

— Może to rada dziecinna, ale ja jestem dziecko — mówi mama. — Gdy ci bardzo będzie źle i tęskno na świecie, otwórz tę książkę gdzie zechcesz, przeczytaj choćby dwa wiersze, a myśl sobie potem o nich długo, to ci ulgę przyniesie.

Juraś ucałował jej białą rączkę, rozrzewniony przytrzymał ją długo i rozstali się nareszcie, żegnając łzawemi oczyma.

Wypadki, którym w przeciągu tak krótkiego czasu uległ Juraś, głębokie na nim uczyniły wrażenie; przejście ze stanu swobody i włości w rodzinne koło; życie z góry wyznaczone i pewne jutra; ukazanie się ojca i nagłe zejście jego, poznanie Loli, które wstrząsło sercem, jej matki, stryja, tylu nowych ludzi; szybkie następstwo po sobie dziwnych i bolesnych przygód: — znacznie obcięły skrzydła młodzieńcze. Jechał więc do Horycy smutny i niepewien co pocznie, wlokąc za sobą starego Pawła, z którym często godzinami całemi rozmawiali.

Okolica, w której to wszystko z tak dziwnym spełniło się pośpiechem, nie mogła zostać obojętną na tyle razem nagromadzonych wypadków; ludzie są nowin łakomi, tworzą je sobie w potrzebie: cóż gdy do utkania ich znajdą piękną, gotowiutenką osnowę?

Dziecię zatracone i odzyskane, ojciec, który nu przebacza, przytula do piersi i umiera; koncert z tą sceną zjawienia, pułkownikowa i Max, ich miłość i blizkie śluby: bawiły próżniących doskonale. W każdym prawie domu

tworzyła się z nich powieść nowa, tak rozmaicie pojęta i opowiadana, że zaprawdę zdumieć się było można bogactwu wyobraźni bezimien-nych autorów. Szczególniej Janko Zbój i jego przeszłość tajemnicza, jak łatwo sobie wyobrazić, budziły niezmierną ciekawość; opowiadano w niedostatku prawdy takie o nim domyślane przygody, od których uszy wędły, słuchając.

Młody, piękny, bogaty, z imieniem głośnem, a dziki i mizantrop, stał się odrazu ideałem mnóstwa panien, wdów i mężatek zapoznanych, które piechotą byłyby poszły o mil kilka, byle go tylko zobaczyć. Trzeba też przyznać, że piękniejszej legendy o nieznanym młodzieńcu nad tę, którą o nim pocichu sobie opowiadano, trudnoby, nawet powieścio-pisarzowi z powo-łania, utworzyć.

Max, który rzadko kiedy mówił prawdę o sobie i o drugich, wypytywany, utworzył pierwszy z historyi Janka coś tak monumen-talnego, że z pomocą dodatków ludzi dobrej woli, starających się jeszcze okraszyć nieco jego legendę, gotowy z niej był poemat. Szczęście, którego u nóg pięknej pułkownikowej koszto-

wał, już będąc z nią zaręczony ogromnym soliterem, dodawać musiało sił jego wyobraźni: plótl niestworzone baję, codzien swój utwór wydoskonalając.

Max bowiem był bardzo szczęśliwy; wprawdzie Amelia po bliższém rozpatrzeniu się w niej, wydała mu się daleko mniej świeżą i piękną niżeli pierwszego wieczora, gdy kibić jęj malująca się na białym szalu, zachwyciła go i oczarowała. W dzień twarzyczka ta nosiła widocześniejsze ślady utrapień przebytych i zawiedzionych nadziei, a szczebiotanie jęj exaltowane, trzeciego dnia już zaczęło się powtarzać tak nieznośnie, że Max wiedział prawie jakim wyrazem i głosem go powita, i co mu na jego słowa odpowie. Ale wielki artysta, w istocie nie był wcale stworzony na to czém się być wybierał; nie mając co lżejszego do roboty, i gdy mu los po drodze nasunął ciepłą wdówkę tamując karierę wirtuoza wątpliwą, trudną, kłopotliwą, zmuszającą do pracy: bardzo był rad, że się mógł pozbyć przyszłych laurów dla spokojnego kawałka chleba.

Teraz na łonie nowego szczęścia, wcale już swęj wiononczeli, dawnęj przyjaciołki do rąk nie brał i na usilne tylko prośby bohdarki, czasem ją dobył z pudła w którem usypiała spokojnie. Że jednak nie było jeszcze po ślubie, musiał się trochę w dawnym okazywać blasku, trochę odegrywać komedyą geniuszu, zostawując na późnięj zupełne z szat przyodzianych rozebranie, umycie i powrót do życia o jakim teraz marzył, wcale prozaicznego, obywatelskiego. Biedna pułkownikowa ani się domyślała, jak wielką i niepowrotną miała popełnić omyłkę. Postanowienie jęj było tak gwałtowne, tak silne, że się już nie zastanawiała wcale nad jego następstwami. Max teraz przesiadywał tam dnie całe; nareszcie z Robowa od Ottona przeniósłszy się bliżęj Danowa do miasteczka, dla oka tylko najął tam pomieszkanie, do którego ledwie późno w noc powracał, by nadedniem wyjechać znowu. Oczekiwano tylko indultu, aby połączyć dwoje rozpłomienionych kochanków, których zapaly sakrament skutecznie miał ugasić, na normalną praktykę małżeńskiego wprowadzając ich życia.

Rozumie się, że i na ten wypadek sąsiedztwo obojętném okiem spoglądać nie mogło, musiało z tak rzadkiego widoku szczęścia i najczystszej miłości, nieco korzystać w sposób złośliwy i zazdrosny. Zajeżdżano częściej niż kiedy do dworu pułkownikowej aby śledzić i badać jak wyglądała szczęśliwa, trochę jej szczęściu przeszkodzić, a potem śmiać się z niego i opowiadać jak wyglądała zakochana Amelia, jak chodził wielki artysta, rozrzewniony potężném w piersi rozstlałym uczuciem.

Do bliższych sąsiadów pułkownikowej należeli państwo Żeligowie, Jędrzej i Anastazy z Porońskich, majątni obywatele, mający wieś jedną ogromną i drugiej połowę, dwór przepyszny i t. d. i t. d. a żyjący otwartym domem i co się zowie okazale.

Pan Jędrzej był sobie prosty człowiek, gruby, tłusty, rumiany, z skałką na oku, wesoły, trochę ospowaty, niezrozumiały, i mało zarastający, co mu wielką sprawiało przykrość, bo niezmiernie chciał mieć wąsy, a dohodować się nie mógł takich o jakich śnił i marzył. Była to może jedna z najboleśniejszych prób, jakim



w życiu uległ pan Jędrzej. Z obu stron podnoska miał wprawdzie po piętnaście jasnych i twardych jakby sadzonych włosów, ale te sterczały mimo kosmetyku, i nigdy estetycznej formy staropolskiego, sumiastego wąsa, przyjąć nie chciały. Rzuciło to na cały żywot pana Jędrzeja odcień smutku i zawiedzionych nadziei. Skalka na oku, zresztą nie bardzo widoczna, nie tyle go martwiła, ile ten brak zarostu, nad którym wzdychał, wyrzucając umysłowi ludzkiemu, że dotąd szperając nie mógł wynaleźć środka na zasianie tak pospolitej jak włos trawy, na polu tak żyzném jako ciało ludzkie.

Zresztą pan Jędrzej był jednym z najszczęśliwszych prostych sług bożych, a że miał żonę strasznie rozumną, czynną, wychowaną znakomicie i kochał ją z całych sił serca, a służył jej jak murzyn; że miał majątek piękny, znaczenie w obywatelstwie przez żonę i córkę, o której zaraz powiemy: gdyby nie te wąsy, zawsze spodziewane a nigdy nie nadchodzące, mógłby się być liczyć do tych, którym na grobie kładą, że żadna chmurka nie zaćmiła laurów ich żywota.

Pan Jędrzej zwany przez żonę, gdy była w dobrym humorze, *Jędrusiem*, a gdy mu chciała dać uczuć swe nieukontentowanie, *panem Jędrzejem*, był najlepszym z ludzi, ale nie miał pretensyi do rozumu, i otwarcie wyznawał, że gdyby się był tak szczęśliwie nie ożenił, pewnieby go dawno djabli wzięli.

Wyrażenie może było zbyt energiczne, ale dobitnie malowało sytuacją.

Całe życie pracując pod zwierzchnictwem i kierunkiem Stasi (bo ją tak czule nazywał) uznojony, spocony, gdy mu w nagrodę trudów dała tłustą rączkę do pocałowania, zasypiał opromieniony swém szczęściem. W domu miał ledwie ciasny pokoik, w salonie bardzo podrzędne miejsce, w konsyliach głos tylko doradczy, ale w wykonaniu postanowień i rozkazów, za których spełnienie odpowiadał, sam jeden był używany i tu nie miał współzawodnika.

Owoce małżeństwa, w którym tak skromne ale piękne zajmował stanowisko szanowny pan Jędrzej, była jedyna córka, wychowana, jak mówiła poufalszym przyjaciółom sama pani — *grandioso*: imię jej było Aneta.

Najprzód musimy uprzedzić czytelnika, żeby sobie nie wyobrażał Anetki młodzusienką panienczką, gdyż byli ludzie dobrze umiejący rachować, którzy dowodzili, że dziesięć lat temu miała lat czternaście, co wychodziło na dwadzieścia cztery; matka jednak nie dawała jej więcej nad dziewiętnasty: a że matki najlepiej wiedzą o wieku córek, posądzamy owych rachmistrzów o złośliwość i niechęci w dodawaniu.

Aneta była jedynaczką, i jako taka panowała nietylko ojcu, o którym mowy być nie może, bo ten przed nią prochy zmiatał, ale matce i całemu dworowi.

Dziwna to zaprawdę rzecz, że Aneta będąc jedynaczką, bogatą, utalentowaną, wcale piękną, bardzo dowcipną i śmiałą, dotąd nie poszła za mąż; ale zbieg okoliczności zawsze każdemu projektowi stawał na zawadzie. Najprzód matka miała w myśli małżeństwo *grandioso* (był to wyraz jej ulubiony) i ojciec naturalnie równie sobie tego życzył; powtóre, Aneta była samowolną i popsutą, drobinę kapryśną i dziwaczną, co choć dodaje wdzięku,

niejednego w końcu odstrasza. Wychowywały ją z kolei guwernantki wszystkich narodów, bo żadna dłużej roku wybyć z nią nie mogła, i wykształciły na niepospolitą istotę: gdyby tylko serce, jużby jęj zdaje się nic do doskonałości nie brakło. Ale o tém matka natura zapomniała zupełnie.

Aneta wprawdzie ciągle się na nie skarżyła, jak ci którym odetną nogę, boleją czasem długo na nią choć jęj już nie mają; ale nie okazywała wcale żeby je posiadać miała. Za to fantazyą bujną, umysłem pojętnym i takim świetnym pozorem, taką umiejętnością oczarowania obdarzoną była, że wśród grona najwdzięczniejszych dziewic, wszystkich oczy i serca pociągała ku sobie.

Śmielszą téż była od rówieśnic, a panowanie domowe nad ojcem i matką, istotna wyższość umysłowa, która jęj dozwalała dostrzedz natychmiast ułomności ludzkich, dawały jęj wszędzie pierwszeństwo, dla panny może nie zbyt stosowne, ale nie bez pewnego uroku. Rojem za nią chodziła młodzież, którą ona rządziła jak królowa, a choć nikt nie posunął

się aż do jej ręki, mnóstwo kołatało do serca. Anecie było z tém dobrze, a gdy jej czasem matka szepnęła: Anusiu, kochanie, trzebaby już pomyśleć o sobie...

— Jeszcze czas, mamuniu — odpowiadała jej — ręczę że wezmę sobie kogo zechcę, tylko to mnie zostaw.

Mamcia tak wierzyła w Anetę, że jej już w końcu nic mówić nie śmiała.

Gdy opisane wypadki zaszły w sąsiedztwie, a Max nagle uchwycił zwycięzko za serce pułkownikową, wielką przyjaciółkę Anety, i o Janku rozeszły się romantyczne owe wieści, głoszące, między innemi, że czas jakiś w Turcyi przebywał, że był niewolnikiem w Persyi, i że w nim dwadzieścia kilka sułtanek kochały się na zabój, tak, że go aż nad Don konno przeprowadzały, gdy powracał do domu; Aneta przypomniawszy sobie, że go widziała na koncercie, rozplómieniała pragnieniem ogromném, żądzą, niecierpliwością, koniecznością poznania go. Juraś odpowiadał jej snom, nadziejom i marzeniom. Poznać go bliżej stało się dla niej postanowieniem nie-

zmienném, i gdy się dziecku tój szybki z okna zachciało, pierwszy raz może rodzice byli w niezmiernym kłopotcie, nie umiejąc jęj dogodzić. Ojciec wotował, żeby wprost pojechać po niego i przywieźć go jak grzyba w koszyku, matka trochę płakała, a Aneta tupała nóżką i powtarzała: Ja go chcę mieć! ja go mieć muszę!

Może być, że zauważywszy skuteczność postępowania pułkownikowej z Maxem, teźże samej co ona recepty użyć chciała, ale o tём nie mówiła nikomu. Koniec końcem tylko powiedziała sobie, że Janka zobaczyć musi, niewątpiąc że gdy on ją, ona jego zobaczy, reszta sama przyjdzie do skutku. Ten hrabia co konie pasał, kozacza dusza, jak go Max nazywał, śnił się jęj, prześladował ją, dręczył.

Nie ma niebezpieczniejszych zachceń, jak gdy te nie z serca, ale z głowy pochodzą: serce ma wstyd, jest niewiastą, że tak powiem; rozum mężem upartym, i gdy sobie co postanowi, pobuntuje podwładnych.

Nasłuchawszy się dziwów o Janku, Aneta bywająca bardzo często u pułkownikowej, po-

częła tak wyraźnie wydawać się z żądaniem poznania go, że Max, który był grzeczny i lubił obiecywać, powiedział w końcu, iż dlań nic łatwiejszego jak pokazać zblizka ten fenomen.

— Ja go znam doskonale — rzekł z uśmiechem, — sprowadzę tu gdy zechcecie: za to ręczę.

— Nieśmiertelnąbym panu była winna wdzięczność! — odpowiedziała rumieniąc się Aneta.

— A! Max to uczyni dla mnie! — dodała wyciągając mu rączkę do pocałowania Amelia.

Choć Fermer jak łatwo przyrzekał, tak się też lekko od spełnienia obietnic uwalniał, składając choćby kłamanemi przeszkodami; na ten raz chodziło mu o to, by dowiódł swych blizkich z hrabią stosunków, a może też miał i inne jakie rachuby i chciał z nim na nowo poufałą odżywić przyjaźń.

Dosyć, że wysłano szpiegów do Zarubiniec i Robowa, aby wiedzieć o dniu gdy Juraś wyjedzie do Horycy i na drodze go złapać.

Max zasiadł w drodze na przesmyku i przez dwadzieścia cztery godzin palił na ławce cygaro, oczekując na przejeżdżającego, który nie mógł miejsca tego ominąć. Już go to poczytało niecierpliwić, gdy nareszcie ukazał się stary koczyk nieboszczyka Hermana, fura z Pawłem, i powoli przysunęły się pod karczemkę. Fermer, który już był przygotowany, zerwał się i pobiegł ku Jurasiowi z rozciągniętymi rękami.

— Co ja widzę! to ty, przyjacielu!

Trzeba wiedzieć, że dawniej z widoczną traktował go wyższością, a teraz przepadł nagle w ten ton czułości i serdeczności.

— To ty, po którym dusza moja tęskniła: jakże się masz? O pożądany! ukochany! drogi! Tylem się nasłuchał o twoich nieszczęściach! Mój Boże! jakie zmiany! A! mam ci też wymówić, że przedemną, którego znasz serce, nigdyś się nie zwierzył otwarcie.

I począł go ścisnąć gwałtownie.

Juraś, któremu łatwo było przemówić do serca, uścisnął go za rękę.

— Co tu robisz?



— Przypadkiem zastanowiłem się tu jadąc do Danowa do pułkownikowej, bo wiesz zapewne, że się z nią żenię. Kobięta jakich nie ma, istota z wybranych wybrana. Ale co za szczęście, że cię tu spotykam!

Juraś wysiadł do niego.

— Patrz, widzisz tam, w dolinie ten domek ocieniony staremi lipami i klony: to moje gniazdo szczęścia zielone, to mój raj!

Nie mówił, że Ewa była trochę ospowata.

— Winszuję ci—rzekł Juraś.

— Niechże mi teraz mówią, że nie ma losów, fatalności, przeznaczeń! Któżby się spodziewał, że tu spotkam miłość, która wybuchnie gwałtownie, tak wielką, tak niepohamowaną, tak cudownie wzajemną, że mnie obleje takim szczęściem nieziemskim!.. —

Juraś poczuwszy, że Max deklamuje, zmilczał.

— Mój przyjacielu, mój najdroższy przyjacielu — dodał Fermer ściskając go znowu tak, jak go nigdy wprzód nie ścisnął — tyleśmy o tobie z nią mówili, tak ciągle przytomny byłeś sercu mojemu i pamięci! Mogę ci zaręczyć

że ona także poślubiła gorące moje dla ciebie uczucie... i tak pragnie cię poznać!

Juraś widocznie się zmieszał.

— Patrz, wszak to tylko kilkaset kroków, zrób mi tę największą w świecie łaskę, wstąp! Siadaj ze mną, na chwilę tylko zajedziemy do niej; uszczęśliwisz miłą i śliczną kobietę, nie licząc najlepszego przyjaciela.

Biędny chłopak aż pokraśniał, tak osmuconej jego duszy nie w porę było to żądanie dziwne, natrętne; ale Max gdy co raz postanowił, nie miał zwyczaju ustępować.

— Zmiłuj się— rzekł— to, czego wymagasz po mnie, niepodobieństwem; wiesz, jak mi są ciężkie nowe znajomości: nie mogę, nie mogę...

— Na chwilę, na pół chwili, lub jak stoisz...

— Przypominasz mi sam, że nie ubrany, a tam jest kobieta....

— Zajedziesz jak do mnie, jestem tam jak w domu, a uczynisz mi łaskę, dobrodziejstwo! Są ludzie, już muszę ci się przyznać, którzy rzucają potwarz, jakoby ja cię exploatował, jakobyś mną pogardzał; potrzebuję od ciebie tego w obec świata, jako usprawiedliwienia,

oczyszczenia. Oto powód istotny.... musisz to dla mnie uczynić, chodzi o dobre imię moje....

Wiedział, że tém Jurasia złapie najprędzej: istotnie, zawahał się a Max skorzystał z tego.

— Ja ciebie nie puszczę, musisz wstąpić choć na chwilę, na pięć minut, tyle tylko ile potrzeba, aby dowieść oszczercom ich potwarzy!—zawołał.

Nie było w istocie ani potwarzy, ani oszczerców, bo Max stosunek swój z Jurasiem tak ślicznie malował, że uchodził za wzór bohaterskiego poświęcenia.

— Pułkownikowa, anioł dobroci, z nią nie potrzebujesz się żenować: mogę ją już dziś nazywać żoną moją... rozumiesz mnie. Czekaemy tylko na indult, który związek, zawarty przez miłość najczystszą, uświęci....

Juraś się zarumienił, natręctwo przykre mu było, ale nie wiedział już jak się bronić; Max nalegał, ścisnął, błagał, modlił się i prawie gwałtem wsadził go na swoją bryczkę, zostawując Pawła z końmi przy karczmie, rozkazawszy im popasać.

o) Nie opamiętał się biedny Juraś, tak nagle konie pułkownikowej ruszyły z nim i dworek w dolinie wkrótce się ich oczom ukazał.

To zielone szczęścia gniazdko, jak je Max nazywał, istotnie było bardzo śliczniuchne; może tylko do zbytku ustrojone, zbyt wyświeżone z pretensją. Furtki i bramy gotyckie obwieszane bluszczami, krzyże pooplatane cierniem i poobwijane powojem; nad dróżynami krzaki róż w jodłowych klombach, kapliczki misterne, altany malowane jaskrawo; sam dwór z szerokim balkonem okrytym winem i pnąciami się roślinami, świadczyły o tém usposobieniu czułego serca, które szukało wdzięku i poezyi, aby okazać niemi, że miało ich głębokie w sobie poczucie. Tego wszystkiego może było aż nadto, ale to było śliczne, zielone, wytworne, kwitnące i wonne, wesołe i tęskne razem.

z) Juraś nic ubrany, w czarnej siermiężce żałobnej, zapyłony cały, porwany nagle, znalazł się w ganku domu pułkownikowej i powitany został przez trzy osoby, które właśnie pod balkonem zasiadły do herbaty.

Byłato najprzód owój pięknej kibici pułkownikowa, otyła pani Stasia matka Anety, i sama Aneta, słuszna, wspaniałej postawy, szatynka z niebieskimi oczyma, patrzącemi śmiało, ubrana czarno, poważnie, tajemniczo — do boju!

Była w istocie piękną. Artysta z uczuciem mógł z niej cudny zrobić wizerunek, takim ogniem i życiem tłała ta twarz o rysach regularnych, pewna siebie, amazońska, wojownicza a pełna wdzięku. W chwili gdy Juraś wchodził zmieszany i zatrzymywał się w progu ganku, spostrzegłszy większe niż się spodziewał towarzystwo; Aneta siedziała właśnie w kozetce, przybrawszy postawę Kleopatry z jakiegoś obrazu, wdzięcznie układając się by zachwycić śmiertelnika, i przeglądając się w kryształowej szybie blizkiego okna, które jej wizerunek lekkimi powtarzało zarysy...

Pułkownikowa jak zawsze była szczebiotliwą, wdzięczną, uśmiechającą się i płaczącą razem, roztkliwioną do głębi; podeszła kilka kroków powitać Maxa, któremu rączkę z góry z przyciskiem na dłoń rzuciła, potem przewró-

ciła oczki obracając się do Jurasia, stojącego przed nią ze spuszczoną głową, i wprowadziła go, przedstawiając gościom swoim. Aneta podniosła się, wyprostowała i nie tracąc czasu oczy utkwiała w ofierze, którą jej główka i wyobraźnia wcześniej napiętnowały na zabicie.

Max tak manewrował, że Jurasia potrafił przy niej posadzić, i rozmowa poczęła się od preludyjnych ogólników. A że wszystkich oczy i uwagę ciekawe zjawisko zwracało na siebie, że nawet wierna Amelia trochę mu się nadto mile uśmiechała, Max poczuł jakby zgryzotę w sercu, że tego rywala wprowadził, przy którym mu i odezwać się i na wierzch wypłynąć było trudno.

Aneta jako biegła w strategii niewieściej, zrazu obserwacyjny tylko korpus wejrzeń wyprawiała na nieprzyjaciela, starając się uczynić jak najgroźniejszą, to jest jak najpowabniejszą. Wiedziała ona dobrze co ma najpiękniejszego w sobie: warkocz włosów olbrzymich, nóżkę maluczką jak dziecinną, rączkę białą i dziwnie czystego kształtu; więc z kolei, pod różnemi pozorami obracała się doń tyłem głowy, by

ze ślicznemi ramiony i szyją razem mu pokazać pukle cudnego włosa, potem poprawując się na siedzeniu, dobyła nóżki z pod fałdów sukni, potem układała strój, spinki, włosy, mantyllę spadającą, tak aby ręce w całym przedstawiały się blasku.

Nieszczęściem dla zmieszanego Jurasia, który nie bardzo patrzył i niewiele widział co się około niego działo, większa część tych manewrów zginęły: potrzeba je było powtarzać.

Matka z uwielbieniem znawcy przypatrywała się uczonym córki manewrom.

Po chwili milczenia, Aneta uznała, że pora było rozpocząć kroki zaczepne, wprost atak przypuszczając na młodego chłopca, i skorzystała z rzuconego przezeń jakiegoś pół-słówka. Juraś pierwszy raz dopiero uważniej spojrział na nią.

Nigdy jeszcze takiego nie widział dziewczęcia: było to dlań zjawiskiem nowém. Proste niewiasty które mu się przed oczyma przemknęły, kobiety jak je Bóg stworzył, panienki skromne, bojaźliwe, trwożne, rumieniące się, jak pączki napół okryte listkami, i choć śmiałe

a powstrzymujące w sobie myśli i uczucia, jakże nie a nic niepodobne były do téj pięknej Judyty! Ta wyglądała całé inaczéj i nie można powiedzieć, by gorzéj od tamtych: był to kwiat rozwity ale świeży, pełen barwy choć może bez woni porannej; świetny, błyszczący, o szerokich liściach, o bujnych gałęziach — rodzaj kamelii, jedném słowem.

Do natury Jurasia i usposobień jego, ten nowy typ kobiety przypadał w pewien sposób, pozorem swobody i szczeroty.

Gdy raz pierwszy spotyka się podobną istotę, nowość uderza; nie mamy czasu wdawać się w rozbiory: osłupieni stajemy w zachwycie.

Juraś mimowoli doznał tego wrażenia: Lola dotknęła jego serce, Aneta zapełniła mu głowę trochę — uznał się nią zaciekawiony.

Ta śmiałość dziewczęca, ten hart duszy nie lękającej się ani potwarzy, ani oczów złośliwych, ani tłumaczeń zawistnych; ta potęga wzroku, który czysty być musi, bo się nie cofa przed nikim, podrażniły go, pociągnęły. Aneta téż nie udając wcale obojętnej, przysunęła się ku niemu śmiało, pochyliła poufale i zaczęła



siecią pajęczą wejrzeń, słów i uśmiechów opłacać pełnego wiary i ufności chłopaka.

Trzeba jej przyznać wielkie zdolności wodza i dyplomaty zarazem, umiejętność rachuby potężną i dodać w końcu, że tak była przytęm piękną, majestatyczną, iż słaby człowiek na którego rzuciła okiem, nie bardzo mógł się oprzeć urokowi jaki wywierała.

Pierwsza zwłaszcza reprezentacya tej sztuki w której występowała z takim powodzeniem, i pierwsze wrażenie, zawsze były dla niej tryumfem, następne już różnie się wiodły. Jak wszystkie istoty błyszczące i zniewalające nagle, gasła powoli ta gwiazdka, gdy się jej przypatrywać zaczęto. Naówczas wychodziły na wierzch plamy owego słońka, wiał chłód od niego, i choć cudnie piękna, choć dziwnie urocza, stałego nie budziła przywiązania. Latano za nią, śmiano się z niej; nikt się w niej śmiertelnie nie pokochał: tak przeszło lat dwadzieścia kilka i potrzeba było myśleć o sobie, a Aneta obrachowała nie źle wcale, że lepszego nic nad Jurasia nie znajdzie.

Jerzy nigdy jeszcze w życiu z podobną nie spotkał się istotą, a był tak młody; pierwsze więc wrażenie było silne: oczy te zdawały się mówić tyle, usta w istocie tak wiele mówiły!

Milezący i odpowiadając pół-słówkami tylko, zrazu nie dał się Juraś wywieść w rozmowę powszechną; smutny, nie miał ochoty się wywnętrzać: ale czegoż nie dokaże piękna, wesółka i zimna kobieta? Chłód i panowanie nad sobą, trochę doświadczenia nawet bardzo pospolitego i znajomości środków powszednich działania na człowieka, jakichże czasem nie robią cudów? Najzużytsi nawet ludzie dają się brać na wędkę pospolitym robaczkiem, cóż dopiero tak świeży, tak niedoświadczony człowiek jak Juraś, który ochotnie wierzył we wszystko?

— Bardzośmy już wiele o panu słyzały — odezwała się Aneta po wstępnej przegrywce — ale byłoby niedyskrecyą go badać; choć do prawdy takeśmy ciekawe: ja przynajmniej. W naszym czasie gdy wszystko jest tak wykute z jednego materiału, tak jednostajne, tak przenuddie foremne, życie trochę inne,

nie podobne do pospolitych, to zjawisko porywające.

— A! to prawda! porywające!—powtórzyła pułkownikowa spoglądając na Maxa, a wdzięcząc się trochę do Jurasia, i wedle obyczaju swego powtarzając ostatnie wyrazy.

— Nic tam w tém życiu nie ma zasługującego na ciekawość—odpowiedział Juraś—tylko błędy dziecinne.

— Pan myślisz, że go nie znamy—przerwała Aneta—ale choć i to niedyskretyca przyznać się, wieleśmy się od pana Maxa dowiedziały, a takeśmy wybadywały!

— A! dużo, dużo o panu mówił nam Max—powtórzyła echem pułkownikowa i przy téj zręczności podała rękę Maxowi, który ją przyjmował nie bardzo ochotnie, bo miał za zasadę przy młodszych i piękniejszych niewiastach, swój przyszlęj nie okazywać nigdy zbytnej miłości, na wszelki wypadek.

— Pan długo przebywałeś w Krymie? — spytała Aneta.

— O! niedługo wcale!

— Kraj pełen poezyi i malowniczości! — dorzuciła pułkownikowa, która chciała przekonać że prowadzi rozmowę, co Anetę widocznie niecierpliwilo, bo pragnęła sama opanować Jurasia, na wyłączną swoją własność i mrugnęła nawet potajemnie na posłuszną matkę, aby starała się gospodynią odwrócić ku sobie. Był to korpus mający zrobić dywersyą.

— Jakże teraz — mówiła dalej Aneta — po tym życiu swobodném, ostrém i hartowném przejdiesz pan, jeśli się pytać godzi, do zupełnie nowego?

Komu innemu ta rozmowa odrazu tak *in medias res* puszczona, a raczej w środek i serca i duszy, byłaby się bardzo dziwną wydała; Jurasiowi przeciwnie podobała się swą pozorną szczerotą i ośmieliła go poufałością.

— Nie myślę wcale zmieniać życia—odparł Juraś śmiało — nic mnie do tego nie zmusza: swobodę, ciszę, niezależność kochałem i nie wyrzeknę się ich dla niczego.

— I znowu się pan zakopiesz?

— Nie wiem, przywykłem iść za popędem i uczuciem potrzeby serca, a któż powie czego ono dozna i zażąda jutro?

Aneta wzięła te słowa prawie za komplement, ale uznawszy potrzebę niezrozumienia go odrazu, bo to być mogło niestosownem, podniosła oczy potrząsając główką i mówiła dalej:

— A! zapewne! najdziwniejsze rzeczy dzieją się z nami: chwila, słowo, wejrzenie, drobny wypadek czasem zmienia losy człowieka...

— I nigdy za jutro zaręczyć nie możemy— dodał Juraś.— Jest jednak rzecz pewna tylko, za którą potrzeba mieć siłę ręczyć, to, że się zostanie poczciwym sługą prawdy, którą się raz ujrzało.

— Ależ ta prawda— spytała jak Piłat Aneta— cóż to jest?

— Nie wazę się odpowiedzieć pani — rozśmiał się smutnie Juraś — dla mnie to życie w takim kole, gdzieby mi nic nie gniotło uczucia, nie więziło myśli, gdzieby żadna forma nie nakazywała mi kłamstwa.

— Ależ to nie ma na świecie takiego życia!

— Pani sądzisz?—ja nie wiem.

Aneta zamilkła, ale oczy jej mówiły tymczasem.

— Prawdę rzekłszy— odezwała się po chwili — ja także choruję na to pragnienie być zawsze sobą i nigdy nie kłamać, ale kobiecie to jeszcze trudniej.

Rozmowa tak wysoko nastrojona dalej już wzlecieć nie mogła; szczęściem pułkownikowa, która się do niej mieszać chciała, oderwała się od pani Anastazyi i wrzuciła w tém miejscu swoje echo:

— Kobiécie — (westchnienie) najtrudniej. Aneta rozśmiała się ukazując bieluchne ząbki.

Max tymczasem stał na straży, aby nie dać Jurasiowi uciec, do czego zdawał się mieć ochotę. Podano spóźniony obiad choć wieczór się już zbliżał; nie było sposobu odmówić: poszli do stołu, a los, a raczej dobra rachuba sprawiła, że Juraś znalazł się między gospodynią i Anetą. Aneta znowu tak usiadła, aby wszystkie swe wdzięki dać sąsiadowi ocenić, i wzięła go już w niewolę rozmowy, której na chwilę ustać nie dała.

Juraś zdumiony był jęj śmiałością, naiwnością, obejściem poufałem i szczerem, które umiejętnie zastosowała do niego.

Zrazu instynktowo i nie zbyt trafnie posuwała się z rozmową, nie zbadawszy gruntu; ale po kilku godzinach, pochwyciwszy słabą stronę Jurasia, tak doskonale umiała z niej korzystać, że wstał od stołu nie bardzo już spiesząc się do dalszėj podróży, co było wielkim tryumfem. Twarz Anety była rozjaśniona, usta uśmiechające się; matka z uwielbieniem na nią patrząc zdawała się zdaleka kosztować słodyczy zwycięztwa.

Jakie mianowicie na Jurasiu zrobiła wrażenie Aneta, wypowiedzieć trudno. Z Lolą był nieśmiały, trwożny, poruszony; tu chłodny, wesół prawie, ale pochwyciony i upojony jakby po szampańskim winie. Z głębi jego dobyły się nieznanne mu prawie uczucia a raczej namiętności, jak silna woń spajając go i durząc. Czémś lepszém była dlań Aneta niż dobry, wesóły towarzysz; ale w rodzaju takiego druha z którym mówiąc człek się nie rumieni, nie

kłopoty, nie wstyda: mówi mu wszystko i od niego spodziewa się wszystko usłyszeć.

Jeżeli powiem, że Juraś, który miał jechać zaraz, pozostał na noc, bo już i konie i Paweł oddawna byli sprowadzeni do dworu, że Aneta z matką dla zbliżającej się burzy, także skłonić się dałyby na wieczór pozostać, że resztę dnia spędzano na muzyce, bo Max chętnie się popisował przed obcemi: odmaluję dostatecznie niebezpieczeństwo w jakie wpadł Juraś. Wieczór ten był brzemienny w wypadki małej wagi a wielkich następstw, i najważniejszą w nim epokę stanowiła półgodzinna rozmowa wśród salonu i gwaru przez Jurasia z Anetą prowadzona, na przechadzce od drzwi szklanych ku wchodowym; w której, jak ona utrzymywała potem przed matką, dusze ich i serca porozumiały się.

Jakkolwiek chłodna, wyrachowana istota przybyła tu z myślą zimną i rachubą; trzeba jej oddać tę sprawiedliwość, że serce w nią zadrgnęło, którego w sobie nie spodziewała się sama.



Jest coś w szczerym, prostym a pełnym uczucia człowieku, co nawet najzimniejszych rozgrzewa, i budzi jeśli nie miłość dla niego, to podziwienie i szacunek. Szydzić potem mogą gdy ostygną, ale przy płomyku serca rozgrzewają się choć chwilowo, i przeistoczeni magnetycznym wpływem uczucia, doznają tego, czego nigdy nie marzyli doświadczyć.

Tak się stało z Anetą: trochę głową, trochę sercem poczuła wyższość Jurasia, jego idealną stronę, gdy przed nią począł naiwnie odsłaniać swe uczucia, swe myśli trochę podobne do splątanych a bujnych gałęzi dziewiczego lasu, swe marzenia o świecie, ludziach i przyszłości.

Z kobiecą tylko chytrostką, tym przymiotem słabych, którym Bóg ją dał może umyślnie na obronę przeciw sile, mimo entuzjazmu jaki w niej wzbudził, Aneta poczuła, że tego człowieka tak pełnego wiary, tak niedomyślającego się zła, tak pałającego miłością dobra wszelkiego, łatwo było wziąć strojąc się doń w szatę odświętną.

I stała się inną trochę niż była zwykle, na skórę lwią amazonki narzuciła mgliste obłoki kobiety zapoznanej i zakochanej w niebieskich ziemi zjawiskach; wywołała rumieniec na twarz i nie tracąc śmiałości, dodała jej za towarzyszki szczerotę dziewiczą, prostotę dziecinną.

Może to było aż nadto zachodu na chłopca, który nie przywykł był stykać się z kobietami wykształconemi i taką obdarzonemi strategią? Juraś też został podbity, niestety, i jedno tylko uczucie wstrzymało go od zupełnego poddania się: pamięć Loli—jakaś z tém wspomnieniem łącząca się zgryzota... Twarz anielska dziewczeczki zjawiała się przed jego oczyma w jasnym obłoczku, smętna i przerażona.

Około północy, po muzyce, która się także przyczyniła do rozmarzenia gości, wszyscy a szczególnie Juraś i Aneta uczyli się jakby bardzo dawno znajomi, usposobionemi do zwierzeń. Max tylko, którego opanowała pułkownikowa, dając mu zawczasu kosztować słodczy małżeńskiej niewoli, smutny siedział przy niej ze spuszczoną głową na kanapie, mając

minę raczej niewolnika, który się nudzi i radby wyrwać z pęt dźwiganych, niż niecierpliwego kochanka oczekującego jasnej chwili wesela.

Na nieszczęście, im on był tęskniej zamyślony i smutniejszy, tém serce pułkownikowej które się czuło obowiązaniem podzielać jego strapienia i boleści, większych dopuszczało się natręctw, w przekonaniu, że ukradkowo narzucane mu pieśczoły, doskonały skutek robią.

Pani Anastazyja ziewała okrutnie, ale nie chciała przeszkadzać córce, i oglądała salon nie mogąc się nim nasycić, aby nie być zmuszoną zwracać uwagi na Anetę, która z Juraszem już dwudziestą odbywała pielgrzymkę od ganku do drzwi sieni.

Rozmowa coraz się ożywiała.

— Doprawdy, dziwna to rzecz — zawołała Aneta patrząc na zegarek, który nielitościwie wybijał dwunastą—dwie nieznane sobie istoty z dwóch przeciwnych świata krańców, spotykają się przypadkiem, są z sobą chwilę, zbliżają się, poznają, a potem znowu mogą nie spotkać lat kilkadziesiąt, aż w starości, kiedy zupełnie staną się innemi. Ja przynajmniej—

dodała — wspomnienie dnia dzisiejszego poniosę na długo...

Przerwała nagle.

— A jaż, pani? — dodał Juraś gorąco — czyżbym mógł zapomnieć tego czarownego wieczora. Uważałaś pani, że ludzie zawsze wzajemnie są z siebie radzi lub niekontenci?

Spojrzeli sobie w oczy: źrenice Anety pałały, Jurasia zaszły jakąś łąką wędrowną.

— Ale dlaczegożby się to tak smutnie kończyć miało? — dodał — kiedy nic łatwiejszego jak widzieć się poznawszy?

Aneta w milczeniu znowu zwróciła nań tylko pytające oko.

— Miałabym i mogłabym się spodziewać?

— Max zdaje mi się — rzekł Juraś — niewątpliwie znajdzie port w tych stronach: nie raz go pewnie odwiedzę...

— Wówczas i my się pana u siebie spodziewaćbyśmy mogli? — spytała Aneta.

— Dziękuję pani za zaproszenie: będę z niego po chłopsku, po kozacku korzystał, choćbym się miał stać natrętnym.

— Nigdy! — szepnęła Aneta cicho. — Ojciec mój i matka jak ja będą panu radzi.

Juraś wziął to za dziewczęzą prostotę i grzeszność, skłonił się wzruszony i zamilkł.

— Ale po co to pan jedziesz zakopać się w tém Polesiu? — dorzuciła — tam musi być tak smutno!

— Muszę spróbować tego życia, w którym jest wiele swobody.

— Mnie się zdaje, że człowiek z charakterem wszędzie ją sobie zdobyć może: tylko uginający się łatwo są niewolnikami wszędzie.

— Ale tam potrzeba walczyć: tu można być panem....

— Nie trzeba walki nawet, bo ludzie czują charakter w człowieku i muszą go poszanować, a sami w bój znowu nie rzucają się tak łatwo.

Pani matka ziewnęła, widocznie przedłużoną rozmowę czas było kończyć i pożegnać gospodynię; Max szczególnie wzrastającą czułością przyszłej żony przelekleł, zdawał się coraz niespokojniej wyglądać chwili odejścia.

Nadeszła wreszcie: Juraś pożegnał panią domu, chcąc dodnia odjechać w dalszą drogę;

Aneta podała mu rękę namagnetyzowaną pragnieniem, aby go nazad ku niej ściągnęła. Istotnie dotknięcie tej dłoni malutkiej, w której chłodzie i jedwabnej gładkości było coś tajemniczo pociągającego, lekki uścisk drobnych paluszków, przejęły Jurasia dreszczem. Któż wie czy i Aneta silną dłoń swojego bohatera uściskawszy, nie doznała niespodzianego wrażenia.

Juraś z Maxem poszli do oficyn, gdzie im przygotowano posłanie i długo jeszcze gwarzyli z sobą. Artysta potrzebował się wylać przed przyjacielem, z kłamstwem tylko, niestety, bo prawdy nie mógł i nie śmiał mu powiedzieć. Nie kochał wcale pułkownikowej, ale rozpieszczony i zepsuty szedł udając miłość, która go dławiała, dla powszedniego kawałka chleba, dla dostatku który mu się uśmiechał, dla próżniactwa, które mu pachniało. Muzyka, którą uprawiał tylko dlatego, że z nią było mu dobrze na świecie, choć wcale nie miał zamiłowania, także się ubocznie przyczyniła do rzucenia go w te pęta: mógł się jej bowiem raz na zawsze pozbyć w ten sposób.

Inaczej wszakże i z właściwą sobie umiejętnością te rzeczy Jurasiowi przedstawił. —

Podparty na rękę, z dłonią w obfitych puklach włosów, zamysłony, począł od wybuchu westchnień.

— Otóż i zamknięta karyera, zawiązana przyszłość! — zawołał tragicznie. — marzenia moje sławy zabite może na zawsze. Trzeba było, bym ją ujrzał, pokochał, bym w niej wzbudził to uczucie gwałtowne niechący, mimowoli, uczucie, które na mnie wkłada święte obowiązki; dzisiaj niewolnik, zmuszony jestem rdzawieć na wsi, drogi Jurasiu! zmuszony gnuśnieć wśród dostatku i pędzić dnie wśród nudy.

— Ale ją kochasz? — rzekł Juraś.

— Tak! kocham ją, i godną jest tego ta dusza zapoznana, to serce czułe aż do drażliwości, trwożliwe i czyste; ale obok niej równą prawie miłością kocham sztukę!!!

— Któż ci ją broni uprawiać?

— Może samo szczęście, którego doznaję, denerwuje mnie i osłabia, a to zakopanie się na wsi....

— Będiesz miał łatwość podróży.

— Nie wiem czemu? Póki dusza bolała — rzekł Max siląc się na sentymenta — i muzyka z niej jak krew lała się strumieniem; dziś źródło wyschło, nie czuję w sobie zapału: cały jestem w mojej miłości.

Tu Max ziewnął mimowolnie, a że świece kończyły się i Juraś zadumany mało mu odpowiadał, potrzeba było prozaiczném „dobranoc” skończyć te wykrzykniki boleści, utworzonej tylko aby się z nią jakoś pięknie przedstawić.

Po odjeździe Jurasia z Zarubiniec, wszystko powróciło do dawnego trybu, w sercu tylko Loli pozostało coś, czego w niém przedtem nie było: niepokój jakiś i tęsknota, a w rozmowach jej z matką nieustannie powracała do Jurasia, co nawet hrabinę w końcu uderzyło. Miała jednak tyle taktu nieboga, że okazała, iż tego nie postrzegła, a mówiąc z córką usiłowała rozmowę zwrócić na inne przedmioty.

Tak upłynęło dni kilka, gdy raz przebiegając myślą przeszłe sceny, hrabina porwała się



nagle z krzesła, jakby coś sobie przypomniała, pochwyciła za głowę i silnie dzwonić zaczęła, żądając, aby jej natychmiast zawołano Żółtowskiego.

Pobiegł chłopak po rządcę do ogrodu, a hrabina zaczęła się niespokojnie przechadzać po swoim pokoju. Twarz jej wydawała jakiś strach i opanowanie, zaglądała ciągle ku drzwiom, to przez okna; a gdy się ukazał wreszcie stary, podbiegła ku niemu blada, palec kładąc na ustach.

— Żółtosiu kochany! tyś człowiek dobrej rady: ratuj mnie! Nie uwierzysz, nie pojmujesz, co ta biedna głowa moja od chwili dźwiga na sobie... Radź mi, dopomóż, co ja mam robić!

— Cóż się to stało? czy wierzyciel który...

— Ale nie! nie! — odparła hrabina.

— Słucham, słucham....

— Nic się nie stało, a jednak to rzecz okropna.

Żółtowski na wiarę wyrazów ręce załamał, i siwe swe zaczerwienione oczki wlepił z trwogą w hrabinę.

— Ale cóż? ale cóż? proszę pani.

— Przypominasz sobie, gdy nieboszczyk Herman przybył tu przedostatnią razą?

— A! jakżeby nie.

— Nie mówił ci z czém przyjechał?

— No, odwiedzić! — krótko rzekł Żółtowski niespokojny.

— A! miał on i inny powód. Nic jeszcze naówczas nie wiedział o synu, uczucie ojcowskie dla niego nie rozbudziło się w nim jeszcze... powtarzał ciągle, że nie miał dziecka.

— No! tak! ale później wszystko to Pan Bóg szczęśliwie przemienił...

— A! ty nic nie wiesz... to rzecz okropna. Żółtowski czekał ocierając pot z czoła.

— On wówczas zrobił testament jakiś — dodała hrabina pocichu — i złożył go w moje ręce....

— Kiedy?

— Za pierwszą bytnością jeszcze.

— I nie odebrał go potem?

— Nie!! wszyscy zapomnieliśmy o nim!!

Żółtowski począł żywo trząść głową.

— Testament! jest testament!

— Złożony u mnie, powiadam ci! u mnie!

I pobiegłszy do szkatułki, hrabina wyjęła z niej papier obwarowany pieczęciami.

— Żółtowski osłupiał, ręce i głowę opuścił w rozpacz.

— Kto wie co on tam myślał wówczas — dokończyła hrabina — niepodobna odgadnąć; naówczas dziecka swojego nie znał jeszcze, wyrzekał się go jak niewdzięcznika: mógł je wydziedziczyć!!

Zamilkła, stary powtórzył tylko ponuro:

— Prawda, jest to rzecz wielkiej wagi...

— Ale co ja mam począć?

— Doprawdy... nie wiem.

— Uważałeś, że umierający ciągle się niepokoił i obracał ku mnie; dawał mi jakieś znaki oczyma, których nie mogliśmy zrozumieć... Dziś pewna jestem, najpewniejsza, że chciał, bym mu to pismo zwróciła, ale mnie Pan Bóg zaślepił, żem wówczas nie domyśliła się o co mu chodzi. A! mogę być przyczyną wielkiego nieszczęścia!!

— Ale niechże się hrabina nie trwoży tak bardzo — rzekł Żółtowski — którego twarz mimo wyrazów uspokajających, największe

wydawała przerażenie — to nic nie pomoże, trzeba się tylko rozmyślcć.

— Jedno z dwojga — przerwała Marya — należy albo go złożyć, lub nie czytając spalić!

— A! niechże Bóg broni! to i prawu i zwyczajom się sprzeciwia: tego zrobić nie można. Zapewne u niego w papierach pozostał ślad téj ostatniej woli, mógłby o to być proces kryminalny! Któż wie zresztą co on tam napisał... w żadnym razie ukryć niepodobna.

— A jeśli testament jest na szkodę Jurasia?

— Jedno z dwojga: w takim razie komużby zapisał majątek, jeśli nie wam?

Tu Żółtowski gwałtownie ruszył ramionami i uciał.

— A mój mąż—żywo dokończyła kobieta— najzacniejszy z ludzi, znasz jego serce, ale może mieć tyle powodów, swój sposób pojmowania, pewne przekonania... ja nie wiem, przewidzieć trudno: on widocznie Jurasia nie lubi... ty mnie rozumiesz.

Żółtowski nic nie mówiąc, coraz niżej spuszczał głowę.

— Bądź co bądź — rzekł — w żadnym razie  
taić tego nie można.

— A jeżeli...

Spojrzeli sobie w oczy.

— Niech się dzieje wola Boża. Któż wie,  
zresztą...

Marya żywo wsunęła papier do szkatułki  
i usiadła ze łzami w oczach, zadumana.

— Wiesz co — rzekła — zapomniałam dotąd;  
mogę powiedzieć, że nie pamiętam. Bóg mi  
to kłamstwo przebaczy, obawiam się krzywdy  
tego dziecięcia: jedź i pogadaj z prawnikami.

— Już to, tak dalece nie ma potrzeby —  
odezwał się Żółtowski — rzecz jasna, nic nie po-  
zostaje, tylko złożyć testament: to obowiązek.

Hrabina rozplakała się i zakryła oczy.

— A! mój Boże, i mieć potem na sumieniu  
krzywdę ludzką... bo któż wie? Któż wie?...  
A wszystko to z mojej winy!

— Kto tam wie co on napisał! — rzekł Żół-  
towski choć sam skłopotany.

— Był zażalony, znękany; powtarzał mi, że  
nie ma dziecięcia: mógł go wydziedziczyć...

Na tę przykrą naradę wbiegła wesółą Lola, ale postrzegłszy matkę pomieszana, Żółtowskiego zgryzionego, oboje nagle zamilkłych i pobladłych, natychmiast wymknęła się pod jakimś pozorem, niespokojném okiem rzuciwszy tylko na matkę.

Żółtowski myślał długo, wzdychał, kręcił się, nareszcie po wahaniu przystąpił bliżej i odezwał:

— Co obowiązek to obowiązek... nie ma nikt prawa odrabiać co los zrobił; Bóg to zrządził w ten sposób jak Mu się podobało! Trzeba o testamencie oznajmić hrabiemu i złożyć go w urządzie, a razem posłać do Jerzego, jemu o tém dając wiedzieć.... To droga jedyna! Nie ma sposobu, nie ma sposobu.

Marya wciąż płakała tuląc twarz chustką i modląc się pocichu. Tak ją po chwili jeszcze przybiegłszy zastała Lola, usiłując uśmiechem, szczebiotaniem i pieszczotami pocieszyć, co jej trudniej przyszło niż kiedy, bo powodu tego bólu dowiedzieć się od matki nie mogła.

— Módlmy się, moje dziecko — odezwała się nareszcie całując ją w czoło hrabina — módlmy

się, aby Bóg łaskaw serce twój matki od wielkiego uwolnił ciężaru, aby biedną sierotę od przykrego losu zasłonił, aby tchnął w serca ludzkie sprawiedliwości uczucie.

— Ale cóż nam grozi? co się stało, kochana mamciu — przerwała Lola....

— Nic, nic jeszcze: dowiesz się o tem później, a teraz obie Boga prosimy, abyśmy nie płakały całe życie jak w tej chwili płaczem.

Hrabina, jak widzimy, nie śmiejąc się przyznać do tego, nie ufała mężowi; obawiała się trochę nieubłaganego uporu, a może wrażenia jakie na nim uczynić mogły miliony nieboszczyka. Zdało jej się, że wina przyszłości cała na jej zapomnieniu ciężać będzie.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

**INSTYTUT  
BADAN LITERACJI I PAN**

**Biblioteka**

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

**Tel. 26-68-63, 26-52-81 w. 42**



Instytut Literatury i Archiwum









F

1675

II